

DAVID DRAKE

ŚWIAT NORTHA



David Drake

ŚWIAT NORTHA

(Northworld)

Przełożył Michał Kubiak

Dla Toniego Weisskopfa,
który, jak Czarny Książę,
zdobył jej względy w scenerii rzezi.

Hansen dojrzał bąbel wybuchu podobny do pomarańczowej piłki plażowej, wykwitający nad dachami budynków odległych o trzy kilometry. Wystawił głowę przez boczne okno swego, kierowanego przez szofera, pojazdu powietrznego i usłyszał huk, przebijający się przez szum wiatru.

– Nie wznos się ponad... – zaczął mówić Hansen, ale pojazd już obniżał lot, tracił wysokość, aby resztę odległości do miejsca przestępstwa pokonać pod osłoną ścian budynków. Piloci komisarza Hansena należeli do najlepszych w siłach specjalnych. Ten akurat, człowiek nazwiskiem Krupczak, tak samo jak, Hansen nie chciał znaleźć się w zasięgu broni ciężkiej bandytów.

Wizjer hełmu Hansena miał trzy ekrany: górny pokazywał widok jednej z jednostek już na miejscu przestępstwa, środkowy był wolny, a dolny odtwarzał na zapętleniu incydent, który doprowadził do powstania aktualnej sytuacji. Hansen poza wizjerem dostrzegał głównie twarze ludzi w ruchu ulicznym, wpatrzonych w pojazd powietrzny, mknący nad ich głowami z wyciem silników i sygnałem świetlnym migającym z oślepiającą prędkością.

Na miejscu przestępstwa mundurowi z patrolu miejskiego zajęci byli blokowaniem ulic; usiłowali też ewakuować cywilów z terenu, który zdążył się już zamienić w pole bitwy. Budynek, w którym ukryli się bandyci, numer 212 na ulicy Kokori, interesował ich tylko ze względu na regularnie padające z górnego piętra strzały, których starali się unikać.

Hansen ustawił swój odbiornik na częstotliwość używaną przez jedną z drużyn sił specjalnych: tę, która zdążyła już przybyć na miejsce. Podwładni Hansena – mimo skarg bigotów, po części kobiety oraz często Nieludzie – zajmowali się właśnie planowaniem stref ostrzału na wypadek, gdyby bandyci próbowali uciec. Byli gotowi do ataku i chętnie by do niego przystąpili, gdyby komisarz wydał im taki rozkaz. Cel był jednak fortecą. Hansen zdecydował, że siły specjalne przystąpią do ataku po jego trupie. Całkiem dosłownie.

Budynek był jednym z rzędu tanich bloków mieszkalnych o dwóch lub trzech piętrach, zbudowanych na długo przed narodzinami dwudziestodziewięcioletniego Hansena. W oknach górnego piętra lśniły teraz tęczo bąble pola siłowego. Biały poduszkowiec patrolu stał opuszczony naprzeciw głównego wejścia do budynku.

Ulica Kokori nie była slumsem, jako że Konsensus nie zezwalał na istnienie slumsów w obrębie stolic któregośkolwiek z tysiąca dwustu należących do niego światów. Poza tym, na Zwiastowaniu było niewiele prawdziwych slumsów. Mimo braku śmieci na ulicach fasady budynków były obskurne, zaniedbane i wzniesione zgodnie z trendami modnymi wiele dziesięcioleci temu.

Mieszkańcy dzielnicy zatrudnieni byli głównie na niskich stanowiskach w miejscowym przemyśle. Musieli jednak pracować, ponieważ mieszkanie w stolicy planetarnej przez okres dłuższy niż trzy miesiące wymagało, aby ktoś z rodziny był zatrudniony na dochodowym stanowisku. Na Zwiastowaniu prawa Konsensusu były przestrzegane dzięki nadzorowi patrolu miejskiego, w razie konieczności wspieranego przez siły specjalne.

Pozbywanie się bezrobotnych dzikich lokatorów było czasem groźne, ale zazwyczaj kończyło się na złamanym nosie albo skręconym kolanie. Tym razem zadanie było wyjątkowo niebezpieczne, ale nikt w sekcji Hansena – a także tych z patrolu miejskiego – nie był z niego niezadowolony.

Gang Solbartha. To musiał być akurat Solbarth, przestępca, którego geniuszowi dorównywała jego bezwzględność. Nieludzka bezwzględność, jak podawały wiadomości, zresztą całkowicie trafnie.

Jeden z ludzi Hansena próbował zdobyć najnowsze informacje o sytuacji wewnątrz budynku przy ulicy Kokori numer 212. Za barykadą z pola siłowego wzniesioną przez patrol miejski stała zaparkowana, niewyróżniająca się niczym furgonetka. Lewitująca sonda szpiegowska – podobna wielkością, kolorem i kształtem do dużego cygara – wynurzyła się z jej wnętrza. Małe urządzenie zwiadowcze było ledwo widoczne, dopóki nie zbliżyło się na metr do ściany budynku. Tam właśnie eksplodowało wstęgami iskier. Ktokolwiek znajdował się w budynku, dysponował elektronicznym urządzeniem do niszczenia sond. Pasowało to do Solbartha.

Z okna na drugim piętrze wyskoczył mężczyzna, potknął się i przebiegł trzy kroki w stronę przenośnego pola siłowego ustawionego przez jedną z jednostek Hansena na skrzyżowaniu naprzeciw budynku. W ochronnym polu siłowym bandytów pojawił się czarny lej. Biało-niebieski błysk podciął nogi biegnącego, zanim ten zdążył dotrzeć w bezpieczne miejsce. Zwłokami wstrząsnęły drgawki. Zwykły cywil wplątany w coś, co go nie dotyczyło. Zrobiłby mądrzej, chowając się pod łóżkiem i przeczekując niebezpieczeństwo. Z drugiej strony, gdyby siły specjalne zdecydowały się użyć siły ognia koniecznej do zniszczenia pola siłowego gangu, cały budynek stopiłby się i zamienił w bulgoczący krater. A to nie wchodziło w grę.

– Wsparcie – powiedział Hansen, włączając system sztucznej inteligencji, SI, w którą był wyposażony jego hełm. – Czy klimatyzacja budynku poprowadzona jest w metalowych szybach?

Zielone światło mignęło, zanim jeszcze w głosie komisarza pojawiło się pytanie. SI uzyskała dostęp do danych z ich centralnego rejestru, zapewne z działu inspekcji budowlanych; dokładne pochodzenie informacji nie miało znaczenia. Każdy strzęp danych na temat budynku, jego mieszkańców i ukrywających się wewnątrz przestępców został wessany do pliku pomocniczego o ogromnej pojemności już w momencie, kiedy zaczęła się strzelanina. Wszelkie informacje, jakich Hansen mógłby potrzebować, czekały dosłownie na końcu jego języka. Problem polegał na tym, że spora część danych, których potrzebował, znajdzie się dopiero w raporcie pooperacyjnym, a komisarz wcale nie miał pewności, czy będzie mógł je wtedy przeanalizować.

– Góra do Pomarańczowej Trójki – rozkazał, pozwalając, aby SI nadała jego głos ponad gadaniną jednostki, która właśnie straciła sondę zwiadowczą. – Wpuście sondę do systemu wentylacyjnego. Użyjcie Gwiazdy Jeden.

Sondy klasy 1 były stare i powolne, ale ich akumulatory miały dwukrotnie większą pojemność. Sondy te były też wystarczająco solidne, by móc swobodnie opadać z wyłączonymi silnikami pionowymi.

– Sir, bandyci wyłączyli system wentylacyjny, pokrywy są zamknięte! – odpowiedział dowódca Pomarańczowej Trójki głosem o pół tonu wyższym niż zwykle.

– To znaczy, że sonda będzie, do cholery, potrzebowała chwili, żeby przepalić pokrywy! – warknął Hansen. – Bierz się natychmiast do roboty!

– Niech się pan trzyma, sir! – ostrzegł pilot Hansena. Pojazd powietrzny zatrzymał się gwałtownie przed barykadą pół siłowych na skrzyżowaniu.

Z kryjówek bandytów błysnęła smuga ognia. Przenośne pole siłowe zapulsowało niczym tęcza, ale przejęło energię strzału bez uszczerbku. W odpowiedzi regularne siły policyjne wystrzeliły strumień strzałek ogłuszających, lecz otwór w polu siłowym bandy zdążył się już zamknąć. Jednostki sił specjalnych zgodnie z rozkazem nie otwierały ognia.

Spolaryzowane światło nadawało wszystkim obiektom po drugiej stronie barykady błękitny połysk. Pozbawiony nóg mężczyzna w połowie drogi od skrzyżowania przestał drgać. Następny strzał z broni plazmowej padł z przeciwnej strony budynku, na krótko rzucając na jego ścianę cień dźwigarów dachu.

Hansen zerknął na odtwarzany w kółko u dołu wizjera hełmu materiał wideo. Było to nagranie zarejestrowane przez zespół sensorów funkcjonariusza, który przybył na miejsce, żeby zbadać sprawę zgłoszonej kłótni rodzinnej.

Policjant był niewysoki i młody, jeśli sędzić na podstawie nagranych odbicia twarzy w szklanych drzwiach wejściowych budynku. Przez szparę między zębami wygwizdywał jakąś melodyjkę. Wchodząc po schodach, sprawdził tkwiący w kaburze strzałkowiec załadowany igłami oszalałymi. Był nerwowo czujny, ale jak się okazało, niewystarczająco.

To była pomyłka od samego początku. Zgłoszona patrolowi głośna kłótnia odbywała się w Dzielnicy Siódmej, a nie tu, w Dziewiątej. Błąd administracyjny, który w normalnych okolicznościach oznaczałby, w najgorszym wypadku, że rodzinna kłótnia skończyła się rękoczynami, bo funkcjonariusz, który mógłby temu zapobiec, został wysłany do niewłaściwego mieszkania.

Na nagraniu nie było słyhać żadnych oznak kłótni. Rozległ się odgłos pukania do drzwi, stłumiony przez grubą płytę: „Kto tam?” i ostra odpowiedź gliniarza: „Patrol miejski! Otwierać!”. Wszystkie wydarzenia były nagrywane i transmitowane do macierzystego posterunku funkcjonariusza. Standardowa procedura operacyjna. Może gdyby policjant użył mniej kategorycznego tonu... To było jednak zwykłe gdybanie, a Hansen nie zamierzał źle mówić o zmarłych. Na obrazie wideo drzwi się otworzyły. Zanim postać wewnątrz stała się dobrze widoczna, wszystko roztopiło się w plazmowym błysku, którego policjant nie miał nawet czasu zrozumieć.

Hansen wysiadł z pojazdu. Powietrze pachniało spalenizną. To z powodu pól siłowych, broni bandytów. I z powodu myśli płonących w głowie komisarza. Bolały go szczęki. Zaciskał je, oglądając śmierć funkcjonariusza. Wymruczany rozkaz Hansena usunął z wizjera okno kontroli oddziałów i zapis wideo, ale plazmowy błysk ciągle płonął mu brudną bielą w pamięci. Pech. Dla gliniarza, bo zapukał do niewłaściwych drzwi. I wielki pech dla Solbartha.

Czterej funkcjonariusze sił specjalnych przykucnęli za osłoną pola siłowego, rozciągniętego między pojazdami. Dwóch celowało z miotaczy plazmy, trzeci trzymał wyrzutnię pocisków o szerokim wylocie lufy, a kobieta, dowódca zespołu, miała zestaw kontrolny pola siłowego, pistolet i po długim nożu w każdym bucie. Cała czwórka ubrana była w rozszczepiające światło kombinezony maskujące, zamazujące kontury ich postaci i skutecznie uniemożliwiające przeciwnikowi znalezienie punktu celowania. Członkowie drużyny zachowywali kamienne twarze, udając, że nie zdają sobie sprawy z obecności dowódcy za plecami.

– Różowa Dwójka do Góry – powiedziała oficer. – Czy mamy pozwolenie na otwarcie ognia?

Pytanie nie dotarło do Hansena przez kanał łączności wewnętrznej, bo SI hełmu blokowała zgiełk nieistotnych rozmów funkcjonariuszy, który mógłby rozpraszać go i przeszkadzać w skupieniu się na rozwiązaniu problemu. Podszedł do kobiety i położył jej dłoń na ramieniu.

– Wszystko w swoim czasie, Dwójka. Spokojnie.

– Przepraszam, sir – odezwał się jeden z operatorów miotaczy plazmy, choć Hansen nie rozumiał, za co ten miałby go przepraszać.

Nie było powodu do przeprosin. Bez względu na to, jak świetnie było się wytrenowanym i jaką ilość doświadczenia zdobyło się podczas treningu wirtualnego, w prawdziwej operacji zawsze pojawiały się szczegóły i problemy, których nie dało się przewidzieć. Ktoś mówił coś niewłaściwego, ktoś zapominał o czymś ważnym... czasem nawet w niewłaściwym momencie padały strzały. I to było wybacalne, jeśli nikt przy tym nie ginął. Trening nie sięgał tak daleko. Sytuacje jak ta pobudzały najprymitywniejsze odruchy. Z ręką pozostającą na ramieniu Dwójki Hansen powiedział:

– Wsparcie. Szybki ogląd budynku, trzysta sześćdziesiąt stopni. Tylko lewa strona.

SI Hansena urządziła mu wirtualny spacer po pomieszczeniach bloku. Obrazy nagrywane z pozycji innych funkcjonariuszy były wyświetlane w lewej części wizjera, zmieniając obraz miejsca co dziesięć sekund w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara.

Funkcjonariusz patrolu ukryty w mieszkaniu po prawej stronie Hansena wystrzelił strumień igieł ogluszających w stronę kryjówki gangu. Pole siłowe zaiskrzyło, od plastiku fasady oderwało się kilka chmurek pyłu. Krople deszczu byłyby na tę odległość bardziej skuteczne niż jednogramowe igły.

Na dachu w połowie przecznicy ludzie z sił specjalnych zdjęli właśnie pokrowiec z czterocentymetrowego miotacza plazmy, który właśnie wydobyli z transportera opancerzonego. Dwie inne drużyny patrzyły w napięciu, kryjąc się za polem siłowym wzniesionym, aby osłonić instalację broni. Wiedzieli, że ten typ miotacza zdoła przebić ochronny ekran bandytów. Zdawali sobie jednak także sprawę, że rykoszety potężnych wyładowań energetycznych odbitych od silnego pola mogłyby spopielić każdy nieosłonięty obiekt w promieniu kilometra od celu.

Dziesięć sekund później. Biały pojazd powietrzny, oznaczony złotym pasem, zatrzymał się za polem siłowym obsadzonym funkcjonariuszami patrolu. Wsiadł z niego Holloway, komendant policji stołecznej. Starał się właśnie dopiąć na tłustym brzuchu kurtkę mundurową obwieszoną medalami.

Adiutant wyjął z wnętrza pojazdu dwie balistyczne strzelby myśliwskie i jedną z nich podał Hollowayowi. Obaj zabrali się do celowania, kiedy tylko technik otworzył w polu dwa małe otwory, umożliwiając zwierzchnikom ostrzał kryjówki bandytów. Nikt poza funkcjonariuszami sił specjalnych nie miał prawa używać broni ostrej. Nikt.

SI przełączyła wizjer na następny obraz. Hansen otwierał właśnie usta, żeby wydać rozkaz, którego posłuchać lub ponieść konsekwencje nieposłuszeństwa musiałby nawet Holloway, kiedy kątem prawego oka zauważył lej otwierający się w polu siłowym bandytów. Solbarth używał najwyraźniej pola nastrojonego tak, że nawet wydobyć broni otwierało zasłonę na tyle, aby umożliwić prowadzenie ognia. Taki sprzęt był zbyt drogi nawet dla sił specjalnych. Tym razem broń wycelowana w kierunku Hansena nie była miotaczem plazmowym.

– Uwaga! Padnij! – wrzasnął do ludzi stojących najbliżej, przekonanych o skuteczności pola ochronnego.

Hansen rozpląszczył się na ziemi, popychając dowódcę drużyny i mając nadzieję, że reszta policjantów miała dość rozumu, aby posłuchać komendy bez zadawania pytań. W otworze pola siłowego Solbartha coś błysnęło. Dziesięciokilogramowa rakietka z głowicą bojową pofrunęła w stronę celu, ciągnąc za sobą cienki ogon dymu. Pocisk prześlizgnął się nad kopułą policyjnego pola siłowego, które zatrzymałoby go bez zagrożenia wybuchem, i eksplodował gromem za plecami Hansena i jego ludzi.

Siła wybuchu pchnęła pojazd komisarza na bok. Mignęła mu jeszcze myśl, czy kierowca zdążył wysiąść, a potem chodnik roztrzaskał się. Wyjące odłamki powłoki pocisku poznały dziurami fasady budynków w promieniu dwudziestu metrów. Te, które uderzyły w wewnętrzną stronę pola, zasyczały i spłonęły, kiedy ich energia kinetyczna została zamieniona na ciepłą.

Hansenowi dzwoniło w uszach. Nikomu nic się nie stało, a jego pilot wysiadał właśnie z pojazdu z wyrazem oszołomienia na twarzy. Pocisk ze strzelby wałnął w fasadę kryjówki i zrykoszetował nad głową Hansena. Komisarz zaczerpnął tchu.

– Góra do wszystkich jednostek – odezwał się głosem brzmiącym w jego własnych uszach jak z wnętrza metalowej puszkii. – Wstrzymać ogień. Wszyscy wstrzymać ogień. Mówi komisarz Hansen, ta operacja znajduje się pod jurysdykcją sił spec... – Trzy następne pociski uderzyły w pole siłowe bandytów w miejscu, gdzie jego bąbel widoczny był w jednym z okien na trzecim piętrze. Kule

roztopiły się w strugach białych iskier. Odgłosy wystrzałów odbiły się echem w korytarzu między frontonami budynków; zabrzmiały jak seria z broni maszynowej. – Powtarzam, wstrzymać ogień – zarządził. – Funkcjonariusze sił specjalnych, proszę wprowadzić moje rozkazy w życie za pomocą wszelkich niezbędnych...

Lewa część wizjera Hansena ponownie pokazała komendanta Hollowaya akurat w momencie, kiedy jego tłuste ciało zatrzęsło się od odrzutu ciężkiej strzelby. Hansen miał nadzieję, że któryś z jego ludzi naszpikuje tyłek komendanta igłami ogłuszającymi, ale nie powiedział tego głośno. Nie zdążył dokończyć rozkazu, kiedy tył limuzyny Hollowaya eksplodował gejerem metalu i plastiku, a potem zapadł się w płomieniach. Ktoś z sił specjalnych wpakował w pojazd ładunek plazmy.

Cóż, osobiste motto Hansena brzmiało: „Żadne środki nie są zbyt drastyczne, jeśli załatwiają sprawę”. Holloway odrzucił strzelbę i zwinął się w kłębek. Jego adiutant próbował osłonić szefa, ale różnica gabarytów obydwu mężczyzn sprawiała, że wyglądało to prześmiesznie.

Słabe migotanie strumienia igieł ogłuszających, które uderzały o pole bandytów, również ustało. Hansen wstał. Czarny otwór w centrum pola siłowego splunął w jego kierunku plazmą. Drgnął, kiedy ładunek przeleciał mu pół metra od twarzy. Wydobył własny pistolet.

– Różowa Dwójka – odezwał się, żałując, że nie pamięta nazwiska kobiety. – Przygotuj się do otwarcia dla mnie przejścia.

– Będzie pan strzelał, sir?

– Dla mnie, niech was diabli! – krzyknął Hansen. – Dla mnie! Nie dla mojej broni!

Będzie musiał potem przeprosić.

– Tajest!

Był już wcześniej tak przerażony. Przerażony do tego stopnia, że dłonie mu się pocily, a drżenie mięśni stawiało mu dęba włoski na ramionach. Pewnie, był już tak przerażony. Ale nigdy nie był przerażony bardziej.

– Teraz – powiedział bardzo spokojnie.

Skoczył naprzód, kiedy pole nagle opadło, przepuszczając go. Do frontowej ściany budynku było trzydzieści metrów. Hansen przebiegł połowę dystansu w dziesięciu szybkich skokach, kiedy nagle w polu siłowym nad nim powstał otwór ziejący jak odbyt piekła.

Komisarz wystrzelił z pistoletu dwa superszybkie pociski, zanim jeszcze bandyta zdążył nacisnąć spust. Lustrzana powierzchnia pola zmętniała na chwilę, absorbując ładunek plazmy wystrzelony w przedśmiertnej konwulsji. Hansen zdecydował się na ten skok, bo nie mógłby wydać żadnemu ze swych ludzi takiego rozkazu, a poza tym powinien zrobić to sam. W siłach specjalnych nie było też nikogo, kto by się do tego lepiej nadawał.

Kawałki plastiku oderwane od fasady igłami oszałamiającymi i granatami bandytów fruwały w słońcu nad Kokori 212. W środku musieli mieć prawdziwy arsenał. To nie była już akcja policyjna, to była wojna. Albo miało się to przerodzić w wojnę, gdyby Hansenowi się nie udało.

Spojrzał w kierunku, z którego nadbiegł. Przykucnięte postaci, a raczej ich cienie za polaryzującymi osłonami pól siłowych, czekały z mechaniczną pasywnością. Dyszał ciężko, zarówno z powodu napięcia, jak i biegu. Pole siłowe bandytów kwitło bąblami w oknach nad nim. Było nastrojone na odbijanie światła, a nie tylko na jego rozmywanie. Solbarth musi chyba mieć tam generator fuzyjny... Ale nawet Solbarth nie mógł stawić czoła Konsensusowi.

– Wsparcie – odezwał się Hansen. – Pokaż mi obraz zdalny w dolnym kwadrancie z celownika działka cztero... – W ćwiartce wizjera jego hełmu znalazł się poszerzony w trybie wyszukiwania celu obraz z celownika działka, obsługiwanego przez drużynę naprzeciwko budynku numer 212. Widział samego siebie jako maleńką figurkę w rogu obrazu, wpatrzoną w bąbel pola fortecy powyżej. –

...centymetrowego – usta Hansena skończyły wymawiać rozkaz, który SI zdążyła już wykonać. Usłyszał trzask broni plazmowej, z której strzelano z tyłu budynku, ale nie miał czasu teraz się o to martwić. – Solbarth! – zawołał. Uniósł wizjer, tracąc sprzed oczu panoramiczny obraz, który mógł być mu potrzebny, gdyby... – Solbarth! – krzyknął ponownie, a jego głosu nie tłumiała już zasłona wizjera.

– Tu komisarz Hansen. Daję wam szansę.

– Komisarzu? – powiedział głos, który SI nadała do jego ucha. – Pomarańczowa Trójka. Mamy sondę na pozycji za ostatnimi pokrywami. Mamy przepalać?

– Niepotrzebna nam twoja szansa, Hansen – zawołał zimny, czysty głos z okna na trzecim piętrze. – Osiwiejesz i zestarzejesz się, zanim skończą się nam zapasy.

– Pomarańczowa Trójka, jeszcze nie – wymamrotał Hansen. Desperacko potrzebował obrazu z wnętrza kryjówki, ale wiedział, że i ta sonda zostanie zniszczona, jeśli zbyt wcześnie opuści swoje schronienie za warstwą metalu. Hansen ustawił wizjer w rozwarciu czterdziestu pięciu stopni, wystarczająco szeroko, by móc rozmawiać przez otwór. Zerknął na zniekształcony obraz w ćwiartce wizjera, który został natychmiast przystosowany przez SI do jego nowych potrzeb. Dlaczego nie przyszło mu do głowy, aby nakazać to maszynie? – Solbarth, zachowacie życie – powiedział Hansen. Słyszał stłumione głosy z niższych pięter budynku, ludzi modlących się lub szlochających w złożone dłonie. – To więcej, niż...

Hełm pisnął ostrzegawczo, wyświetlając w wizjerze czerwony symbol, ale Hansen unosił już broń, już celował, pokonywał luz skoku spustu. Czyjeś ramię trzymające broń o szerokim wylocie lufy wysunęło się przez okno pięć metrów nad jego głową. Strzelił dwukrotnie. Broń bandyty brzęknęła i odbiła się od zakrwawionego parapetu, zanim spadła na ulicę. Z boku szerokiej lufy był otwór, drugi przewiercał na wylot nadgarstek strzelca, który schował się z krzykiem za osłonę pola siłowego.

– Nie dostaniesz nas z takim sprzętem, Hansen – powiedział Solbarth tak spokojnie, jakby jęki rannego były zaledwie podmuchami wiatru. – Kiedy dostaniesz już to, czego faktycznie potrzebujesz, a właściwie jeśli to zrobisz, to cała ta dzielnica będzie radioaktywna przez następną dekadę.

Naga skóra dłoni i podbródka Hansena mrowiła od płomienia wylotowego pistoletu. Cienie funkcjonariuszy sił specjalnych poruszały się niespokojnie za polami siłowymi.

– Solbarth! – zawołał Hansen. – Jeśli nie poddacie się zaraz, wysadzę budynek pod wami. Pole siłowe prawdopodobnie wytrzyma, ale to nie będzie miało dla was żadnego znaczenia, bo zarówno wy, jak i wszystko inne wewnątrz tego pola spadnie do piwnicy, trzęsąc się jak ziarna w marakasach.

Cisza, która zapadła, była tak zupełna, że Hansen czuł pulsowanie pola siłowego przez ścianę, *budynku*.

– Dolne piętra są pełne cywilów – powiedział Solbarth. Hansenowi wydało się, że usłyszał lekkie drzenie w głosie szefa gangu, ale określenie „emocja” byłoby tu zbyt silne.

– Solbarth – odrzekł Hansen. – Znam cię, a ty znasz mnie. To jest operacja sił specjalnych. Nie odpowiadam przed nikim, aż do jej końca. I obiecuję ci, że zrobię, co powiedziałem. – Bardzo cicho, niemal szeptem dodał: – Pomarańczowa Trójka, naprzód. Wsparcie, przełącz wizjer.

– Statek kosmiczny – zażądał zimny głos. – Statek kosmiczny i twoje słowo, że możemy go wziąć i odlecieć, Hansen.

– Życie, Solbarth – odparł komisarz twardo. – A właściwie ta jego reszta, którą spędzicie w karcerach i na asteroidach więziennych, wybranych dla was przez Konsensus. Ale obiecuję, że przeżyjecie.

W wizjerze Hansena obraz z celownika działka zamienił się nagle w obraz wnętrza kryjówki

gangu. Wszystkie wewnętrzne ściany działowe zostały zdemontowane. Skrzynki żywności i wody sugerowały, że Solbarth wcale nie blefował, mówiąc, że mogą wytrzymać oblężenie. Ale nie lata oblężenia. Nie tych dwunastu mężczyzn i trzy kobiety, choć nadal zdolnych poruszać się o własnych siłach; bo w centrum pokoju leżały też zwłoki, a jęczący mężczyzna, z prawą ręką zwisającą na strzępie skóry, zwinął się w kłębek pod oknem, z którego strzelał.

Kobieta, która wstała właśnie od pulpitu sterowniczego systemów zabezpieczenia, aby włączyć się do trwającej dyskusji, była Mirzathianką, chudą jak szkielet i mierzącą prawie dwa metry wzrostu. Sonda, której sensory nagrywały obraz z kryjówki, zaznaczyła jasnym kolorem holograficzny ekran, którego powinna pilnować. Naciśnięcie jednego klawisza mogło zniszczyć obwody sondy, ale ani kobieta, ani nikt inny nie miał czasu, żeby ją zauważyć.

Solbarth był mężczyzną średniego wzrostu, o bladej skórze i idealnej urodzie. Miał na sobie luźny garnitur znacznie lepszego gatunku niż stroje noszone zwykle przez mieszkańców Dzielnicy Siódmej. Poruszał się nieco ospale, ale wyćwiczony wzrok Hansena dostrzegł wypukłość pistoletu na prawym biodrze, pod marynarką. Kiedy Hansen nosił garnitur, miał pistolet w tym samym miejscu.

– Wcale nie zamierza nas oszczędzić! – krzyczała Mirzathianka.

– Nie odważy się rozwalić tych wszystkich cywilów! – zahuczał głębokim głosem w tym samym momencie potężny mężczyzna z miotaczem plazmy opartym na ramieniu.

– Nie przyszedł tutaj, żeby nas okłamywać – powiedział Solbarth spokojnie, wskazując w dół na miejsce, w którym pod gzymsem stał Hansen. – To Hansen. Jest szalony... ale myślę, że mówi prawdę.

– Co mamy do stracenia? – marudził inny bandyta. – Albo nas rozwalą, albo skończy się to tak, że będziemy siedzieć tu, głodując i pijąc własne szczyny. Co gorszego mogą nam zrobić, jeśli faktycznie się poddamy?

– Zaraz – powiedział Solbarth. Zbliżył się do okna nad Hansenem. – Komisarzu, jest coś, czego o mnie nie wiesz. Jak mogę zaufać...

– Myślisz, że nie wiem, że jesteś androidem, Solbarth? – odparł Hansen. Jego słowa odbijały się echem w słuchawkach, przekazywane przez sondę szpiegowską z wnętrza kryjówki. – Oczywiście, że o tym wiem. Moja oferta jest nadal aktualna.

– Twoja oferta – powiedział Solbarth z naciskiem. – Ale Konsensus niszczy androidy różniące się parametrami od standardowych, Hansen. Nie możesz ręczyć za Konsensus.

Hansen wytarł dolną część twarzy lewą ręką. Pot lśnił mu na skórze, ale usta miał suche jak płyty chodnika.

– Solbarth – rzekł. – Jesteś łajdakiem i mordercą. Udusiłbym cię własnymi rękoma, gdybym tylko mógł. Ale jestem Hansen, dowódca sił specjalnych, i tutaj ja rządę. W tej chwili to ja jestem wszystkimi dwunastoma setkami światów Konsensusu. – Wziął głęboki oddech. – Mogą mnie wylać za zawarcie z wami tej umowy, ale muszą jej przestrzegać. Albo, na Boga, będą mieli do czynienia ze mną. Przysięgam na mój honor.

Na ekranie w wizjerze Hansena Solbarth odwrócił się do podwładnych.

– Sądzę – rzekł przyciszonym głosem – że powinniśmy przyjąć tę ofertę.

– A ja sądzą, że jesteś, kurwa, szalony! – warknęła Mirzathianka. Złapała wyrzutnię przeciwczołgową i pochyliła się w stronę okna.

Hansen nie był pewien, czy kiedykolwiek widział, żeby ktoś wydobył broń i strzelił tak nieludzko szybko jak Solbarth, choć z drugiej strony on nie był człowiekiem. Zawartość czaszki Mirzathianki zbryzgała wewnętrzną stronę pola siłowego i zaskwierczała. Pozbawione prędkości fragmenty kości i drobiny usmażonej krwi przeszły przez pole i przeleciały obok Hansena, spadając na chodnik.

Wewnątrz kryjówki padły jeszcze dwa strzały. Upadł potężny mężczyzna, nadal ściskając miotacz plazmy; albo chciał go użyć, albo sprawiał tylko takie wrażenie... albo, co było prawdopodobne, Solbarth postanowił dać wyraźny przykład reszcie swej bandy. Reszta upuściła broń na podłogę kryjówki. Nieduży mężczyzna krzychał, zakrywając twarz rękoma:

– Jestem czysty! Jestem czysty! Nie strzelaj!

– Hansen! – zawołał Solbarth, nie odwracając się od reszty bandy. – Przyjmujemy twoją propozycję! Ostrzeż swoich ludzi, że wychodzimy!

Android wystukał lewą ręką serię komend na konsoli systemu zabezpieczeń. W oknie nad Hansenem rozległ się elektroniczny pisk. Pole siłowe najpierw stało się przezroczyste, a potem całkiem znikło.

– Wszystkie jednostki, wstrzymać ogień – odezwał się Hansen. – Podejrzani poddają się. Powtarzam, poddają się. Błękitni, przygotować się do przejęcia więźniów. Pomarańczowi, przygotować się do wejścia na teren obiektu wraz ze służbami medycznymi. Jeden z więźniów jest ranny, a stanu mieszkańców budynku na razie nie znamy.

Sonda szpiegowska pokazywała Solbartha, który leniwym gestem ręki trzymającej pistolet nakazywał ostatnim ze swych ludzi zejść po schodach. Szczupły android ostrożnie odłożył broń na ziemię, skłonił się w stronę zamkniętego kanału wentylacyjnego, z którego pod wpływem palników sondy zaczęła schodzić farba, i wyszedł z pokoju.

Hansen nie potrafił powiedzieć, czy ukłon był ironiczny, czy też nie. Być może nie.

– Błękitni – rozkazał – towarzyszyć więźniom do aresztu po tym, jak oddacie ich w ręce patrolu miejskiego. Żadnych wypadków po drodze. – Przełknął ślinę. – Żadnych wypadków, bez względu na wszystko.

Sześciu funkcjonariuszy sił specjalnych nadbiegło ze swego stanowiska po drugiej stronie ulicy Kokori. Trzymali sieci i elektroniczne uprząże obezwładniające.

Pierwszy z ludzi Solbartha wystawił głowę przez drzwi wejściowe. Jego usta zastygły w nerwowym uśmiechu, przypominającym stężenie pośmiertne. W jego oczach widać było strach. Błękitna Jedyńka pokazał mu gestem, żeby się zbliżył, jak psu, którego chciałby pogłaskać. Człowiek spojrział w bok, na Hansena, a potem oddał się w ręce funkcjonariuszy czekających, aby go unieruchomić. Następny członek gangu poszedł za nim.

Hansen nadal trzymał pistolet. Próbował schować go do kabury, ale ręce za bardzo mu się trzęsły. Przeklinając pod nosem, odłożył broń na chodnik i złożył ręce razem. Na skrzyżowaniu, gdzie jego pojazd leżał na boku, doszło do zamieszania. Komisarz nie mógł jednak dostrzec, co się dzieje. Widok zasłaniały mu pola siłowe, zgodnie z procedurą nadal włączone.

Komendant Holloway nadchodził ulicą Kokori na czele grupki policjantów z patrolu. Biały mundur miał poplamiony czernią, twarz brunatną. Ciśnienie krwi mogło wkrótce dokonać tego, czego nie dokończył uderzający blisko ładunek plazmy.

Większość przestępców opuściła już budynek. Błękitna Jedyńka wydawała krótkie rozkazy gliniarzom z patrolu, którzy odbierali więźniów powiązanych sieciami w kokony. Kilku cywilów wystawiało głowy przez okna niższych pięter, oglądając zakończenie przeżytej właśnie przygody. Nigdy się nie dowiedzą, jak mało brakowało...

Hansen był zmęczony, zmęczony bardziej, niż pamiętał.

– Komisarzu! – krzyknął głos w radio. Kryjące się w nim zaniepokojenie było oczywiste, mimo zakłóceń w małych głośnikach hełmu Hansena. – Tu Różowa Dwójka, coś... – ostrzeżenie zamarło nagle, choć Hansen nadal słyszał stłumiony głos Różowej Dwójki krzyczącej zza bariery.

– Komisarzu Hansen – odezwał się głos mechanicznym tonem, zbędnym w czasach, kiedy SI

mogła wydawać odgłosy modulowane bardziej precyzyjnie niż przez zawodowego nauczyciela retoryki. – Został pan wezwany przez Konsensus.

Coś przypominającego czarne, rozmazane, wrzecionowate wiązki macek wyższe od człowieka przepłynęło przez pole siłowe blokujące skrzyżowanie. Za nim pojawiło się następne. Hansen nigdy nie widział czegoś takiego. Przenośne pole siłowe zaskwierczało i znikło.

– Nie teraz – powiedział. Nagle pot na jego dłoniach stał się zimny. – Muszę przecież...

Wizjer Hansena zgasł. Systemy hełmu wyłączyły się, nie działała wizja ani fonia. Komisarz zdjął go. Ręce już mu się nie trzęsły. Nie spojrział nawet na leżący na ziemi pistolet, choć palce stopy wykonały drobny ruch, który mógł uchodzić za drgnięcie lokalizujące broń.

Solbarth wynurzył się z budynku. Zamarł, patrząc pozbawionymi wyrazu oczyma na komisarza i zbliżające się do niego z wolna stworzenia.

Wrzeciona były półprzejryste. Pojazd antygrawitacyjny Hansena, poobijany, ale działający, sunął za nimi o szerokość dłoni nad ulicą. Pojazdu nikt nie prowadził. Pilot Krupczak stał obok Różowej Dwójki i gapił się na Hansena.

– Komisarzu Hansen, proszę wsiąść do pojazdu – odezwał się mechaniczny głos. Brzmiał dokładnie tak jak poprzednio, choć Hansen nie miał już na głowie hełmu.

– Dowodziłem tą operacją – głos Hansena brzmiał ochryple. – Nie macie podstaw, aby mnie usunąć ze stanowiska bez przesłuchania.

Wrzeciona zajęły miejsca po jego obu stronach. Hansen poczuł mrowienie skóry. Z bliska istoty nadal sprawiały wrażenie przezroczystych, ale zdawało mu się, że dostrzega coś wewnątrz czarnych macek i pomiędzy nimi. Sterowane elektrycznie drzwi pojazdu otworzyły się.

– Komisarzu Hansen – powtórzył głos – proszę wsiąść do pojazdu.

Hansen posłuchał, przesuwając lekko stopę, aby nie poruszyć pistoletu. Któryś z jego ludzi na pewno zajmie się bronią.

Pięćdziesiąt metrów dalej komendant Holloway oblizwał wargi. Wyglądał, jakby patrzył na obraz pornograficzny.

Drzwi zamknęły się za Hansenem. Dwa wrzeciona przepłynęły przez plastikowe płyty karoserii, osiadając z przodu, w części kierowcy. Hansen nie widział, żeby się zginały lub w jakiś sposób zmniejszały, ale ich czubki nie dotykały naznaczonej wybuchem podsufitki.

– Sir, czy mamy... – zawołał jeden z funkcjonariuszy sił specjalnych, przechylając się przez krawędź pobliskiego dachu z częściowo wycelowaną bronią plazmową w rękach.

– Nie! – krzyknął Hansen. Wystawił głowę przez rozbite boczne okienko i zawołał: – Nie, wracajcie do swoich zadań. – Nie rozumiał, co się dzieje, ale wiedział, że strzelanina nic nie pomoże. Pojazd powietrzny wystartował, zataczając ciasny okrąg lotem ślizgowym i przyspieszył, wznosząc się. – Mam wszelkie uprawnienia Konsensusu na wszystko, co tutaj zrobiłem – powiedział, choć zawsze tak twierdził, a załatwiał je sobie po fakcie. I zawsze się udawało. Aż do teraz.

– Konsensus nie jest zainteresowany pańskimi działaniami tutaj, komisarzu Hansen – powiedział głos. Słowa rozbrzmiewały mu w myślach, ale nie miały chyba nic wspólnego z eskortującymi go istotami. – Konsensus potrzebuje pana na planecie zwanej Światem Northa.

Pojazd wznosił się na trzysta metrów i poruszał się z prędkością, przy której wiatr był w otworach wybitych przez odłamki. Reszta pojazdów powietrznych starała się schodzić im z drogi. Hansen zmarszczył brwi.

– Czym jest Świat Northa? – wymamrotał.

Istoty, lub też sam głos, musiały usłyszeć go mimo wycia wiatru, gdyż zaraz rozbrzmiały mu w myślach metalicznie wypowiedane słowa:

– Konsensus udzieli panu niezbędnych informacji, komisarzu Hansen. We właściwym czasie.

Po raz pierwszy w życiu komisarz Nils Hansen pomyślał, że Konsensus Światów może być czymś więcej niż tylko aparatem biurokratycznej kontroli, którego sam był częścią.

North wyszedł z Matrycy, jak zwykle dysząc i łapiąc gwałtownie powietrze. Zawieszenie w tym świecie, łączącym Osiem Światów, było jak tonięcie w lodowatej wodzie. Nieskończony szereg drobnych zdarzeń wdzierał się w jego jaźń, przechodził przez niego, mroząc mu całe ciało, zagrażając istnieniu w lawinie dziewięciu równocześnie istniejących, oderwanych rzeczywistości. Prawie wolałby nie być bogiem.

– Ale to kłamstwo, North – powiedział Dowson z suchą precyzją, jedynym co mu pozostało po tym, jak emocje odebrano mu wraz z ciałem.

– A kim ty jesteś, żeby mówić o prawdzie i kłamstwie, Dowson? – spytał North. – Ty znasz wyłącznie fakty.

– Fakty to wszystko, co istnieje, North – odparł pozbawiony ciała mózg zawieszony w kadzi z ożywczym płynem. Słowa obmyły Northa jak zimna fala i zadzwoniły mu wewnątrz czaszki, ale nie były jednak tak zimne jak Matryca.

Zadrżał znowu i spojrzał w stronę sufitu pałacu, czerepu, pod którym zamrożone promienie słonecznego światła tworzyły sklepienie mogące nakryć całą armię.

– Nadchodzi jeszcze jeden – powiedział North. – Tym razem z zewnątrz. Przyszyła go Konsensus. Płyn w kadzi Dowsona brzmiał tymi samymi szmerami, jakie wydawał od wieków.

– Co z nimi zrobisz? – zapytał bezgłośnie, niczym kolorową falą wypływając z lodowego sopła obok kadzi. – Znajdziesz dla nich inny wymiar?

– Nie ma żadnych wolnych wymiarów, Dowson!

– Żadnych, o których byś wiedział, North – odparł mózg.

– Żadnych, o których ja bym wiedział. – Przez chwilę North wyobraził sobie, że pauza oznaczała smutek, ale gdy Dowson ponownie się odezwał, jego słowa były jak zwykle pozbawione emocji. – Wyślij ich do jaszczuroludzi. Niech się wzajemnie zniszczą.

Śmiech Northa zabrzmiał w odpowiedzi na gorzki żart. Wnętrze rozświetlonego słonecznymi promieniami budynku trzęsło się i drżało od cieni. North wyciągnął długie, węzłaste ramiona nad głową i powietrze stało się czyste.

– Pozostali będą musieli wiedzieć – ostrzegł Dowson.

– Pozostali będą chcieli wiedzieć – poprawił go North.

– Wezwę ich. – Jego prawa ręka poruszyła się w powietrzu. Świetlne punkty oddzieliły się od niej, jak gdyby kondensując się w atmosferze. Dziesiątki migających punktów pofrunęły, zataczając rozszerzające się kręgi, aż napotkały ściany pałacu i znikły. – Tym razem wysyłają tylko jednego – powiedział, próbując zapanować nad drżeniem, które wywołało w nim wspomnienie Matrycy. – Jednego mężczyznę.

– Zabijesz go? – zapytał niedbale Dowson.

– Nazywa się Hansen – powiedział North. – I posłuży moim celom.

Pojazd Hansena pędził w stronę okazałego budynku, który stał w rejonie stanowiącym jeszcze dwadzieścia lat temu peryferie stolicy. Teraz była to pozbawiona wyrazu dzielnica mieszkalna, całkiem podobna do tej, w której Solbarth plótł swą sieć kradzieży i zamętu. Na mapach, które Hansen często przeglądał w pracy, budynek oznaczony był jako własność Konsensusu. W każdej stolicy planetarnej stało jednak wiele budynków Konsensusu. „Pewnie magazyn” – pomyślał Hansen, i nadal by tak uważał, gdyby... Gdyby nie fakt, że dwie istoty, które zmusiły go do wejścia do pojazdu, zmierzały prosto w kierunku ściany frontowej. Hansen otworzył usta, aby zaprotestować, i zamknął je z powrotem, bo nie było nic, co mógłby powiedzieć, a o czym wrzecionowate istoty jeszcze by nie wiedziały.

Magazyn był stary, zbudowano go z gliny i materiału plastycznego, który twardniał po wylaniu. Tą techniką wznoszono solidne budynki, których brzydota zwracała uwagę nawet wtedy, kiedy były całkiem nowe.

Pojazd powietrzny leciał prosto z prędkością dwustu kilometrów na godzinę, na kursie kolizyjnym z tym ciemnym budynkiem. Mokra plama, która zostałaaby z Hansena przy tej prędkości, byłaby ledwie widoczna wśród plam i odcieni kolorów ziemi, które tworzyły teksturę ściany. Zmusił mięśnie do odprężenia. Niech i tak będzie. Pieszy na ulicy spojrzał w górę, zaskoczony. Pojazd powietrzny przeleciał przez ścianę. Hansen poczuł chłód. Znajdowali się w oświetlonym tunelu, którego okrągłe ściany odbijały echem pomruk silników.

– Gdzie jesteśmy? – Hansen zażądał wyjaśnienia. Hałas w uszkodzonym pojeździe był w zamkniętej przestrzeni jeszcze głośniejszy, lecz wiedział, że wrzeciona usłyszą go, jeśli tylko będą chciały. Ale w jego umyśle nie zabrzmiała żadna odpowiedź. Minęli parę skrzyżowań. Pół tuzina robotników z niemożliwymi do rozpoznania narzędziami spojrzało na pojazd. Jedna z twarzy zwróconych w stronę Hansena należała do nieczłowieka: błękitna, pokryta łuską i pozbawiona wyrazu tak samo jak twarze pozostałych robotników. – Dokąd lecimy? – krzyknął.

Nawet nie oczekiwał odpowiedzi. Kilka minut temu miał władzę. W pewien sposób, w tych okolicznościach był najpotężniejszym człowiekiem na Zwiastowaniu. Spojrzał na istoty w pojeździe i zastanowił się, czy jakikolwiek człowiek w Konsensusie faktycznie miał jakąkolwiek władzę. Wrzeciona kurczyły się; kiedy ujrzał je po raz pierwszy, były wyższe niż on sam. Teraz ich długość nie przekraczała długości jego uda. Zaskwierczały jak obwody elektroniczne tuż przed awarią i to, co działo się wewnątrz nich, stawało się coraz bardziej widoczne. Hansen odwrócił wzrok.

Tunel kończył się wyłożoną białymi płytkami rotundą, która pojawiła się tak nagle, że poczuł, jak pojazd hamuje, zanim oczy zdążyły się mu przyzwyczaić do zmiany scenerii. Czekwały na niego dwie postacie, dwóch ludzi... Nie, nie ludzi. To były androidy o męskiej powłoce. Pierwszy był piękny jak poranek, drugi zaś był ohydną parodią człowieka o grubych, pokręconych kończynach. Oba mogły pochodzić jednak z tej samej linii produkcyjnej.

Rotunda zaopatrzona była w wysoką kopułę. Wiodło od niej osiem łukowato sklepionych portali, wszystkie zamknięte zaś były drzwiami z brązu, także te, przez które przybył pojazd powietrzny.

– Proszę wysiąść, komisarzu Hansen – powiedział mu głos w głowie. Pojazd unosił się kilka centymetrów nad podłogą, zamiast osiąść z wyłączonymi wiatrakami silników.

– Proszę tędy, sir – powiedział piękny android. Musiał podnosić głos, aby Hansen usłyszał go poprzez hałas czyniony przez pojazd.

Android do mówienia używał ust. To była już zmiana na lepsze. Hansen wysiadł z pojazdu, który pomknął przez następny portal. Wrzeczona, które eskortowały komisarza, zmniejszyły się do długości ludzkiej dłoni. Znikając, wydawały skwierczące, gniewne odgłosy. Wewnątrz rotundy zapadła niemal całkowita cisza, kiedy znikły zarówno one, jak i pojazd.

– To potrwa tylko chwilę, sir – powiedział niekształtny android, unosząc szeroki wylot jakiegoś przyrządu. – Proszę się nie ruszać.

– O co...

– Proszę się nie ruszać – powiedział ten piękny, kiedy z wylotu przyrządu z sykiem wydobył się opalizujący bąbel, który rósł i drżał, nie odrywając się od aparatu. Android wyciągnął ręce po bokach Hansena i ukształtował ściany bąbla jak krawiec wygładzający odzież klienta.

– A teraz, sir, czy mógłby pan ostrożnie stanąć na tym? – poprosił brzydki android.

Hansen uniósł kolejno stopy, stając na podwójnej warstwie dolnej ściany bąbla. Zrozumiał w końcu. To była tymczasowa, atmosferyczna powłoka ochronna, membrana o częściowej przepuszczalności. Tlen dostawał się do jej środka, a dwutlenek węgla i inne gazy pochodzące z przemiany materii wydostawały się na zewnątrz bez względu na skład otaczającej go atmosfery.

Użyteczne narzędzie na wypadek katastrof chemicznych lub nawet pożaru, choć taka membrana nie potrafiła zatrzymać ciepła. Tymczasowe powłoki potrafiły utrzymać człowieka przy życiu w całkowitej próżni tak długo, jak tylko starczało tlenu wewnątrz bąbla.

Odrażający android uśmiechnął się, kontynuując swoją pracę. Hansen zakładał, że miał to być przyjazny wyraz twarzy. Przystojny android zdjął z pasa urządzenie wielkości dłoni. Zebrał szczupłymi dłońmi spłaszczony bąbel nad głową Hansena i dotknął krawędzi przyrządem, łącząc wszystko z cichym pyknięciem. Miejsce połączenia było widoczne jako świetlny ślad, kiedy Hansen poruszył się i wprawił bąbel w drżenie. Umysł podpowiadał mu fałszywie, że oddychanie przychodzi z trudem. Kontrolował wyraz twarzy, ale czuł, jak przyspiesza mu tętno.

– Doskonale, sir – powiedział brzydki android. – Teraz proszę udać się w tamtym kierunku.

Wyłączył przyrząd i wskazał gestem jeden z portali. Jego skóra lśniła niezwykłą bladością, którą niektóre androidy próbowały niekiedy maskować kosmetykami. Bez względu na kolor skóry ta istota nie mogłaby wyjść z ludzkiego łona.

Hansen posłuchał polecenia, idąc ostrożnie, aby membrana mogła dostosowywać swój kształt do ruchu. Widział i słyszał normalnie, poza lekkim drżeniem powietrza i delikatnym lśnieniem miejsc łączenia bąbla. Zmysły komisarza nadal przeładowane były hormonami z czasu starcia, z chwili ujęcia groźnego przestępcy, które powinno było stać się ukoronowaniem jego kariery, bez względu na to, jak długo przyszloby mu jeszcze służyć Konsensusowi... Był zmęczony wszystkim, co się stało.

– Dlaczego ja? – krzyknął. – Dlaczego to robicie?

Przystojny android pokręcił obojętnie głową. Schował przyrząd do łączenia brzegów membrany z powrotem do pochwy u pasa.

– Proszę się nie niepokoić, sir – powiedział. – Proszę wejść w portal.

„Czy wrota z brązu otworzą się?” – pomyślał Hansen. „Czy też...”

Przeszedł przez drzwi, które wydawały się wykonane z litego metalu. Natychmiast poczuł chłód. Zdawało mu się, że widzi atomy metalu ułożone na kształt struktury kryształu, ale zaraz znalazł się po drugiej stronie i stanął w ciemności większej niż ta, która ogarniała jego umysł. Pojawiło się różowe światło; tak słabe, że przez chwilę sądził, iż to tylko jego wzrok broni się przed wszechogarniającą ciemnością. Ale światło i kolor były prawdziwe. Znowu widział. Coś jakby barwa rozchodziło się we wszystkich kierunkach. Pochodziło z lodowego stalagmitu, wyrastającego ze środka posadzki gładkiej jak lustro. Hansen nie widział żadnych ścian, ale kula światła, ciemniejąc w miarę

zroszerzania się, wyłowila z mroku tuzin innych lodowych stożków. Wziął się w garść. Kiedy różowy blask dotarł do niego, głos w głowie przemówił:

– Popelniono przestępstwo, komisarzu Hansen.

Inne stalagmity wydzielaly kolorowy blask, slabiutki jak lśnienie słońca na skrzydłach motyla. Każda z barw byla w innym, pastelowym odcieniu, każda tak blada, że rozróżnić je można było tylko przez porównanie.

– To nie moja sprawa! – krzyknął. – Jeżeli popelniono przestępstwo, wypuście mnie stąd, abym mógł się nim zająć!

Hansen widzial, że za jego plecami nie ma już drzwi, tylko pustka i lustrzana przestrzeń. Obmył go zielony blask.

– Był pewien świat – powiedzial nowy głos, melodyjny i odrobinę bardziej surowy. – Zostal poznany i naniesiony na mapy. Nadawal się do zamieszkania. Zakładaliśmy...

Pomarańczowy blask. Głos jak cięcie bicza.

– Konsensus zakładał. Kapitan Rolls prowadził jednostkę zwiadowczą na ostatni rekonesans. Ale...

Znowu różowa neutralność.

– Ale oni zaginęli. Popelniono przestępstwo.

Kłębki światła dryfowały w górę, nie napotykając sklepienia. Hansen zbadał podłogę palcami stopy. Była stała, solidna. Zdawała się zimna, nawet przez buty i podwójną izolację membrany. Niemal wszystkie stalagmity lśniły teraz, pozbywając się brzemienia myśli i niby-światła.

– Słuchaj i zapamiętaj, komisarzu Hansen – powiedziala błękitna pewność w jego umyśle. – Wysłaliśmy następną grupę pod dowództwem kapitana Northa, sprawdzonych ludzi, którzy radzili już sobie z kryzysami na tuzinie innych światów nadających się do kolonizacji. Wierne...

– Wierne sługi Konsensusu – czerwony głos odezwał się z drżeniem. Przypominał Hansenowi głosy polityków domagających się zdecydowanych działań, którzy nigdy nie stali nad zwłokami po strzelaninie w ciemnej uliczce, zastanawiając się, jak niewiele pozostaje z człowieka, kiedy jego życie ustanie. – North oczyszczał światy, zapładniał je życiem, zmieniał warunki pogodowe, wypiętrzał kontynenty, łamał opór wobec Kon...

– Konsensusu – zaszeptał fiolet. – North doniósł, że znowu mu się powiodło, że powinniśmy natychmiast przysłać kolonistów, że wszystko jest gotowe do zasiedlania. Powiedział też, że planetę powinniśmy nazwać Światem Northa, bo jego prawem jest nadanie planecie swego imienia.

Błękitna mgła otoczyła Hansena.

– Wysłaliśmy kolonistów, ponieważ...

– Ponieważ North był wiernym sługą – dołączyły się czerwone tony. – Bezwzględny i zdolny sługą, jakich potrzebuje Konsensus. Ale North i jego zespół nie powrócili z planety zgodnie z planem, a nowa kolonia...

– Planeta zniknęła – odezwało się różowe światło. – Popelniono przestępstwo, komisarzu Hansen. Skradziono kolonię. Skradziono planetę.

– Skradziono Świat Northa – w umyśle Hansena zadudniły głosy wszystkich dwunastu odcieni światła.

– Dowie się pan, dlaczego i znajdzie sposób uleczenia sytuacji.

Podłogę, na którym stał Hansen, było pozbawione granic w przestrzeni, ale nie sądził już, żeby ta przestrzeń była pusta. W oddali kryły się kształty, ogromne jak burze na gazowych gigantach.

– To nie ma ze mną nic wspólnego! – krzyknął z fatalistyczną determinacją. – Kolonii nie wysłano ze Zwiastowania, North nie pochodził („A może?”) stąd. Mam własne obowiązki.

Pozwólcie mi do nich wrócić.

Padło na niego światło jak żółty blask słońca. Gdyby lodowce mogły się śmiać, wrażenie w jego umyśle byłoby właśnie takim zimnym śmiechem.

– Ma pan obowiązki wobec Konsensusu, komisarzu Hansen – powiedział głos. – Konsensus żąda, aby zajął się pan tym. Został pan wybrany spośród...

– Spośród wielu – dokończyło fioletowe światło. – Spośród wszystkich planet Konsensusu, spośród wszystkich istot...

– Przeszukano zapisy – odezwał się zimny, błękitny głos.

– W zamierzchłych wiekach świat ten zasiedlili Lomeri...

– Lud jaszczurów – dodał różowy głos. – Ale gdy przybyły ekipy poszukiwawcze, nie było ich tam. Doszło do...

– Doszło do przestępstwa, komisarzu Hansen – zamruczał głos pastelowego koloru, tak słabego, że mógł być brązowy albo też różowy. – Kiedy wylądował zespół Rollsa, zameldowali o wodnym świecie, pokrytym łańcuchem wysp...

– Łańcuchem wysp i pozbawionym innego lądu – powiedział głos żółtego światła. – Ale North doniósł o czterdziestu sześciu procentach powierzchni planety pokrytych lądem.

– A teraz zniknął i świat, i North, a wraz z nimi kolonia – podsumował różowy głos. – Popełniono przestępstwo i pan musi je rozwikłać...

– Uleczyć sytuację – przemówił z naciskiem czerwony głos, głos polityka. – Ukarać przestępców z całą surowością praw Konsensusu, bo wola Konsensusu jest prawem wszechświata...

– Całego wszechświata, poza Światem Northa – podjął błękit. – Ten świat nie uznaje Konsensusu, podobnie jak Lomeri...

– Lomeri, którzy byli ludem jaszczurów, a którzy obrócili się w pył tysiąc tysiącleci przed nastaniem człowieka – dodał ostry głos, pomarańczowy. – A przed Lomeri byli jeszcze inni osadnicy, jesteśmy tego pewni...

– Konsensus jest tego pewny – wyszeptał fiolet. – Choć to odległa przeszłość nawet dla Konsensusu.

– Odległa nawet dla nas... – wymamrotały chórem kolorowe głosy.

Hansen poczuł, jak komora drży, jakby pod wpływem westchnienia. Czuł chłód pod podeszwami stóp, a membrana wokół niego osiadała powoli, wcale nie tylko w jego wyobraźni. Powodował to wydychany dwutlenek węgla, nie równoważony odpowiednią ilością tlenu.

– To nie moja sprawa – powiedział Hansen. – Nie wiem... – przerwał. Znajdował się w centrum lśniącego kręgu, który zdawał się rozszerzać w nieskończoność, jak kula plazmy wygenerowana przez ładunek nuklearny w przestrzeni międzygwiazdnej. – Proszę wysłać flotę – odezwał się celowo bezosobowo, nie wiedząc, jaka forma jest odpowiednia dla rozmawiających z nim istot. – Jestem tylko człowiekiem, tylko gliniarzem. Nie potrafię znajdować planet. Potrzebny wam...

– Wysłano flotę – przemówił głos, kiedy świetlne błyski oderwały się od różowo-brązowego stalagmitu. – Flotę, potem następną flotę...

– Potem znowu flotę – powtórzył jak echo różowy głos. – W pierwszej wyprawie udział wzięli ludzie. Zaginęli...

– Chociaż sondy spenetrowały obszar, w którym powinien znajdować się Świat Northa, nie znalazły niczego – powiedział błękit. – Wysłaliśmy więc...

– Konsensus wysłał następną flotę – rzekł czerwony głos.

– Obsadzoną androidami, gotową zniszczyć wszystko, co pojawi się w martwej strefie, w rejonie...

– W rejonie, który zakpił sobie z majestatu Konsensusu – podjął fioletowy głos. – I kiedy androidy znikły bez ostrzeżenia, bez meldunku, wysłaliśmy trzecią flotę, samą w sobie będącą wielką maszyną, żyjącą i myślącą, choć...

– Choć nie tak, jak myślą ludzie, i nie była ona częścią Konsensusu – żółty głos ukrył śmiech. – I ona zniknęła, komisarzu Hansen, jakby jej nigdy nie było... Chociaż maszyny będące tylko maszynami ignorują ten rejon, przelatują przez niego.

Hansen czuł nacisk słów, myśli wszędzie dookoła. Membrana nie stanowiła przed nimi ochrony. Całe jego ciało ogarniało odrętwienie.

– Floty zawiodły – powiedział czerwony blask. – Więc wysyłamy ciebie, Hansen. Uzbroimy cię...

– Ale floty też były uzbrojone. – Światło o zielonym odcieniu zamigotało. – Będiesz sam, dlatego może uda ci się niepostrzeżenie przedostać przez osłonę...

– Spenetrować tajemnicę... – zamamrotał brązowo-różowy.

– Jest pan najlepszym człowiekiem do tego zadania – ozwały się wszystkie głosy. – Ze wszystkich planet Konsensusu, całego Konsensusu.

– Jesteś pomysłowy... komisarz Hansen jest pomysłowy... Jesteś pomysłowy, komisarzu – przemówiły, zaszemrały, zamruczały głosy w myśli Hansena.

A potem jedna myśl, tak szybka i zdecydowana, że mogła należeć do samego Hansena i być może należała do niego...

– Komisarz Nils Hansen wypełni wolę Konsensusu.

Światło padające przez kryształowe panele sklepienia było nadzwyczaj jasne, ale nie oślepiające. Część postaci zasiadających wokół sali używało go, aby podkreślić najlepsze cechy swego wyglądu. Inne zamieniały światło w zasłony i kryły się jak cienie pośród opalizującego piękna, które ukrywało ich twarze lepiej, niż mogłaby uczynić to ciemność.

North siedział na tronie i patrzył na swych poddanych. Jego lewe oko nie podążało za prawym. Istniały granice mocy, nawet mocy Northa, a lodowate ścieżki Matrycy żądały ceny w zamian za swe tajemnice.

– Ostatnia sonda wysłana przez pozaświatowców jest bez znaczenia – powiedział Rolls ze swego miejsca w pobliżu wrót. Był niemal tak wysoki jak North i wystarczająco ciężki, żeby sprawiać wrażenie miękkiego... na pierwszy rzut oka. – Każdy z nas może się tym zająć...

– Z przyjemnością – powiedział Rao. Uśmiech oczekiwania wypłynął na jego szeroką, ciemną twarz.

Kurtyna światła obok Rao odsunęła się na moment, kiedy Ngoya wyciągnęła rękę, aby pogłaskać gruby nadgarstek męża i uciszyć go. Rao nie interesował się sprawami, które Rolls i wielu innych uważało za istotne. Nie był zdolny ich zrozumieć. Ngoya często wstydziła się za swego męża, bo z kolei ona nie rozumiała, że prostolinijność stanowiła jego największą siłę.

– Znaczenie ma zagrożenie Diamentu – rzekła Miyoko, kierując palec wskazujący na Rollsa i akcentując w ten sposób swoje słowa. – Nie możemy rozważać wysłania tego najeźdźcy do Diamentu, dopóki przynajmniej nie zrozumiemy...

– Nie wiemy, czy istnieje jakiegokolwiek zagrożenie – sprzeciwił się Saburo, nie tyle nie zgadzając się z siostrą, ile próbując ją uspokoić. Spojrzał niespokojnie na Northa, starając się wyczytać cokolwiek z wyrazu twardych rysów twarzy człowieka, który prowadził zarówno swój zespół, jak i jednostkę zwiadowczą, do której Saburo należał, odkąd... Nie. „Odkąd” sugerowało okres skończony. Saburo skupił myśli, jego rysy ściągnęły się. Skinął Rollswi przepraszająco głową.

– Diament jest w niebezpieczeństwie – powiedział Rolls.

– Bez względu na to, czy dostrzegamy, skąd ono nadchodzi. – Spojrzał na Northa, potem poprzez salę na Eisner. – Przyznaję, że ja nie dostrzegam źródła zagrożenia.

Eisner przytaknęła ruchem głowy. Ani North, ani jego twarz nie mówiły nic.

– Nie rozumiem, w czym problem – powiedziała Penny.

– W ogóle nie rozumiem, po co się tu zebraliśmy.

Penny bawiła się własnym wyglądem. Mówiąc, z drobnej, dwudziestoletniej, rudowłosej dziewczyny stała się wysoka i czarnowłosa; piękność, której twarz zapowiadała zarówno doświadczenie, jak i namiętność... i znowu stała się rudym podlotkiem. Kurtyna światła służyła jej za zwierciadło, a klejnot na piersi emanował mocą spełniającą jej życzenia.

– Mieszkańcy Diamentu... – zaczęła Eisner mentorskim tonem, tak samo drażniącym zgromadzonych, jak ją drażniła dbałość Penny o wygląd zewnętrzny.

– Tak, tak, wiem – przerwała Penny, znowu flirtując z poprzednim, rudowłosym wizerunkiem. – Cierpią koszmary, straszne koszmary i to bardzo smutne, ale naprawdę nic nie może ich spotkać, bo tylko my potrafimy osiągnąć ich i Rubinu... – Powiodła po pomieszczeniu wyzywającym spojrzeniem. – A gdybyśmy to zrobili, zniknęłaby równowaga i wszyscy byśmy... – Przybrała na twarz wyraz niesmaku i lekceważąco machnęła palcami, w tej chwili długimi i arystokratycznymi. –

Oczywiście nie sugeruję, że ktokolwiek mógłby naprawdę to zrobić...

Fortin przeciągnął się z uśmiechem. Jego biała skóra i idealne rysy twarzy były dziedzictwem po matce-androidzie, ale złowieszcza subtelność umysłu była jego własnym talentem... lub dziedzictwem Northa, jego ojca.

– Kto może zarzucić błąd rozumowania naszej Penny? – rzekł.

Jego sarkastyczny ton ciął głęboko, tym głębiej, że Penny mówiła prawdę. Nikt jednak w realność zagrożenia nie wątpił. Z wyjątkiem Penny, której nic nie obchodziło. Oprócz Rao, który nie potrafił sobie zagrożenia wyobrazić. I oprócz Dowsona, który nie dostrzegał zagrożenia dla Matrycy, a któremu brakowało cielesnego bagażu emocji, mogących stworzyć wrażenie zagrożenia nie popartego przez rzeczywiste dane.

– Nadal uważam, że nie powinniśmy ryzykować wysyłania intruza do Diamentu, dopóki nie dowiemy się, co się właściwie dzieje – powiedział spokojnie Rolls.

– Z drugiej strony – odezwała się Eisner – gdyby umieścić intruza w Diamencie, moglibyśmy dowiedzieć się więcej o zagrożeniu...

– Moglibyśmy dowiedzieć się, że to on stanowi zagrożenie! – przerwała Miyoko. – Umieścimy go w Rubinie. Tam sobie z nim poradzą!

– Albo umieścimy go w wymiarze Lomeri – dodał jej brat.

– Przybywa spoza Matrycy i mamy całkowitą kontrolę nad miejscem, do którego trafi. Nie ma sensu podejmować ryzyka.

– Skinął głową Miyoko. – Mimo że ryzyko to jest kwestią sporną.

– Umieścimy intruza w Diamencie – powiedział North, odzywając się po raz pierwszy podczas zgromadzenia. – Bo tylko tam możemy być pewni, że odbiorą mu wszelką broń. – Uśmiechnął się. – Nie czyniąc mu przy tym krzywdy.

– Co nas obchodzi jego krzywda? – spytał Rao. – To znaczy, nie sprzeciwiam się, ale to tylko pozaświatowiec. Prawda?

Spojrzał po zebranych, jakby chcąc się upewnić, że nie przeoczył niczego ważnego. Ngoya poklepała go po ramieniu. North skinął głową.

– Rozumiem twój punkt widzenia, przyjacielu – rzekł – ale wejrzałem w Matrycę na tyle głęboko, aby mieć pewność, że ten Hansen nie stanowi zagrożenia dla Diamentu.

– Ale... – zaczęła Miyoko.

– A ja – ciągnął North – mam własne powody, aby utrzymać go na razie w dobrym zdrowiu. Nie muszę chyba przeproszać nikogo za to, że nie zabiłem?

– Rób więc, co chcesz – powiedziała Penny, zdecydowana ostatecznie na postać rudowłosej dziewczyny. – I tak w końcu zrobisz, jak zechcesz. Nie rozumiem, czemu nas tu w ogóle wezwwałś.

Fortin roześmiał się. Penny znowu miała całkowitą rację...

Rolls czekał na Eisner w drzwiach pałacu Northa, kiedy opuszczali zgromadzenie. Uśmiechnęła się do niego, ale uśmiech nie sięgnął jej oczu.

– On dostrzega coś w Matrycy – powiedziała, ruchem głowy wskazując przywódcę i gospodarza. – A ty? Widzisz coś?

Włosy Eisner miały kolor mysiej sierści. Kilka kosmyków, które wymknęły się z ciasnego koka, powiewało na wietrze. Rolls wzruszył ramionami.

– North prowadzi swoje gry – odrzekł. – Gdyby było tam coś godnego zauważenia, wiedzielibyśmy o tym. Chociaż...

Żadne z nich nie odzywało się przez chwilę. Wpatrywali się w członków rady opuszczających

zgrupowanie. Niektórzy zdradzali niepokój, inni nie.

Rao zaprzęgał do wozu parę ceratopsów z wymiaru Lomeri. Większość stworzeń nadających się do zaprzęgów lub pod wierzch nie zwracała uwagi na dinozaury, ale olbrzymi dinohyd Saburo wymieniał z dużo większymi zwierzętami Rao gniewne pomruki i tupnięcia.

Eisner skinęła głową.

– Miłego dnia – powiedziała i odwróciła się.

– Pozwól, że cię odwiozę – zwrócił się do niej Rolls. – Nie musisz wracać pieszo.

– Niczego nie muszę robić – stwierdziła cierpko kobieta.

– Nikt z nas nie musi. – Eisner była szczupła i pozornie niewysoka, ale tylko Rao i North nie wydawali się skurczeni, stojąc obok niej. – Ale dobrze – dodała. – W porządku, nie muszę iść pieszo.

Rolls podszedł do olbrzymiego stworzenia i pozwolił mu obwąchać dłoń, zanim go dosiadł. Zwierzę zrzuciło niedawno rogi i wydawało się dziwnie nagie. Z drugiej strony, zakładanie uzdy wierzchowcowi mającemu poroże o rozpiętości trzech metrów nie było wygodne.

Wszystko było kwestią kaprysu – dla Rollsa, dla nich wszystkich – odkąd North odkrył zwrot Matrycy dający im wszystkim to, czego najbardziej pragnęli.

Rolls pochylił się w siodle i posadził Eisner przed sobą. Kręgosłup stworzenia przebiegał wyżej na grzbiecie i był ostrzejszy niż u konia, dlatego siodło musiało być specjalnie przygotowane. Konie lepiej nadawały się na wierzchowce, pojazdy powietrzne zapewniały większą szybkość, ale najpraktyczniejszym sposobem poruszania się dla Rollsa i dla innych był ten, który dawał najwięcej rozrywki i zapewniał szacunek. Z początku trudno było sobie wyobrazić, że mogą istnieć jakiegokolwiek negatywne strony boskiej mocy. Eisner próbowała dosiąść ceratopsa po męsku, jak Rolls, ale ten obrócił ją, posadził w siodle bokiem i otoczył ramieniem w talii, żeby zapewnić oparcie. Spojrzała mu w oczy.

– Znowu twoje gierki, Rolls? Powinieneś się już czegoś nauczyć – powiedziała chłodno.

Rolls wzruszył ramionami.

– Siodło zaprojektowano dla mnie, tak będzie ci wygodniej – odparł. – Bardziej praktycznie, jeśli wolisz. – Cmoknął na wierzchowca. Ten posłusznie ruszył, długimi nogami wybijając rytm galopu, kroku najwygodniejszego dla jeźdźcy. Eisner pociągnęła nosem, ale nie sprzeciwiała się więcej dotykowi Rollsa, choć nadal siedziała sztywno, nie opierając się o jego ramię. Rolls utrzymywał kontakt pomiędzy nimi na koniecznym poziomie. Jego łagodny urok działał tak skutecznie, bo kryło się pod nim autentyczne zainteresowanie losem bliźnich. Uśmiechnął się do siebie. Można by nawet powiedzieć, że los bliźnich w pewnym sensie nim rządził. Trawiasta równina umykała spod kopyt stworzenia. Zaokrąglony dach pałacu Eisner wyłonił się spomiędzy drzew. – Pamiętasz jeszcze, kiedy czas miał dla nas znaczenie? – spytał.

Eisner poruszyła się, aby spojrzeć mu w oczy; jej lewe udo dotknęło jego nogi.

– Czas nadal ma znaczenie, Rolls. Czas oznacza, że wszystko umiera. Nawet my...

Eisner wyglądała na starszą, niż faktycznie była, gdy jednostka Rollsa przybyła badać planetę. Moc nie przywróciła młodości ani jej twarzy, ani umysłowi, który dużo bardziej niż wiek przyczynił się do powstawania na jej twarzy zmarszczek.

Posłuszny tresurze, bardziej niż jakiegokolwiek komendzie, ceratops zatrzymał się przed pozbawioną okien kopułą, pałacem Eisner. Rolls wyciągnął ramię, silne jak stalowa sztaba, aby podtrzymać kobietę, kiedy ta zsuwała się z siodła. Spojrzała na niego.

– Stworzyliśmy Diament i Rubin jako wszechświaty pochodne, połączone z Matrycą mocą naszych umysłów.

Rolls skinął głową.

– Kaprys. Chęć stworzenia ideału, którego nie potrafimy osiągnąć w nas samych.

Przerzucił nogę nad grzbietem stworzenia i stanął obok Eisner. Udawał, że nie dostrzega ostrożności w oczach kobiety, wywołanej sugestią, że zamierza wejść do jej pałacu.

Eisner skrzywiła się.

– Niech tak będzie – powiedziała i podeszła do drzwi, które otworzyły się, wykrywając jej obecność. Eisner nie miała służby. – Jeśli ktoś z nas zniszczy Diament – ciągnęła – nasze umysły stracą równowagę wraz z Matrycą i... ze wszystkimi z nas. Ale tylko my możemy zagrozić Diamentowi.

– Gdyby tak naprawdę było – powiedział Rolls, schylając głowę w wejściu – Diament nie znajdowałby się w niebezpieczeństwie. Jest jednak inaczej.

Choć sklepienia w domu Eisner były pełnowymiarowe, kobieta skonstruowała ościeżnicę wrót w taki sposób, aby znajdowała się centymetr nad jej głową. Eisner rzadko miewała gości i, jak twierdziła, nie czekała na nich.

– Jest jeszcze Fortin – rzekła, odwracając się. – Jest szalony.

Wrota za plecami Rollsa pozostały otwarte, jako nieme zapewnienie, że zawsze może wyjść.

– Fortin jest bardzo sprytny – powiedział Rolls. – Choć faktycznie jego spryt ma raczej destruktywną naturę. Ale nie zamierza umierać przed końcem swego czasu, Eisner. Nie przed końcem naszego czasu.

Zerknął na książki, ustawione w chwiejne stosy. Różne formaty, różne okładki. Komputery stanowiły lepszy sposób na dotarcie do wiedzy, a Matryca zawierała wszelką dostępną mądrość, oczywiście dla tych, którym starczało cierpliwości na przemierzanie jej mroźnych, splątanych ścieżek. Eisner korzystała z obu tych środków, bo nauka nie ma końca, ale książki były symbolem. Symbole były w Świecie Northa niezwykle realne.

– Jest coś, czego nie dostrzegamy... – wymamrotała.

– Zmieniamy się – odparł Rolls, obserwując gospodynię kącikiem oka.

– My nie podlegamy zmianom – parsknęła Eisner, odwracając się plecami do Rollsa i krzyżując ramiona na piersi. Jej biust, nie zwracający uwagi podobnie jak jej twarz i włosy, ukryty był pod kombinezonem, który zawsze nosiła. – Jesteśmy starzy i starzejemy się dalej, ale się nie zmieniamy. Nie potrafimy zmienić samych siebie...

Rolls dotknął jej ramienia.

– Wiesz, o co mi chodzi – powiedział.

– ...Może tylko Penny ze swym naszyjnikiem – kontynuowała Eisner. Jej głos, niezbyt przyjemny na co dzień, brzmiał teraz zgrzytliwie jak piła. – Ona potrafi się zmieniać.

– Penny dostała to, czego pragnęła – powiedział Rolls. Zamiast odwrócić, obszedł ją dookoła i stanął przed nią. – Ty masz... – wykonał nieokreślony gest lewą ręką. – Chciałaś wiedzy. Nie zamieniłabyś jej na naszyjnik Penny, prawda?

– Nie, skądże – zgodziła się Eisner, opuszczając ramiona z wysiłkiem. A przecież patrzyła w oczy swego gościa tylko przez chwilę. – Mam dokładnie to, czego chciałam.

– Ale nie musimy przecież ograniczać się do jednej tylko rzeczy – powiedział Rolls. – Mamy wszelką moc, Eisner, niczym bogowie. Ale zadowolamy się... karykaturami. – Jego ręce zatoczyły pusty okrąg. – Jak Penny. Jak jej wygląd.

– Jak jej kochankowie, chciałeś powiedzieć! – dodała Eisner.

Wyraz twarzy Rollsa złagodniał na widok bólu w oczach kobiety.

– To ten sam problem, Eisner, wiesz o tym. Nie ma żadnego powodu, byśmy nie mogli znowu... –

Powoli wyciągnął dłoń, sięgając do piersi Eisner. – ...być w pełni ludźmi.

Eisner uderzyła go w rękę i odwróciła się plecami.

– Nie chcę! – krzyknęła. – A ty wcale nie chcesz mnie. Nie naprawdę – dodała dużo ciszej.

– Chcę ciebie – powiedział Rolls. – Chcę, żebyś była...

– Wyjdź! – zażądała Eisner, odwracając się do Rollsa i wskazując mu drzwi. – Wynoś się.

Twoje współczucie nie jest mi potrzebne.

– Jak sobie życzysz – powiedział wysoki mężczyzna posłusznie, ale zatrzymał się na chwilę, schylony w drzwiach. – Nie jest za późno, aby się zmienić, Eisner – rzucił przez ramię.

– Nie ma nic, co chciałabym zmienić! – Rolls usłyszał jej krzyk, kiedy zamknęły się za nim drzwi.

W jej głosie nie było wątpliwości, ale zdawało mu się, że usłyszał w nim smutek.

– Brak anormalnych emanacji ze strefy docelowej – zameldowała SI kontrolująca kapsułę Hansena.

W aktualnym stanie promieniowanie kapsuły w całym spektrum było tak bliskie zera, jak pozwalała na to technologia Konsensusu. Oznaczało to, że Hansen pozbawiony był radaru, laserowych dalmierzy i wszelkiego sprzętu namiarowego. Liczył na to, że cel sam się ujawni, kiedy kapsuła zbliży się do niego na wystarczającą odległość. Jeżeli North potrafił osłonić całą planetę tak samo dokładnie, jak naukowcy Konsensusu ukryli kapsułę, oba obiekty zderzą się w dość wstrząsający dla komisarza sposób.

– W ciemną, burzliwą noc... – nucił Hansen. – Miał głos o przyjemnym brzmieniu, ale nawet przy dobrym samopoczuciu nie potrafił trzymać się melodii. – ...Padał wtedy deszcz...

Ale dobrego samopoczucia nie miał wówczas, gdy był przerażony i przypięty do fotela w ciemności rozjaśnianej tylko przez mętne światło wyświetlaczy przyrządów. W trybie niskiej wykrywalności SI kapsuły wyłączyła wszystkie zbędne urządzenia, których energia mogłaby zostać wykryta z zewnątrz w postaci ciepła.

Hansen nie mógł nic zrobić. Przez następne minuty tylko czekał na śmierć, nie mogąc nic na to wszystko poradzić. W strzelaninach jego życie bywało już zagrożone, ale nie w ten sposób. Wtedy miał w ręku broń lub choćby możliwość jej zdobycia...

– ...chłopak z dziewczyną w ramionach... – fałszował Hansen – ...z dziewczyną, która smutno zwiesiła głowę...

Dłonie mu się pociły, skóra cierpła i zastanawiał się, jak to jest znaleźć pod ogniem artylerii systemów obronnych, zdany na łaskę niewidocznych, odległych istot.

– Czas do celu: pięć sekund – powiedziała SI.

Danych służących za podstawę wyliczeń nie brakowało...

– Cztery...

...ponieważ obserwatorzy Konsensusu widzieli, jak trzy floty znikają w punkcie docelowym.

– Trzy...

Głosy we mgle mogły uważać, że kapsuła szpiegowska prześlizgnie się niepostrzeżenie...

– Dwie...

...ale Hansen w to nie wierzył.

– Jedna...

Jeśli flot nie zniszczyło zderzenie i natychmiastowa śmierć załóg, to...

– K... – zaczęła SI, nie kończąc słowa „kontakt”.

Konsole zamarły, wewnątrz kapsuły pograżyło się w ciemności. Hansen słyszał krew huczącą mu w uszach. Następna zwrotka piosenki zaczynała się od słów: „To z nich, które niewinne było, zaczęło płakać”. Śpiewałby dalej, aby udowodnić tym draniom gdzieś tam, iż zamknięcie w przedsionku piekła, dopóki nie skończy mu się tlen, to za mało, żeby go przestraszyć, ale zaschło mu w ustach.

Kadłub kapsuły zadrżał. Jedna z płyt pokrywy poruszyła się jak trącona wiatrem stara dachówka. Komisarza załało światło wpadające przez szczelinę, która powiększyła się jeszcze, kiedy płyta odpadła zupełnie. Trójwarstwowy pancerz ochronny kapsuły topił się już i zapadał jak truchło wyrzuconej na brzeg meduzy. Ekrany konsoli nadal były nieaktywne. Hansen też powinien nie żyć. Ilość ciepła potrzebna, aby zdeintegrować kapsułę, zwęgliłaby mu ciało, zanim zdążyłby pojąć, że

umiera. Nie żeby pojmował, co się dzieje teraz. Trzy kolejne płyty odpadły i zadzwoniły, uderzając o ziemię.

Hansen nadal niewiele widział; tylko niebo i imponujących rozmiarów cumulusy na horyzoncie. Nacisnął przycisk szybkiego otwierania uprząży i wstał z nijakim wyrazem twarzy. Znajdował się jakieś dwieście metrów nad ziemią, na szczycie wysokiego budynku. Patrzył na rozciągającą się wokół panoramę schludnych pól uprawnych, i... właśnie...

Podłoże kapsuły poddało się i Hansen opadł na dach, trzydzieści centymetrów niżej. Nie powinno było go to zdziwić, biorąc pod uwagę stan kadłuba, ale, do diabła, wszystko go teraz zaskakiwało. Panele ekranów i klawiatury konsoli wyglądały, jakby zapadły się pod wpływem gorąca. Szczególnie zaskakujący był jednak dla niego fakt, że wciąż żył.

Kapsuła wylądowała, jeśli można tak powiedzieć, na promenadzie wokół dachu budynku. Za Hansenem znajdował się dach w kształcie połowy kopuły, kryjący audytorium na trzy tysiące osób.

Dwóch mężczyzn i kobieta wyłonili się z drugiej, znacznie mniejszej półsfery dla artystów. Poza maleńkimi figurkami farmerów poniżej, były to pierwsze żywe istoty, jakie Hansen ujrzał, odkąd troje androidów przypięło go pasami uprząży w kapsule.

– Potrzebuje pan pomocy? – zapytał starszy mężczyzna stojący pośrodku grupy.

Hansen wyszedł pomiędzy zapadających się szczątków kapsuły. Płyty kadłuba miały teksturę porowatą, a monomolekularne wsporniki węglowe zaczynały uginać się pod własnym ciężarem. Komisarz wyobrażał sobie wiele rzeczy, które mogą spotkać go podczas tej misji, ale nie to. Nie to, co przyszło mu przetrwać. Wygiął usta w przyjemny wyraz, przypominający uśmiech mężczyzny.

– Eee, nazywam się Hansen. Eee, to zabrzmie pewnie głupio, ale czy to Świat Northa?

Hansen miał na sobie kombinezon identyczny ze standardowym wyposażeniem członków ekspedycji rozpoznawczych. Identyczny aż do poziomu podszewki, pod którą krył się cały zestaw broni i sensorów. Poza tym niósł torbę zawierającą trzy zmiany ubrania, każde z nich było z wyglądu dokładną kopią stroju, jaki zabrali z sobą na Świat Northa koloniści. Nie było pośród jego ubrań sandałów i luźnych, zwiewnych szat przewiązanych w pasie sznurem z miękkiego materiału, a to właśnie mieli na sobie ludzie, którzy go powitali.

– Cóż, my nazywamy to miejsce inaczej, panie Hansen – odezwał się drugi mężczyzna, sądząc z wyglądu starszy od Hansena o około dziesięć lat. – Nazywamy je Diamentem, ale ponieważ uważamy, że znajdujemy się we własnym czasoprzestrzennym kokonie, całkiem możliwe, że jesteśmy w swej opinii odosobnieni.

– Tak się cieszymy, że pan przybył – powiedziała młoda kobieta, dotykając jego ramienia gestem powitania, który miał jednocześnie dodawać otuchy, jemu lub jej. – Baliśmy się, że miało to coś wspólnego z... no, wie pan, z Przejściami.

Opuszki jej palców były ciepłe w sposób wyczuwalny nawet przez materiał kombinezonu. Miała długie brązowe włosy i była bardzo atrakcyjna, może ze względu na pełen życia wyraz twarzy. To miejsce mogło być kokonem lub bąblem czasoprzestrzennym, lecz na pewno nie Światem Northa. Był on bowiem martwym pustkowiem do momentu przybycia kolonistów, co zdarzyło się trzy miesiące temu. Zboża rosnące na polach posadzono znacznie dawniej, i Hansen nie próbował nawet zgadywać, jak wiele czasu musiało zająć postawienie budynku, na którym stał.

– A więc spodziewaliście się, że przybędę? – spytał spokojnym tonem. Promenada, na której stał, pokryta była warstwą elastycznej gumy, przyjemnie uginającej się pod podeszwami butów.

– Cóż, niezupełnie pana – powiedział starszy mężczyzna.

– Mam na imię Dana – przerwał młodszy. – To zaś jest Gorley. – Tu wskazał na starego. – I Lea.

– I, jak powiedziała już Lea, jesteśmy zachwyceni pańskim przybyciem...

– Zarówno z powodu pańskiej osoby, jak i ze względu na to, że nie jest pan... – jej twarz drgnęła i kobieta się zawstydziała. Dłoń ścisnęła biceps Hansena.

– Ale szczególnie ze względu na pana, panie Hansen – ciągnął starszy mężczyzna. – Nigdy wcześniej nikt nas nie odwiedził.

– A jeśli chodzi o to, że wiedzieliśmy, iż pan przybywa, panie Hansen – powiedział młody – i proszę nie wziąć tego za obrazę, ale...

– Zakłócił pan spokój, tu, na Diamencie, bo... – zaczęła kobieta.

– Chodzi o pańską broń, panie Hansen – wyjaśnił starszy. Wskazał palcem wskazującym i środkowym lewej ręki na resztki kapsuły, zamieniającej się powoli w popiół, jak gdyby na powierzchni promenady spalono stare kartony. – Obawiam się, że pański pojazd sam w sobie był bronią.

Cała trójka miejscowych miała przepaszający wyraz twarzy.

– A tu, na Diamencie, nie istnieje broń – dokończył młodszy z mężczyzn.

– Wszystko może... – przerwał Hansen i ugryzł się w język. Choć to, co zamierzał powiedzieć, było prawdą, uczono go bowiem, że wszystko można w razie potrzeby wykorzystać jako broń, nie był to jednak pogląd, który chciał prezentować gospodarzom tego świata.

– Ale teraz, kiedy broni już nie ma, mamy nadzieję, że będzie pan mógł z nami pozostać. Czy chciałby pan zobaczyć wieś? – spytała Lea.

– A może jest pan głodny? – obaj mężczyźni spytali chórem.

– Ja... – zaczął Hansen. Spojrzał na swych gospodarzy i postanowił być całkowicie szczery. Ponieważ nie miał wystarczających informacji, aby kłamać, a poza tym i tak wolał mówić prawdę. – Nie jestem głodny – powiedział – ale chciałbym zobaczyć z bliska pola, żeby przekonać się, że to nie jest tylko dekoracja.

Lea zachichotała i stanęła bliżej Hansena. Obaj mężczyźni również się uśmiechnęli.

– Oczywiście, oczywiście – wymamrotał Dana.

– I zastanawiam się, gdzie są wszyscy inni? – dodał Hansen.

Kontakt fizyczny z Leą nie był tak przyjemny, jak powinien być, bo miał wrażenie, że jego kombinezon zbyt łatwo poddaje się naciskowi jej miękkiego ciała. Ekwipunek zaszyty w kombinezonie najwyraźniej zniknął. Kapsuła zamieniła się w pył, zdmuchiwany z dachu przez łagodny wiatr.

– Nie chcieliśmy pana wystraszyć – powiedział Dana.

– Dlatego postanowiliśmy nie sprowadzać tłumu – dodał Gorley.

– Ale wszyscy chcą pana poznać – uzupełniła Lea. – Nie tylko tutaj. Wszyscy, na całym Diamencie.

Kiedy to mówiła, pojazd powietrzny uniósł się z lądowiska na przeciwnej stronie amfiteatru i zakręcając zgrabnie w powietrzu, zbliżył się do nich. Jednocześnie ze wszystkich stron na promenadzie zaczęły zbliżać się luźne grupki ludzi.

Wszyscy, łącznie z pilotem ubrani byli podobnie, ale rodzaje materiału i kolory różniły się bardzo. W tłumie było wiele dzieci, niesionych na rękach lub prowadzonych ostrożnie przez rodziców.

– Dzień dobry, panie Hansen – zawołał mały chłopiec, machając bukietem kwiatów.

Pojazd wylądował na promenadzie w pobliżu Hansena i obrócił się nieco w stronę krawędzi dachu. Silniki szumiały cicho zamiast wyć, Hansen nie widział rotorowych wlotów powietrza.

„Łagodny lud” – pomyślał. „Łagodny, ale nie głupi, i nie pozbawiony technologii”. Cały budynek, a może nawet cały Diament, planeta, świat czy czymkolwiek by był, słuchał Hansena i reagował na

jego wypowiedzi.

– Zdawało się nam, że będzie pan wolał lecieć – powiedziała Lea, wskazując pojazd ruchem głowy.

– Ale możemy zjechać windą, jeśli pan woli – odezwał się Dana.

– Albo pójść pieszo – dodał Gorley. – Chętnie będziemy panu towarzyszyć.

Starszy mężczyzna wydawał się w dobrej formie, ale Hansen nie był pewien, czy sam chce pokonać długą klatkę schodową, nawet w drodze na dół. Tłum zatrzymał się dziesięć metrów od nich, zostawiając im nieco wolnej przestrzeni. Promenadą zbliżało się coraz więcej osób.

– Polecimy. Tak będzie najlepiej – powiedział Hansen, pozwalając Lei zaprowadzić się do pojazdu.

– Do widzenia, panie Hansen! – zawołał chłopiec, machając entuzjastycznie.

– Później urządzimy właściwe zgromadzenie – powiedział Gorley.

– Oczywiście, jeśli nie ma pan nic przeciwko, panie Hansen – wtrącił Dana.

– Nie, ja... – zaczął Hansen. Wiedział nadal zbyt mało, żeby zadawać pytania.

– Wszyscy są bardzo podekscytowani – powiedziała Lea.

– Chcieliśmy jak najszybciej poznać pana osobiście. Pojazd uniósł się, pokonując turbulencję wokół krawędzi budynku, potem skręcił, opadając w stronę pól. Rowy nawadniające, wykopane pomiędzy rzędami łąnów zbóż, były obecnie wyschnięte, ale duży zbiornik gotowej do użycia wody odbijał w swej powierzchni pokryte chmurami niebo.

– Od jak dawna Diament jest zamieszkały? – spytał Hansen.

Pilot zamknął przepustnicę, zwalniając i zmierzając w stronę płaszczyzny pomiędzy polami. Pojazd był zadziwiająco cichy i zdawał się mieć zapas mocy nawet mimo tego, że pięć z sześciu siedzeń było zajętych.

– Nasze zapisy sięgają dziesięciu tysięcy lat wstecz – powiedział Dana.

– Co? – parsknął Hansen. – To trzy razy dłużej niż historia ludzkich lotów kosmicznych!

– Nie chcieliśmy pana zdenerwować, panie Hansen – powiedziała miękko Lea.

– Musi pan zrozumieć – powiedział Dana przeproszającym tonem – że jak twierdzą nasi naukowcy, czas w naszej przestrzeni nie płynie tak samo szybko jak w reszcie wszechświata, którego częścią byli nasi przodkowie. Nie posiadamy jednak żadnych zapisów o życiu w miejscu innym niż Diament – dodał.

– Przepraszam – wymamrotał Hansen.

Drażniło go to, że ciągle ktoś go przeprosza, choć w końcu tylko on mógł tutaj być potencjalnym winowajcą. Wsiadł z pojazdu i ruszył w stronę łąnów zboża.

Krajobraz świata Diamentu nie był przemyślną dekoracją. Buty Hansena natychmiast zapadły się w zaoraną ziemię. W świeżym powietrzu wyczuwalny był zapach rosnących zbóż, a kiedy wyciągnął rękę w stronę kłosa, spod liści uniósł się rój maleńkich insektów. Zboże ciągle było zielone, kłosa nie uformowane. Hansen pogładził pokryte drobnymi włoskami liście.

Razem z resztą sprzętu dostał duży pierścień z rubinem na środkowy palec prawej dłoni. Kamień był teraz mętny i matowy jak odłamek cementu, stąd Hansen miał pewność, że jednostrzałowy laser skupiany przez rubin również przestał działać. Odwrócił się do swych gospodarzy. Czekali w pobliżu pojazdu w pełnej nadziei uwadze.

– Czy na Diamencie są jacyś przestępcy? – zapytał nagle.

– Ależ nie, panie Hansen – odparła Lea.

Hansen uśmiechnął się krzywo.

– W takim razie, niech mnie diabli, jeśli wiem, po co jestem wam potrzebny, ale oto jestem –

powiedział, na powrót zajmując miejsce w pojeździe.

– Och, panie Hansen – odrzekł Gorley. – Nie wyobraża pan sobie, jakie to dla nas wspaniałe móc pana gościć! Nie byliśmy pewni, czy opuszczenie lub przybycie do Diamentu jest w ogóle możliwe.

– Czy wrócimy teraz do wioski? – spytał Dana. – Czy też może chciałby pan najpierw zobaczyć zwierzęta?

– Wrócmy do wioski – odpowiedział Hansen. Łagodna vibracja rozeszła się we wnętrzu pojazdu, kiedy pilot zwiększał moc. – Myślałem, że jesteście wegetarianami.

– Och, to prawda – potwierdził Gorley. – Ale hodujemy zwierzęta na wełnę i mleko.

Pojazd wzniósł się tak szybko, jak wcześniej opadł. Hansen przekonał się, że miał rację: silniki były naprawdę potężne.

– Próbowaliście więc wydostać się z tego kokonu czasoprzestrzennego? – spytał.

– Och, nie! – odparł zaskoczony Dana. Zarumienił się jednak zaraz, zawstydzony. – Przepraszam. Nie, my... jesteśmy tu szczęśliwi.

– Brakuje nam wiedzy – wyjaśnił znów Gorley. – Możemy snuć przypuszczenia na temat własnej egzystencji, ale dowód na to, że istnieje zewnętrzny świat, jest czymś cudownym.

Lea nachyliła się i pocałowała Hansena w policzek.

– Mamy nadzieję, że będzie panu tu dobrze.

Zamiast wrócić na promenadę, gdzie pojawiła się kapsuła Hansena, pojazd okrążył budynek i opadł na specjalnie wybudowany teren, gdzie stało już kilkaset podobnych pojazdów.

– Wszyscy zbierają się na miejscu zgromadzeń – powiedział Gorley. – Wydawało się nam, że tak będzie najłatwiej.

– Ale jeśli nawet krótkie publiczne wystąpienia pana krępują – powiedział Dana – to oczywiście pański spokój i zadowolenie są dla nas najważniejsze.

– Dla nas wszystkich – przytaknęła Lea i przysunęła się bliżej do komisarza.

Zbliżyli się do zespołu dwudziestu wind, z których każda mogła pomieścić sześcioro ludzi. Zarówno klatki wind, jak i szyby, w których się poruszały, zbudowano z materiału o kryształowej przejrzystości, nieco jedynie zmatowiałej od kurzu i częstego używania. Znowu Hansen przekonał się, że Diament nie jest skomplikowaną iluzją, stworzoną, aby go oszukać.

Pilot pojazdu powietrznego pomachał i wsiadł do osobnej windy. Hansen nie widział żadnych przycisków – nie widział zresztą również mechanizmu zawieszenia i napędu – ale wraz z trójką przewodników wszedł do kabiny i zjechał na poziom położony czterdzieści metrów poniżej linii dachu i wysiadł, kiedy otworzyły się obrotowe drzwi.

Znalazł się na otwartym terenie, na którym stało jedynie osiem masywnych kolumn, wewnątrz których poruszały się windy i które wspierały wyższe piętra budynku. Dookoła rosły rośliny, wyznaczając krawędzie miejsca zgromadzeń.

Sklepienie położone na wysokości dziesięciu metrów sprawiało, że przestrzeń nie wydawała się zatłoczona, ale w rzeczywistości wypełniona była tłumem ludzi, którzy machali do niego wesoło. Hansen nie był pewien, czy kiedykolwiek widział tylu zadowolonych ludzi w jednym miejscu.

– Zbudowaliśmy dla pana małą mównicę – powiedział Dana, nachylając się do ucha Hansena.

Lea ścisnęła mu dłoń w przyjacielskim uścisku i poprowadziła schodkami na niewielką plastikową platformę z ustawionym pośrodku krzesłem.

– Byłoby wspaniale, gdyby mógł pan powiedzieć parę słów – rzekła, wskazując mu krzesło.

„Nawet mimo podwyższenia nie wszystkim uda się mnie zobaczyć” – pomyślał Hansen. Wtedy ujrzał, że tłum kolorowo odzianych obywateli poruszał się całą masą zgodnie z ruchem wskazówek zegara; ci, którzy stali z tyłu ogromnego pomieszczenia, przesuwali się do przodu, unosząc ku tyłowi

tych, którzy zdążyli już przyjrzeć się gościowi. Nie zauważył przepychanek ani kłótni.

– Hm... – delikatnie chrząknął. Zapadła cisza, w której słyhać było tylko cichutkie szuranie sandałów na pokrytej płytkami posadzce. Hansen nie zamierzał siadać. Czuł się jak idiota. Lea zeszła po stopniach. Skrzywił się teraz, żałując, że nie poprosił, aby została. Nie byłby teraz sam w swej... nie, ignorancja to za małe słowo, żeby wyrazić, co czuł. – Hm – powtórzył. – Nie wiem, jak to się stało, że się tu znalazłem, ale mam nadzieję, że...

Światło słoneczne wpadające przez otwarte ściany pomieszczenia ściemniało nagle, jakby zasunięto ogromne zasłony. W tłumie rozległy się krzyki.

Hansen rozejrzał się dookoła. Nie widział żadnego zagrożenia, ale na mównicy był zupełnie odsłonięty. Znalazł się w swoim żywiole. Niewysokie palmy i krzewy otaczały z zewnątrz salę zgromadzeń. Niebo widoczne za nimi zasnuło się nagle ciemnością, a rośliny zostały wessane przez cieniste postacie z pyskami pełnymi kłów. Słońce znowu zabłysło i rośliny wróciły. Wśród roślin pośrodku sali pojawiły się cieniste postacie. Pośród płaczu i krzyków tłumu Hansen słyszał powtarzane przez setki ust słowa:

- Przejście...
- Kolejne Przejście...
- Niech to się wreszcie skończy...
- Niech się już skończy...
- Skończy...
- Skończy...

Przez chwilę wielki, kryty park był taki, jakim wpierw ujrzał go Hansen: jasno oświetlony, czysty, wypełniony tysiącami zdrowych ludzi, których twarze wykrzywiał jednak teraz strach i przerażenie.

Potem sytuacja zmieniła się, a Hansen ujrzał pojazd pancerny, który musiał ważyć przynajmniej kilkaset ton. Czołg toczył się w stronę Hansena w fałszywej ciszy, ale cieniste postacie i rośliny drżały od wibracji, które gigantyczny wóz bojowy musiał wywołać w każdym środowisku gęstszym niż próżnia. Z jego kadłuba wyrastały wyrzutnie pocisków, lufy dział i metalowa siatka, która mogła służyć za antenę lub formę osłony pancerza. Czołg nadciągał powoli, nic w parku ani w świetle cieni, z którego przybył, nie spowalniało jego biegu.

Lud Diamentu krzyczał i wszyscy stłoczyli się, opuszczając głowy i zakrywając oczy. Nie było dokąd uciekać. Hansen podniósł krzesło; wytłaczany plastik, lekkie i delikatne. I prawdopodobnie tak samo skuteczne przeciw nadciągającemu czołgowi jak jakakolwiek inna możliwa do przenoszenia przez człowieka broń.

Soczewki i oszklone otwory obserwacyjne lśniły szarym blaskiem, nie pochodzącym od słońca Diamentu. Żadne z działek czołgu nie było wycelowane w Hansena, ale widział, że zaraz zostanie wypchnięty poza pomieszczenie. Przez ścianę. Widział już wyraźnie zaczepy transportowe na burcie pancerza. Nawet stojąc na podwyższeniu, musiał patrzeć w górę, aby dostrzec szczyt wieżyczki i gniazda broni. Machnął krzesłem, celując w zestaw optyczny w górnej części lewej burty. Plastikowy mebel przeleciał przez pancerz, nie dotykając niczego materialnego poza powietrzem. Hansen stracił równowagę i prawie spadł z podwyższenia. Powróciło światło słońca, a wraz z nim łagodne, bogate kolory tego świata.

– Och, panie Hansen... – wymamrotał ktoś za nim. Hansen odwrócił się. Lea weszła na podwyższenie, lecz zatrzymała się, patrząc na krzesło w rękach gościa. Wszystko może w razie potrzeby stać się bronią. Wystarczy tylko chcieć. Hansen powoli i ostrożnie odstawił krzesło, czując zawstyżenie, choć przecież nie miał powodu. To, co zrobił, miało tyle samo sensu jak każda inna

reakcja w tak zwariowanej sytuacji. – Och, panie Hansen – powtórzyła Lea. – Tak mi przykro. – Podeszła bliżej i wyciągnęła do niego rękę. Zerknął przez ramię. Cały zgromadzony tłum nadal patrzył na niego, ale w ich oczach był smutek. To, co zrobił, miało sens w jego świecie. Ale to był Diament. Poczł zimno, jakby lodowata woda wysysała z niego całe ciepło. Człł, jak wokół niego powstaje niewidzialna błona. Człł dłoń Lei, ale nie jej ciepło. – Tak nam przykro – przeprosiła jeszcze raz. Hansen widział ją jak przez korytarz luster. – To nie pańska wina, panie Hansen. Ale broń nie może istnieć w Diamencie.

Stała na palcach, by go pocałować. Nie poczuł dotyku jej ust. Wszystko ogarniała szarość. Przypominał sobie kapsułę, w której przybył, pył, który łagodny wiatr rozwiewał z krawędzi dachu.

– Do widzenia, panie Hansen – zawołał odległy dziecięcy głos.

– Ty sam jesteś bronią... – wyszeptał głos jak cień w umyśle Hansena. Poczłł, jak sama istota Diamentu przenika go do głębi i pozostawia tylko pustkę.

Kiedy Rolls znalazł Fortina, ten siedział na zboczu wzgórza i patrzył przez migoczącą barierę nieciągłości w dół, na las, który znajdował się w Otwartej Krainie – miejscu, gdzie można było dotrzeć z każdego wymiaru Świata Northa. Uzbrojone postacie przedzierały się przez odległe zarośla, szukając przeciwnika, z którym miały stoczyć walkę decydującą o wszystkim lub niczym, zależnie od punktu widzenia.

Fortin siedział i rzucał kamykami. Drżały, wpadając w nieciągłość. Nie miał dość siły, aby trafić któregoś z żołnierzy z miejsca, w którym siedział, ale maleńkie pociski strząsały śnieg z drzew.

– Zamierzasz odwiedzić kolonistów? – spytał Rolls, sadowiac się obok Fortina. Syn Northa z całą pewnością widział go podczas wspinaczki po zboczu, i jeśli dotąd go ignorował, była to tylko poza. A pozy Rolls ignorował.

– Być może – odparł Fortin, nie oglądając się. Rzucił następny kamień. Pocisk z błyskiem przeleciał do innej przestrzeni. Skupiając wzrok, obaj mogli obserwować strumień płynący tysiąc metrów niżej w ich rzeczywistości lub pokryte śniegiem drzewa i nieświadomą niczego armię. – Dlaczego cię to interesuje, Rolls?

Ten zaśmiał się cicho. Oglądana z profilu twarz Fortina była idealna, godna bicia na monetach.

– Twoje plany to nie moja sprawa – powiedział. – Wiesz, co należy do moich spraw.

Fortin odwrócił się w końcu, aby na niego spojrzeć.

– Wiesz o wszystkim, co robię – odparł.

Rolls poruszył się, zmieniając pozycję.

– Właśnie – zgodził się. – Ty działasz. Ja obserwuję. Eisner się uczy.

Granitowa półka, na której przysiedli, pokryta była ostrymi odłamkami. Rolls strzepnął kilka z nich spod swego siedzenia. Fortin podniósł jeden, obejrzał go, i upuścił, nie rzucając tym razem przez barierę wymiarową.

– Po co tu przyszedłeś? – spytał.

Rolls uśmiechnął się.

– Chciałbym pożyczyć naszyjnik Penny.

Fortin roześmiał się. Jego tenor był przyjemny dla ucha, tak jak wygląd dla oka. Był też równie zimny.

– Więc powinieneś chyba poprosić Penny? – powiedział, szukając odłożonego przed chwilą kamienia.

– Myślałem, że może mógłbyś mi pomóc – odrzekł Rolls.

– Naprawdę? – spytał półandroid bez zainteresowania. Wskazującym palcem usiłował oderwać z krawędzi półki następny odłamek.

– Chcę go pożyczyć tylko na chwilę – kontynuował Rolls, starając się, aby w jego głosie nie zabrzmiała troska, którą zaczynał odczuwać. Nie miał żadnego sposobu na przekonanie Fortina, a odwoływanie się do przyjaźni mieszańca byłoby gestem tak pustym, jak powołanie się na przyjaźń z samą Matrycą. Matryca nie była jednak skrzywiona.

– Nie obchodzi mnie, po co, ani na jak długo go potrzebujesz – odparł Fortin i znów spojrzał na Rollsa.

Ten uśmiechnął się szeroko. Był gotów targować się z Fortinem, ale przez chwilę obawiał się, że nie ma niczego, czego ten mógłby chcieć w zamian. Powinien był jednak przewidzieć, że Fortin

nieustannie spiskował. Intrygi rozwijały się w nim jak larwy much w trzydniowym trupie. Z całą pewnością była wśród nich taka, która wymagała udziału Rollsa lub jego zdolności.

– Tak – powiedział. – Rozumiem to doskonale. – Usadowił się na krawędzi urwiska i zamknął oczy, aby poczuć, jak światło słońca ogrzewa mu powieki.

– Rozważam możliwość udania się do Rubinu – zaczął Fortin głosem tak zimnym i odległym, jakby dochodził przez barierę nieciągłości. – Uważam, że Rubin może mieć coś wspólnego z koszmarami dręczącymi lud Diamentu.

– Z koszmarami na jawie – uzupełnił Rolls, otwierając oczy i patrząc na swego młodszego towarzysza wzrokiem pozbawionym wyrazu. – Tak, możesz mieć rację.

– Wolałbym jednak – ciągnął Fortin, dobierając słowa ostrożnie, niczym wspinacz szukający uchwytów w skalnym licu – aby wieść o mojej wizycie nie dotarła do Northa. Mój ojciec... – Wyraz furii wykrzywił i przemienił jego rysy, ale czystość wyrażanej emocji sprawiła, że nie stały się one przez to mniej doskonałe. – Ojciec mi nie ufa.

Rolls roześmiał się, swobodnie i gardłowo.

– Tobie nikt nie ufa, Fortin – powiedział.

Gniew zniknął z twarzy Fortina, pozostawiając chłód jak w błękitnym sercu lodowca.

– Dlatego, że moja matka była androidem.

– Dlatego, że jesteś Fortinem – odparł Rolls, nadal się uśmiechając. Nigdy nie potrafił dobrze kłamać, a dostęp do boskich mocy sprawił, że zawsze mówił o sprawach tak, jakimi je widział. A widział wiele. – Może to dziedziczne – dodał, nieporuszony spojrzeniem Fortina. – W końcu Northowi również nikt do końca nie ufa. – Fortin odwrócił się. Odetchnął głęboko i udał, że szuka następnego kamienia. – Nie mogę powstrzymać Northa przed ujrzeniem tego, co chce ujrzeć, ale on musi mieć powód, żeby się czemuś przyjrzeć... Ja obserwuję, bo to treść mego życia. – Przez chwilę przystojna twarz Rollsa miała wyraz pusty niczym zaśnieżone pole. – Ja nie powiem twemu ojcu, że udałeś się do Rubinu – powiedział.

Poniżej nich, a zarazem bardzo daleko, zwiadowcy dołączyli do trzonu armii. Sygnał trąbki przebił się przez barierę nieciągłości i wiatr owiewający urwisko.

– Zgoda – głos i twarz Fortina znowu były pozbawione wyrazu. – Jeżeli potrafisz zająć Penny poza jej komnatami, powiedzmy na pół godziny... I jeżeli nie będzie wtedy miała na sobie naszyjnika...

Rolls znowu cicho zaśmiał się.

– Myślę, że to będzie możliwe – stwierdził.

– ...to pożyczę go dla ciebie.

Teraz widoczne już były dwie armie. Dla mężczyzn stojących na krawędzi urwiska ich starcie wyglądało jak odbicie na powierzchni stawu.

Hansen poczuł wstrząs upadku, jeszcze zanim zrozumiał, że wciąż żyje. Grunt, na którym wylądował, był twardy; tracił oddech. Odzyskał wzrok. Nadal żył. A może znowu żył. Nie spadł z dużej wysokości. Tak naprawdę nogi poplątały mu się na moment – albo dłużej niż moment, nie chciał o tym myśleć – kiedy Diament przeniknął jego jestestwo. W miejscu, w którym się znalazł, słońce wskazywało popołudnie.

Znajdował się na mierzącej czterdzieści metrów grobli, z której roztaczał się widok na duże rozlewisko, porośnięte niskimi drzewami iglastymi i wierzbami. Rzeka, która uformowała groblę, widoczna była słabo kilometr stąd. Na horyzoncie dostrzegł stożkowatą górę, z której sączyły się pasma żółtych wyziewów.

Na warstwie opadłych liści i w zagłębieniach kory drzew widoczny był szron, ale powietrze nie wydawało się szczególnie zimne. W pobliżu słychać było skrobanie polnej myszy, obracającej w przednich łapkach szyszkę, aby lśniącoymi ząbkami dobrać się do ukrytych wewnątrz nasion.

Hansen zdał sobie sprawę, że miejsce, w którym się znalazł, to nie Diament. Był tego pewien, bo z lewej strony linii drzew nadciągała grupa jeźdźców uzbrojonych w kusze i lance. Niedaleko po prawej stronie ozwał się dźwięk trąbki. Jakieś stworzenie ukryte przed oczyma Hansena po lewej odpowiedziało głośniejszym, gniewnym echem. Dwaj jeźdźcy zawrócili kudłate kuce o potężnych łbach i ruszyli z powrotem w stronę, z której nadjechali. Ich towarzysze, w liczbie około tuzina, sprawdzili broń i podjęli ostrożną podróż pomiędzy drzewami.

Hansen spojrział na swój laserowy pierścień. Kamień był nadal równie mętny jak w Diamencie. Nawet metal obrączki lśnił fałszywie jak plastikowa podróbka. Kiedy próbował zdjąć pierścień z palca, obrączka rozpadła się. Z obrzydzeniem rzucił resztki na zaśnieżony grunt.

Jeden z jeźdźców poniżej miejsca, w którym stał Hansen, wyjął spod futrzanej opończy krótki, zagięty róg, podniósł go do ust i zadał trzy razy.

Komisarz westchnął. Nie szkolono go w sztuce samotnego przetrwania w puszczy. Im szybciej zwróci na siebie uwagę jeźdźców, tym lepiej... Choć z drugiej strony, „lepiej” mogło w tym wypadku oznaczać szybką śmierć zamiast powolnej agonii z głodu i zimna.

– Nie bądźże głupcem, Hansen – zapiszczała mysz. – Przysięgnij mi służbę. Bez mojej pomocy nie uda ci się tutaj przetrwać.

Komisarz potarł pień jednej z sosen. Zewnętrzna powierzchnia suchej kory odeszła z szelestem pod naciskiem kciuka, ukazując jasne drewno.

– A więc są tu gadające myszy? – zapytał Hansen swobodnym tonem. Dopóki ścisnął pień, powstrzymywał się przed walnięciem w niego pięścią w bezsilnej wściekłości na to szaleństwo, które stało się jego udziałem, a z którego najwyraźniej nie było mu dane uciec.

– Też coś! – powiedziała mysz. – Przybieram tę postać, kiedy odwiedzam Otwarte Krainy. Zgodnie z twoimi normami mógłbyś uznać, że w ogóle nie jestem żywy! – Małeńkie stworzonko odrzuciło szyszkę. Połowa łusek została przerobiona mysimi zębami na włókniste wióry. Wyglądały jak turbina silnika, której epoksydowa osłona rozpadła się ze starości. – Jestem maszyną – ciągnęła mysz, czyszcząc wąsiki łapkami. – Możesz nazywać mnie Walker. W moim wymiarze Świata Northa słońce jest czerwone, i nawet ławice krabów, które miały kiedyś swe tereny lęgowe na żuźlowych plażach, wyginęły już dawno. Nie ma tam żadnego życia, poza mną i moimi braćmi, jeśli nas można określić mianem żywych. – Odezwał się następny róg. Druga grupa jeźdźców pojawiła się w polu

widzenia pomiędzy drzewami w dole. Wystrzeliły kusze. Suchy trzask łuków i cięciw brzmiał jak odgłos gałęzi drzew łamiących się pod ciężarem lodu. Rozległy się okrzyki. Hansen nie widział, aby którykolwiek z jeźdźców wypadł z siodła, ale iglaste zarośla zasłaniały szczegóły. Drżał, być może z zimna. – Jesteś więc podróżnikiem w czasie? – spytał Walker. Lewe oko stworzenia było tak samo matowe jak obrócony niedawno w pył rubin pierścienia. – Ciągłe rozumiesz kategoriami czasu, Hansen. A tu jest Świat Northa. – Przerwał na chwilę, żeby wylizać futerko na brzuszku. – Pochodzę z innego wymiaru Matrycy. Jest ich osiem – głos gryzonia nabrał tonu wykładowcy. – Osiem światów Matrycy, sama Matryca również jest światem. Ale wewnątrz Matrycy żyją tylko szaleńcy.

Zbrojni po obu stronach starcia wycofywali się. Pozbawiony jeźdźca kuc biegł pomiędzy drzewami, strącając z gałęzi kaskady śniegu. Piechurzy, stąpając ciężko w pełnych zbrojach płytowych, poruszali się przez las w luźnym szyku. Nie mieli widocznej broni, ale gdy któryś z nich przechodził pod nisko zwieszającymi się gałęziami, dookoła sypały się igły, śnieg topniał, a drewno skwierczało, napotykać błękitne iskry.

Podobne odgłosy elektrycznych wyładowań wskazywały, że z przeciwnej strony nadciąga drugi oddział opancerzonych piechurów. Miejsce, w którym miało dojść do ich spotkania, znajdowało się po prawej stronie pozycji Hansena. Zaczął iść w tym kierunku, przytrzymując się gałęzi, bo brzeg grobli okazał się bardziej zdradliwy, niż się wydawał na początku.

Walker podbiegał za nim długimi skokami.

– Zaprzysięgnij mi służbę, Hansen – mówił cienkim głosikiem polnej myszy. – Jesteś niczym i nikim bez mojej pomocy. Muszę cię jednak ostrzec: tu, w Świecie Northa, przysięgi mają swoją moc.

Dziesiątki odzianych w futra jeźdźców podążały za luźną tyralierą piechurów. Ich zbroje pokryte były barwnymi malowidłami, a żaden wzór nie powtarzał się. Hansen ocenił, że z lewej strony nadciąga około stu pięćdziesięciu zbrojnych, z czego może jedna trzecia miała zbroje; gęste drzewa uniemożliwiały jednak dokładne liczenie.

Odezwało się kilka rogów. Pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu odzianych w równie kolorowe zbroje mężów wypadło zza linii drzew po prawej stronie.

Mały szary ptaszek o odcieniu identycznym z umaszczeniem myszy usiadł na gałęzi w pobliżu Hansena. Trzy razy uderzył w gałąź trzymanym w dziobie nasionkiem, aby je otworzyć. Ptak odchylił łebek, połykając nasionko i pozwalając łupinie spaść obok krawędzi zbocza grobli.

– To armia Golsingha Rozjemcy – powiedział ptak, wskazując dziobem nowo przybyłych. – Tamci to ludzie hrabiego Lopeza, ale Lopez jest przykuty do łóżka i nie może ich prowadzić.

Hansen spojrzał na ptaka. Jedno z jego oczu było jasne, drugie miało żółtawy połysk wypolerowanego marmuru.

– Ja zawsze dotrzymuję słowa, Walker – powiedział ostro Hansen. – Dlatego nie składam przysięg zbyt często i nie zamierzam złożyć jej tobie.

Konni Lopeza nagle wyprzedzili opancerzonych piechurów. Śnieg i grudy ziemi pryskały spod kopyt ciężkich kuców. Kiedy jeźdźcy znaleźli się dwadzieścia metrów od pancernych Golsingha, po obu stronach szczęknęły kusze. Kilku jeźdźców Lopeza stoczyło się z siodła, ale ich bełty wymierzone były w piechurów. Hansenowi zdawało się, że pociski skwierczały i opadały, zanim udało im się dotknąć zbroi. Kilka metalowych grotów stopiło się w strugach pomarańczowych iskier. Nagle jeden z piechurów potknął się i upadł na wznak, prosto w śnieg. Przez chwilę orał ziemię piętami. Pióra bełtu wystawały mu spod lewej pachy.

Ptak Walker zacmokał z dezaprobatą, jakby znajdował się w ludzkiej postaci. Dziobem wskazał leżącego wojownika.

– Najemnik – wyjaśnił. – Kiepska zbroja, był bez szans. – Skierował błyszczące oko na Hansena. – Ale jego szanse były większe niż twoje, komisarzu, chyba że oddasz się pod moją kontrolę i opiekę.

Hansen zebrał ślinę na języku. Skrzywił się, w końcu przełknął zamiast splunąć.

Lansjerzy Golsingha również wysforowali się przed nieliczną grupę opancerzonych towarzyszy i wśród chaosu okrzyków i dzwoniącego metalu zmagali się z jeźdźcami wroga.

Komisarz nie mógł sobie wyobrazić, jak walczący odróżniają się nawzajem, po tym jak przemieszał ich pierwszy szok starcia.

Pierwsza linia piechurów Golsingha, dwudziestu lub trzydziestu zbrojnych, ruszyła niezgrabnym biegiem. Ich wódz był ogromnym mężem w czerwono-złotej zbroi. Najbliżsi jeźdźcy zakrzyknęli i próbowali odwrotu. Człowiek w czerwono-złotej zbroi wyciągnął prawą rękę, wyprostował palec wskazujący i środkowy okrytej rękawicą dłoni. Z palców strzelił dziesięciometrowy, świetlny łuk na kształt bladobłękitnej paraboli; w powietrzu rozległ się odgłos podobny do tego, jaki wydaje kamień szlifierski. Świetlny promień dotknął trzech jeźdźców długim łukiem, zapalając ich okrycia i odrąbując jednemu głowę, jakby to zrobił toporem.

Hansen był pewien, że co najmniej jedna z ofiar należała do jeźdźców Golsingha.

– To Taddeusz, przybrany ojciec Golsingha – zaczął Walker. – Także wódz jego oddziałów. Uważa, że wojna jest rzeczą wojowników, a konnica przynosi więcej kłopotów niż pożytku.

Taddeusz ze swym oddziałem pieszych wojowników nadal parł naprzód. Młode drzewka stawały w płomieniach, kiedy trafiały w nie łuki energetyczne, ale konni umknęli z drogi, nie ponosząc więcej strat. Pomiędzy grupą Taddeusza a resztą jego oddziału powstała luka. Kilku następnych piechurów nadbiegło od strony linii Golsingha, ale powodowało nimi raczej podniecenie walką niż chęć uderzenia na wroga w sposób skoordynowany.

Taddeusz i zakuty w zieloną zbroję wojownik z armii Lopeza natarli na siebie wśród trzasków elektrycznych wyładowań. Spotkali się w kępie zarośli. Hansen nie dojrzał momentu starcia, ale elektryczna błyskawica ścięła pęk łodyg, a wówczas zauważył okręcającego się na pięcie i padającego wojownika armii Lopeza. Na zielonym napierśniku pojawiła się czarna, węzowata blizna. Z miejsca szyjnego łączenia zbroi unosił się dym. Taddeusz parł naprzód. Jego elektryczny łuk zredukowany został do kosy długości metra. Kolejny z wojów Lopeza uderzył w niego błyskawicą rozciągniętą na kształt bicia. Zaskwierczał topiony pancerz, a Taddeusz pochwycony został w pętlę błękitnego płomienia. Czerwono-złote buty zapadły się w śnieg. Taddeusz zrobił krok naprzód, potem drugi, wszystko jakby w zwolnionym tempie, jakby stąpał naprzeciw falom przyływu. Przeciwnik nagle próbował uciec. Za późno. Prawe ramię Taddeusza zadało cios, a gęsty promień elektryczny uderzył w hełm napastnika; na powierzchni uszkodzonego pancerza pojawiły się iskry. Przybrany ojciec Golsingha wyłączył na chwilę świetlne ostrze, ale wkrótce potem przywołał je z powrotem i ruszył naprzód. Tymczasem wojownik Lopeza runął na ziemię z rozciętym do połowy hełmem sferycznym, jakby rozłupanym czymś bardziej materialnym niż ukierunkowaną błyskawicą.

Wśród drzew płonęło już tuzin pożarów. Drewno paliło się uparcie, jakby na przekór, drwiąc z zimna i śniegu.

Hansen postąpił bokiem, aby móc obserwować Taddeusza. Drogę zagroziła mu wyrwa w grobli. Zaklął. Wyrwa miała ze trzy metry szerokości. Po drugiej stronie ziemia była sypka, choć porośnięta kilkoma młodymi drzewkami, których mógłby spróbować się chwycić. Gdyby jednak źle obliczył skok, czekałby go upadek bardzo stromym, kamienistym zboczem prosto na pole bitwy. Skoczył, roztrącając drzewka. Wylądował dobry metr za ich linią. Gałąź rozcięła mu policzek. Zaczynał czuć już zimno.

Ludzie Lopeza obchodzili Taddeusza ze wszystkich stron. Około tuzina zbrojnych Golsingha nadal podążało za wodzem. Otoczyli go, podczas gdy wojownicy Lopeza z kolei zacieśnili obronę. Na drodze przemarszu Taddeusza i jego zbrojnych leżał stos zniszczonych pancerzy, pozostałość wielu starć.

Lepszą koordynację można by osiągnąć, tocząc w rękach dwie kulki.

– Głupcy! – warknął Hansen. – Jeśli to wszystko, co wiedzą na temat wojny, powinni byli wrócić do domu i zabrać się za szydełkowanie!

Nie zdawał sobie sprawy, że mówi głośno. Ruda wiewiórka, siedząca na gałęzi nad jego głową, wyjęła z pyszczka nadgryzioną szyszkę.

– Wiedzą że są wojownikami i bohaterami, Hansen. Nie wiesz nic o Świecie Northa. Powinieneś oddać się pod moją opiekę.

– Daj mi spokój – odparł komisarz, powstrzymując chęć zrzucenia Walkera z gałęzi i z grobli.

Zamiast tego skupił się na przebiegu potyczki. Czuł wzbierającą złość na tę jatkę, idiotyczną masakrę rozgrywającą się poniżej. Hansen był rzemieślnikiem. Jego fachem była kontrolowana przemoc, a armie walczące przed jego oczyma były złożone z zabójczo głupich bufonów.

Dwóch ludzi Lopeza jednocześnie ruszyło na Taddeusza. Wódz ciął tego po prawej, a przeciwnik próbował sparować uderzenie własnym łukiem. Przez chwilę widać było tylko oślepiające światło, rozległ się trzask jakby zacierających się łożysk. Drugi wojownik zaatakował od lewej, tnąc prosto w hełm Taddeusza. Ten zachwiał się i potknął. Przeciwnik po prawej wycofał się. Czerwono-złota zbroja straciła już cały połysk, ale jej właściciel przeszedł jeszcze trzy kroki.

Dwóch jeźdźców zeskoczyło z wierzchowców, aby odciągnąć swego wodza na bezpieczną odległość. Jeden z nich skoczył pod spadające na wodza ciosy. Wojownicy zamarli, kiedy ich promienie skrzyżowały się. Następny z ludzi Lopeza pchnął promieniem obrońcę Taddeusza w bok; posypały się skry, gdy przebił pancerz. Promień nadal jednak iskrzył, wychodząc nawet kilka centymetrów z drugiej strony.

Taddeusz wstał. Tylko dwóch jego ludzi nadal stało o własnych siłach, obaj szybko ugięli się pod naporem przeciwników.

Wódz uderzył nisko, rozcinając biodro najbliższego wroga. Dwóch ludzi Lopeza natarło na niego, jeden od tyłu, drugi z boku. Taddeusz odwrócił się, siejąc iskrami z pancerza, ale nadal poruszając się z zabójczą precyzją. Jego krótkie ostrze przecięło hełm i ramię, które zdesperowany wojownik uniósł, aby się zasłonić. Taddeusz wypuścił promień na pełną długość trzech metrów. Ciął nim powietrze wokół siebie, oczyszczając przedpole. Otaczało go przynajmniej dwudziestu wojowników Lopeza, ale za każdym razem, gdy któryś z nich ruszał do ataku, nagły ruch wodza zmuszał go do odwrotu.

Reszta armii Golsingha zaczęła dołączać do swego wodza. Kilku wojów Lopeza odwróciło się, żeby stawić czoło nowemu zagrożeniu. Hansen czuł w nozdrzach zapach ozonu, nawet z tej odległości ostry i nieprzyjemny.

Pojawiło się coś jeszcze. Coś zamigotało na polu bitwy, coś na krawędzi widzialności. Prawie jakby opadły czarne zasłony albo jakby nagle wielki, czarny kruk rozpostarł pierzaste skrzydła pomiędzy słońcem i śmiercią w dole... Prawie, lecz nie całkiem.

Wojownik w srebrnej zbroi uniósł prawą rękawicę, wnętrzem dłoni w stronę Taddeusza. Promień elektryczny wodza przeciął powietrze, spadając na wojownika. Zanim jednak dotknął pancerza, gwałtowne wyładowanie strzeliło z rękawicy prosto w pierś Taddeusza. Wyładowanie poniosło się gromem, jaki wydaje wybuchający transformator. Obie zbroje nagle straciły zasilanie. Energetyczne ostrze Taddeusza zniknęło, pozostawiając tylko jasny błysk przed oczyma Hansena.

Ludzie Lopeza skoczyli na bezbronego przeciwnika.

Resztką armii Golsingha, prowadzona przez męża w błękitnej zbroi, uderzyła w krąg przeciwników. Jeden z wojowników Lopeza zatrzymał się w pół ciosu wymierzonego w Taddeusza i zaczął uciekać. Kilku innych powalono ciosami w plecy. Wojownicy zaczęli klękać, wznosząc ramiona. Jeźdźcy Lopeza skoczyli na swe konie i uciekali, ścigani przez kawalerię Golsingha.

Hansen zauważył, że energetyczne ostrze, które spadło na człowieka w srebrnym pancerzu, nie napotkało żadnego oporu. Wojownik padł rozcięty na pół.

Walker odrzucił resztki swego orzecha.

– Pierwsza zasada – zapiszczał przemądrzale. – Nie strzelać. Zanim zbroja odzyska moc, mija kilka minut.

Ludzie Lopeza posłusznie zdejmowali zbroje. Pancerze otwierały się po lewej stronie jak gigantyczne ostrygi. Osłony ramion i nóg pozostawały przymocowane do płyt tułowia, ale hełm i napierśnik otwierały się, aby umożliwić zakładanie.

Jeźdźcy Golsingha klęczeli przy powalonych pancernych. Kilku wstało o własnych siłach, kiedy już zdjęto z nich zbroje. Wóz z ekwipunkiem Golsingha wjechał na pole bitwy przy wtórze odgłosów trąb i łamanych gałęzi.

– A niech mnie... – wymamrotał Hansen.

– Coś stanie ci się na pewno, jeśli nie oddasz się pod moją opiekę – wtrąciła się wiewiórka. – Przed bitwą chciałeś przyłączyć się do Lopeza, czyż nie? I gdzie byłbyś teraz?

W taborze Golsingha był cały tabun osiodłanych kuców, ale rolę zwierząt jucznych pełniły pokryte czarnym futrem słonie. Ich kły spiłowano krótko przy pysku i zakończono miedzianymi głowicami. Stworzenia mogłyby być mamutami, gdyby Hansen znajdował się na Ziemi około miliona lat temu... Zresztą bardzo możliwe, że to były mamuty, ale ze Świata Northa, który zaczynał coraz bardziej przypominać mu koszmar. Zwierzęta były prowadzone przez setkę lub więcej pieszych, ale z całą pewnością nie wojowników. Podczas gdy jeźdźcy odziani byli w filtra, często uzupełnione fragmentami jasnych tkanin, ci piechurzy wyglądali jak brnąca przez śnieg banda łachmaniarzy.

Hansen zerknął na wiewiórkę.

– Sługi? – zapytał.

– Niewolnicy – odparł Walker, machnąwszy rudą kitą.

Większość wojów Golsingha wydobywała się właśnie ze zbroi. Niewolnicy pomagali każdemu wojownikowi parami, i układali puste pancerze w workach z siatki, przytroczonych do mamucich grzbietów.

Hansen trząśł się. Spojrzał w dół zbocza, zastanawiając się, czy uda mu się w obecnym stanie zejść po stromiźnie, czy też będzie musiał odnaleźć łatwiejszą drogę.

Wojownik, który w bitwie nosił błękitną zbroję, przeciągnął się, rozprostowując kości po zdjęciu pancerza. Podeszedł do Taddeusza. Zbroja wodza armii odzyskała połysk pancerza, który opadł po trafieniu kulą czystej energii. Pośrodku czerwono-złotego napierśnika widniał wypalony, czarny ślad w kształcie gwiazdy.

– Król Golsingh – powiedział Walker. – Marzyciel, ale zbyt miękki, aby swe marzenia urzeczywistniać.

Niewolnicy rozdzielali zwłoki wojowników, nikt nie zwracał uwagi na ciała konnych. Nad polem bitwy krążyły już ptaki. Zwłoki ludzi Golsingha ułożono w stos na kilku pniach ściętych przez tych z wojów, którzy nie zdążyli jeszcze zdjąć pancerzy. Ludzie Lopeza leżeli tam, gdzie padli. Pancerze, zarówno te uszkodzone, jak i sprawne, ładowano na mamuty, które sapały gniewnie i przytupywały, wietrząc krew. Schwytano kilkunastu wojowników Lopeza. Spędzono ich w grupę

pilnowaną przez jeźdźców. Jeńcy obserwowali przygotowania do drogi z wyraźnym zdenerwowaniem.

Hansen wiedział, że na wzgórzu nie zrobi się nagle cieplej i że zbocze nie stanie się nagle mniej strome. Przeszedł przez krawędź, przytrzymując się pnia drzewa, dopóki stopy nie znalazły oparcia. Jak na razie, nieźle...

– Jesteś głupcem – pisnęła wiewiórka. – Nie zwrócą na ciebie uwagi. W najlepszym razie...

Hansen spojrział przez ramię. Wojownicy dosiadali koni sprowadzonych przez niewolników, a mamuty zawracały właśnie w kierunku, z którego nadeszły.

Taddeusz i Golsingh spierali się o coś. Wódz wykrzyknął rozkaz. Jeden z wojowników, nadal w pancerzu, postąpił w stronę jeńców.

Jeden z butów Hansena zsunął się. On sam stracił równowagę, a potem ześlizgnął się dwadzieścia metrów w częściowo tylko kontrolowanym upadku. Nie potrzebował nawet patrzeć, aby zrozumieć, co oznacza złowrogi syk broni energetycznej. Ponieważ zaś schwytani wojownicy nie mieli hełmów, ich krzyki były wyraźnie słyszalne. Kruki odpowiedziały im chrapliwym echem. W połowie drogi w dół zbocza była rozpadlina, z której wyrastała spora sosna. Poniżej tego miejsca stok nie był już tak stromy. Hansen ześlizgnął się, przygotowując się do złapania pnia i mając nadzieję, że Diament nie rozłożył materiału ochronnego kombinezonu tak samo jak broni.

O mały włos nie udało mu się z innego powodu, prawie minął drzewo. Kora rozdarła mu skórę na dłoniach, a wstrząs niemal wyrwał ramiona ze stawów, ale mała to była cena. Alternatywę stanowił upadek na granitowe skały dwadzieścia metrów niżej. Odłamki skał posypały się spod butów Hansena, kiedy próbował złapać oddech. Golsingh dosiadał właśnie wierzchowca. Powiedział coś do Taddeusza i wskazał na Hansena.

Stos pogrzebowy wojowników Golsingha płonął z hukiem. Ciała jeńców dymiły na śniegu, obsiadane już przez ptaki.

Taddeusz wykrzyknął serię rozkazów. Podjechało do niego dwóch lansjerów. Wojownik, który przed chwilą spełnił rolę kata, zaprzestał prób zdjęcia pancerza.

Hansen znalazł się na równinie po serii obliczonych skoków, od skały do drzewa. Napiął mięśnie dłoni, aby przywrócić im czucie, ale nigdy nie był najlepszy w walce bez broni. Zdawał sobie też sprawę, że jeśli naprawdę dojdzie do walki, również jego zwłoki staną się żerem dla kruków.

– Lordzie Taddeuszu! – krzyknął Hansen. – Lordzie Golsingh! Jestem podróżnym z dalekiego kraju, przybyłem, aby służyć Waszej Ekscelencji.

Miał nadzieję, że miejscowi znają standardowy język wszechświatów. Oczywiście znali go koloniści... mieszkańcy Diamentu mówili z lekkim tylko akcentem... no i mysz, ptak, wiewiórka, istota zwąca się Walker, co by to nie było warte... Realność nieba i drzew zdała mu się nagle przytłaczająca. Jeśli to wszystko jest prawdą, to czym był on sam?

– Kim jesteś? – zawołał Golsingh w standardowym, podjeżdżając kilka kroków bliżej Hansena.

Koń zbliżał się do niego bokiem, prezentując głównie lewy profil. Golsingh zmarszczył brwi, pociągnął wodze, prostując koński łeb.

Golsingh był średniego wzrostu, lecz obok Taddeusza zdawał się wręcz niski. Lepszym wierzchowcem dla Taddeusza byłby mamut, bo kuc niósł potężnego jeźdźca z wysiłkiem. Kark i ręce króla były dobrze umięśnione, ale smagła twarz miała delikatne rysy. Zrobił na Hansenie wrażenie człowieka drobnego, który doszedł do doskonałej formy drogą ciągłych ćwiczeń.

Taddeusz wyglądał przy nim jak niedźwiedź... Nils Hansen był zaś psem, muskularnym, lecz szczupłym ogarem z wrodzoną niechęcią do kotów i tego, jak bawią się z ofiarą, zanim ją zabiją.

Hansen uśmiechnął się, co prawdopodobnie było błędem.

– Zabij go! – rzucił sucho Taddeusz do jednego z jeźdźców.

Mężczyzna nastawił lancę i pogonił kuca. Hansen nadal szedł naprzód. Niska sosna po prawej stronie była najlepszą dostępną osłoną. Skoczy za nią, kiedy lansjer zaszarżuje...

– Stój! – krzyknął Golsingh do jeźdźca. Hansen także się zatrzymał, nie chcąc okazać nieposłuszeństwa wobec królewskiego rozkazu. – Taddeusz! – odezwał się Golsingh. – Nie zapominaj, że jestem twoim królem.

– Ekscelencjo – odparł olbrzym. – Ja tylko...

– Bitwa się skończyła – ciągnął Golsingh. – Ja jestem królem i ja będę teraz wydawał rozkazy.

Taddeusz skinął głową.

– Wybacz, synu – rzekł. – Miałem na myśli tylko twoje bezpieczeństwo.

Golsingh uśmiechnął się.

– Jak zawsze, ojciec – zgodził się, i skinął głową, oddając szacunek starszemu.

Obaj mężczyźni po zdjęciu pancerzy założyli futrzane opończe i czapy. Z dwudziestu metrów Hansenowi trudno było osądzić ich wiek. Golsingh miał prawdopodobnie jakieś dwadzieścia pięć lat, Taddeusz był po czterdziestce. Ogorzała cera wodza i przyprószone siwizną włosy pasowały równie dobrze do mężczyzny około sześćdziesiątki, ale brutalna siła, którą wykazał się na polu bitwy, sugerowała, że był młodszy. Chyba że w młodości Taddeusz był na polu bitwy wcielonym diabłem.

– Lordzie Golsingh – odezwał się Hansen. – Jestem wojownikiem, który przybył z dalekich obszarów Zwiastowania – „W końcu czemu nie?” – żeby dostąpić zaszczytu przyłączenia się do Waszej Ekscelencji.

– Czy to ma być żart? – spytał Golsingh, patrząc na swego przybranego ojca ze zdziwieniem. Jeden z niewolników, czekających, aż ich pan zakończy swe sprawy, zaczął się śmiać.

Z wierzchołka pobliskiego drzewa sfrunął kruk. Usiadł na zwłokach jedyne wojownika, którego niewolnicy nie obdarli z pancerza: nieszczęśnika, którego napierśnik nie zatrzymał bełtu z kuszy. Ptak zakrakał, rozbawiony, spoglądając na Hansena lśniącem okiem.

– Tak, to prawdopodobnie jeden z bufonów Lopeza, szukający nowego pana – powiedział Taddeusz. Odwrócił się do Hansena. – Wracaj do swego pana i powiedz mu, żeby stawił się za dziesięć dni w Kamieniu Pokoju albo spalimy żywcem jego samego i wszystkich w tej żalosalnej wsi – rzekł bez gniewu. Intruz najwyraźniej przestał być wart gniewu Taddeusza. Obaj z Golsinghiem pogonili wierzchowce.

Twarz Hansena ściągnęła się.

– Jeśli szukasz bufona, zacznij od głupca, który prowadził prawe skrzydło oddziału do tej idiotycznej szarzy! Bogu dziękuj, że nie przegrałeś przez to bitwy, którą miałeś już niemal na talerzu! – krzyknął w stronę pleców oddalających się przywódców.

Taddeusz odwrócił się przez ramię, żeby spojrzeć na Hansena. Jeźdźcy podnieśli z łąków siodeł lance.

– Ja się tym zajmę, Ekscelencjo – powiedział Taddeusz.

Zezowaty kruk przestępował z nogi na nogę na piersi trupa, pokrakując złośliwie.

– Powtarzam ci, panie, że jestem wojownikiem! – powiedział Hansen. – Mogę pomóc ci w planowaniu następnej bitwy bardziej, niż przypuszczasz.

– Wy tam – powiedział Taddeusz, wskazując na czterech niewolników. – Zajmijcie się nim. – Skinął głową Golsinghowi. – Jedźmy, Ekscelencjo – rzekł. – Nie chcemy pozostać w tyle za kolumną. Nigdy nie wiadomo, co czyha w tych lasach.

Obaj jeźdźcy ruszyli kłusem, wzbijając spod kopyt błoto i śnieg. Niewolnicy ruszyli w stronę Hansena, dobywając spod łachmanów jednosiecznych noży.

– Wojownik ma zbroję i sługi – zakrakał Walker. Jeśli któryś z niewolników usłyszał jego słowa, niczego po sobie nie pokazał. – A ty co masz poza własną głupotą, komisarzy?

Jeźdźcy zniknęli pomiędzy drzewami.

– Słuchajcie – Hansen zwrócił się do niewolników. – To nie wasza sprawa. Zaczekajcie chwilę... – Najbliższy z niewolników skoczył. Hansen cofnął się. Nóż wyglądał na tępy, ale jego właściciel wkładał w ciosy tyle entuzjazmu, że gdyby podszedł bliżej, mógłby mieć szansę. – Słuchajcie – zaczął ponownie. – Zaraz komuś stanie się...

– Jo biere jego buty! – wrzasnął niewolnik do towarzyszy.

Wszyscy czterej ruszyli na Hansena z największą szybkością, jaką mogli osiągnąć na rozmięklej ziemi. Komisarz wycofał się w kierunku, gdzie umknęli ludzie Lopeza. Teraz czuł chłód jedynie w umyśle. Uciekając, jeźdźcy porzucili ekwipunek i... Obok głowy przeleciał cień, trzepocząc skrzydłami i kracząc głośno. Wylądował na złamanej gałęzi dziesięć metrów dalej, a potem usadowił się czarnym dziobem w stronę Hansena. Pazury Walkera zaciskały się nie na gałęzi, ale na łożu kuszy...

– Nie zasługujesz na pomoc! – zakrakał kruk, wzbijając się w powietrze, kiedy tylko Hansen dopadł broni.

– Niepotrzebna mi pomoc, Walker! – warknął komisarz, odwracając się w stronę napastników. I to była prawda. Znalazłby coś do obrony, choć może niekoniecznie tę kuszę, leżącą w śniegu poza zasięgiem wzroku...

Niewolnicy zawahali się, kiedy zobaczyli, że Hansen się odwrócił.

– Nie, wszystko gra – powiedział prowodyr. – Nie jest napięta, a poza tym on i tak nie ma bełtów.

Hansen skoczył na mówiącego, waląc go w twarz łożem kuszy, a potem machnął bronią jak kilofem, uderzając niewolników po obu stronach końcami łuku. Drugi cios zaplątał się jedynie w szmaty, kiedy niewolnik odskoczył w tył, wydając słuszny okrzyk zaskoczenia i strachu. Kusza ważyła ponad dziesięć kilo i złożona była z metrowego, drewnianego łoża i sztywnego, stalowego łuku. Każdy, kto sądził, że Hansen nie jest uzbrojony, trzymając ją w rękach, był głupcem i... – Hansen walnął tyłcem łoża mężczyznę z rozbitą twarzą, powalając go na leżącego towarzysza. Pozostali dwaj niewolnicy rzucili się do ucieczki. Komisarz ruszył za nimi. – ...i trupem.

– Och, jakiś ty mężny! Walczysz z niewolnikami! – krakał Walker. – Jesteś z siebie dumny? – Hansen zatrzymał się. Trzęsły mu się nogi, oddech rwał się. Walker miał rację. Może i było ich czterech, ale on trenował z najlepszymi, nie z takimi śmieciami. Ruszył z powrotem w stronę pola bitwy, odzyskując kontrolę nad naładowanymi adrenaliną mięśniami. Kiedy upewnił się, że pozostali przy życiu niewolnicy uciekli na dobre, odłożył zakrwawioną kuszę. Porzucony trup w zbroi nadal leżał tam, gdzie upadł. Kiedy Hansen się zbliżył, zobaczył lądującego na napierśniku kruka. – Mogę pokazać ci miejsce, w którym można zdobyć naprawdę wspaniałą zbroję, godną króla! – powiedział Walker. – Służ mi, a wynagrodzę cię.

– Czy ta będzie działać? – spytał Hansen.

Przykłęknął obok trupa. Pancierz wykonano z miękkiej stali, ale pod nią znajdować się musiały skomplikowane układy elektroniczne. Duży przycisk zatrasku znajdował się dokładnie pod bełtem wystającym spod lewej pachy.

– Będzie, ale kiepsko – odparł kruk, przeskakując na czubek młodego drzewka, tak delikatnego, że ugięło się pod ciężarem ptaszyska. – Nie odważysz się stanąć do walki z prawdziwym

wojownikiem, mając na sobie ten złom.

Hełm stanowiła gładka kula. Patrząc z odległości, Hansen zakładał, że musiały być w niej ukryte otwory wzrokowe i oddechowe. Mylił się.

– Nie próbuj mówić mi, na co się odważę – powiedział komisarz. Odemknął zatrask i otworzył pancerz. Znajdujący się wewnątrz mężczyzna opróżnił przed śmiercią кишки. Zapach zawisł w powietrzu jak para nad zbiornikiem szamba. Hansen wywłókł zwłoki ze zbroi, starając się zachować tyle szacunku dla zmarłego, na ile pozwalał mu czas i sztywniejące członki trupa. Wojownik był już stary, nosił szpakowate wąsiska, a na jego głowie pozostała resztkę włosów. Bełt przebił płuca i spowodował silne krwawienie z nosa i ust. „Przynajmniej był odpowiedniego wzrostu” – pomyślał. – Jak się ją włącza? – spytał, układając zwłoki na ziemi.

Walker przestał na chwilę poprawiać lśniące pióra.

– Pancerz sam się włącza w momencie, kiedy w środku znajdzie się operator – stwierdził bez zainteresowania. – Żywy operator. Ale jesteś głupcem, sądząc, że ten złom do czegoś ci się przyda, Hansen.

Ten zmełł w ustach przekleństwo. Zbroja postawiona na rozsuniętych nogach sama stała – widział, jak wojownicy zdejmowali je na stojąco – ale była za ciężka, aby mógł sam ją unieść. Miał nadzieję, że ruchy operatora wzmacniają serwomotory, wewnętrzne systemy wspomaganie ruchu.

Oparł dłonie o brzegi otwartej części tułowiowej i wsunął nogi do środka. „Jak zakładanie spodni” – pomyślał.

Zbroja nadal cuchnęła. Położył się w niej i wsunął ręce w osłony ramion. Smród mógł się jeszcze nasilić, jeśli również przyjdzie mu zginąć w tym pancerzu, ale nie miałyby to wtedy wielkiego znaczenia.

– Walker! – zawołał, ciekaw, czy w zamkniętym pancerzu będzie mógł mówić. – Jak włączyć promień energetyczny?

Kruk przekrzywił łebek.

– Wskaż palcami cel i powiedz: „Tnij”. Rozsuń palce, aby wydłużyć promień.

A więc zbroją sterowała sztuczna inteligencja. Co ma wspólnego SI z tym prymitywnym feudalizmem?

– A jak wystrzelić?

– Pierwsza zasada...

– Jak, ptaku!?

– Kraaa! – odrzekł Walker. Potem już normalnie dodał: – Wskaż dłonią cel i powiedz: „Strzał”.

Hansen zamknął zbroję. Kiedy zatrask zapadł z kliknięciem, przed jego oczyma ukazał się wyświetlacz, a małe wiatraczki zaczęły wymieniać cuchnące powietrze. Wstał. Wyświetlacz przecinały linie rastra, pokazywał obraz rozszerzony do stu osiemdziesięciu stopni w oknie, które powinno obsługiwać jedynie dziewięćdziesiąt stopni.

– Zredukuj pole widzenia o pięćdziesiąt procent – automatycznie zakomenderował Hansen, zanim uświadomił sobie, że tak stary egzemplarz może nie mieć sterowania głosem ani żadnego innego sterowania.

Las przybrał na wyświetlaczu normalny wygląd. Wąskie okno na świat, ale podczas marszu najlepsze; szybkiego marszu, jeśli się uda. Hansen wiedział, że musi nadrobić sporo czasu.

Zrobił krok, potem drugi i ruszył w końcu niezgrabnym truchtem. Pancerz reagował na jego ruchy z opóźnieniem i Hansen sądził, że zaraz się przewróci. Ale dynamicznie regulowana sztywność stawów oszczędziła mu wstydu. Za to wszystkie odsłonięte części ciała sobie poobcierał. To nic, że zbroja była wyłożona od środka; gdzie indziej zamszem, gdzie indziej skórą, a w kilku miejscach

materiałem niewiele lepszej jakości niż łachmany noszone przez niewolników. Do tego czuł ukłucia zimnego powietrza poniżej lewego ramienia, tam gdzie zbroję przebił belt. Nie sądził jednak, aby to belty były jego największym zmartwieniem...

Przypomniał sobie o najważniejszym. Idąc niezgrabnie naprzód błotnistą i zadziwiająco wąską koleiną śladów wyżłobionych łapami mamutów, wyprostował prawe ramię, wskazał palcami i powiedział:

– Tnij. – Promień, czarny w wizjerze Hansena, wystrzelił z sykiem z rękawicy. Trafił młodą sosnę, która natychmiast stanęła w płomieniach. Komisarz padł nagle na twarz. Kiedy pancerz wypuścił promień, w nogach zbroi zabrakło mocy niezbędnej do utrzymania prędkości. Promień nadal chłostał poszycie, wzbijając tłący się ogień. „Jak to się...”. – Stop! – krzyknął. – Koniec!

Broń zgasła. Wstając, nie zobaczył Walkera, ale ten natychmiast dał znać o sobie, siedząc na naramienniku zbroi.

– Dobra zbroja nie zrobiłby czegoś podobnego. Królewska zbroja, jak ta, którą ofiaruję ci jako memu słudze, pozwala walczyć dwiema rękoma i jednocześnie biec szybciej niż nie opancerzony człowiek.

– Poradzę sobie – odparł Hansen.

Znowu puścił się truchtem, potem zaczął biec odmierzonym krokiem. Zdierał sobie przy tym skórę z kolan, ramion i kości miednicy.

Komisarz nosił wcześniej pancerze wspomagane, ale rzadko, jeszcze rzadziej zaś w studni antygravitacyjnej. Serwomotory w stawach zbroi wspomagały ruchy i utrzymywały ciężar ciała, ale zawsze istniało niewielkie opóźnienie pomiędzy ruchem mięśni a ruchem pancerza. Czuł się tak, jakby próbował biec wśród piany; tyle że piana nie obdzierałaby go przy tym ze skóry.

Hansen koncentrował się na każdym kroku. Wizjer zaszedł mgłą od wydychanej z wysiłkiem pary. Nie zauważył wzniesienia na szlaku, dopóki nie wyszedł z za linii drzew. Przed sobą, na wzgórzu wypiętrzonym za opadającym szlakiem zobaczył wieś otoczoną palisadą, ponad którą unosiły się dymy domowych kominów.

Rozciągnięta kolumna jeźdźców i mamutów Golsingha pięła się pod górę. Jeden z konnych z tyłu oddziału zadał gwałtownie w róg, wskazując Hansena wolną ręką. Trzech wojowników obok Golsingha i Taddeusza zaczęło zakładać zbroje.

Hansen ostrożnie zwolnił. Wyobraził sobie, jak ześlizguje się w dół zbocza, lądując na brzuchu przed ludźmi, na których chciał zrobić wrażenie. Część jego nerwowego napięcia nagle rozładował uśmiech. Wpadł na pewien pomysł. Skierował spojrzenie na zakładających pancerze zbrojnych.

– Wizjer, plus dziesięć – mruknął. Na wyświetlaczu hełmu natychmiast pojawił się powiększony obraz. Sylwetki były mniej wyraźne, ale dojrzał, że wszyscy trzej wojowie są potężnie zbudowani i mają po mniej więcej dwadzieścia dziewięć lat, czyli tyle co on sam. – Normalny widok – powiedział i przygryzł wargę w zamyśleniu, rozważając sytuację.

Miał prymitywną zbroję, ale posiadała ona zaskakujące możliwości. Hansen był przekonany, że wojownicy poruszający się tak niezgrabnie podczas walki nie wiedzieli lub nie dbali o te możliwości. To dawało mu przewagę. A bardzo jej potrzebował.

– Lordzie Golsingh! – krzyknął Hansen, zbliżając się do oddziału. W hełmie słyszał wzmocniony odgłos własnych słów. – Przybyłem tu, aby ci służyć. Jeśli nie ma w tej chwili wolnego miejsca u twego boku, to zwolnię je dla siebie!

Hansen nie wiedział nic o kulturze Świata Northa, ale znał się na strukturach i hierarchiach. Nie udało mu się od razu porozumieć z tymi ludźmi, bo nie wzbudził w nich szacunku. Nie zamierzał znowu przegrać z braku arogancji. W końcu tego mu nie brakowało.

Trzej wojownicy zdążyli już założyć zbroje. Pancierz jednego pomalowany był w srebrno-czarne wzory, drugiego we wzory czerwone, srebrne i błękitne, a ostatniego w jasnozielone ze złotym feniksem na napierśniku. Wszyscy trzej byli mocno zbudowani, a ich zbroje doskonałej jakości.

W porównaniu z nimi komisarz wyglądał śmiesznie. Jego pancierz wyglądał jak złom, niegdyś pomalowany w pomarańczowe i błękitne pasy, ale teraz pokryty głównie plamami rdzy.

Włochate cielska mamutów posuwały się naprzód, ale jeźdźcy i większość niewolników gromadzili się w zagłębieniu u stóp wzgórza. W promieniu kilometra było to jedyne miejsce wystarczająco płaskie, aby mogło posłużyć za teren pojedynku.

Hansen szedł dalej w tempie dopasowanym do posuwającego się w górę zbocza taboru. Mamuty szły zadziwiająco szybko, każdy ich ospały krok pokonywał dwa metry. Ich odchody parowały w błocie, przynosząc mu woń siana.

Armia Golsingha czekała na Hansena. Większość jeźdźców zsiadła z koni, choć król i Taddeusz nadal siedzieli w siodłach, spoglądając na niego znad głów trzech wojowników w lśniących zbrojach.

– To pancierz Villiersa – powiedział ktoś. – Zdarł zbroję Villiersa z jego trupa.

– Tnij – powiedział Hansen. Z prawej rękawicy wykwitł sierpowaty promień. Palcami zmniejszył długość tak, aby ostrze nie sięgało błotnistej ziemi. Szedł nadal naprzód, pokonując zwiększony opór zbroi.

– Villiers nigdy niczego nie potrafił zrobić jak należy – powiedział inny głos. – Nawet umrzeć.

– Lordzie Golsingh – krzyknął Hansen z dwudziestu metrów. – Wyzywam wybranego przez ciebie wojownika o prawo służby u twego boku.

Taddeusz odwrócił się do Golsingha.

– To niewolnik – powiedział.

– Ubrany jest jak wojownik – odparł Golsingh, uśmiechając się do Hansena. – I przechwala się też jak wojownik. – Hansen widział już, że król ma krótkie, kręcone włosy i zakręcone ku dołowi wąsy. – Myślę, że zasługuje też na śmierć wojownika. – Taddeusz tylko wzruszył ramionami. – Zieborn – powiedział. – Zabij go.

Wojownik z feniksem na napierśniku wyszedł przed szereg. Długi łuk ostrza wystrzelił z jego prawej rękawicy.

Hansen zatrzymał się w miejscu. Zacisnął palec wskazujący i środkowy prawej dłoni, skracając ostrze do rozmiarów ognika na ich czubkach, zagęszczając energię broni najbardziej, jak pozwalał na to mechanizm zbroi. Zablokował atak przeciwnika, czując mrowienie ramienia od siły ciosu, ale broń wojownika zgasała z pyknięciem.

Większy i lepiej uzbrojony wojownik zaklął głośno. Zrobił krok naprzód z włączonym na nowo ostrzem skróconym do długości przedramienia.

– Koniec – rozkazał Hansen SI zbroi i rzucił się na przeciwnika, koncentrując całą energię pancerza na ruchu.

Zieborn spodziewał się chyba, że Hansen się wycofa lub ucieknie; podświadomie myślał o zbroi jak o kiepskim wojowniku, który do niedawna ją nosił. Uderzył poziomo.

Ale Hansen był już przed nim. Złapał prawy nadgarstek Zieborna lewą ręką i krzyknął do SI zbroi:

– Tnij! – I ciął w górę, od brzucha do gardła.

Namalowany feniks skurczył się i odpadł od pancerza warstwą popiołu i złocenia. Metal poniżej wgniótł się nieco, ale nie zapłonął. Elektroniczna zbroja Zieborna była niewrażliwa na najsilniejszy atak, na jaki stać było broń Hansena, a wojownik przyginał już ramię w stronę twarzy komisarza.

Hansenowi udało się przeżyć tak długo, ponieważ był bardzo szybki, a w razie potrzeby potrafił być też niezwykle silny. Możliwe, że przewyższał siłą wojownika króla, a także górował nad nim sprytem, atakując w zwarciu.

Ale nie miało to znaczenia, bo najważniejsza była ilość energii, jaką dysponował pancierz, nie zaś ukryte pod nim ludzkie mięśnie. Wizjer Hansena zamigotał, tracąc moc na rzecz broni energetycznej. Świetlny promień przeciwnika wydawał dźwięk jak krakanie kruka. Jego negatywny obraz zbliżał się coraz bardziej do oczu Hansena. Wparł prawe ramię w opancerzoną szyję Zieborna i pchnął, co też nie zrobiło na wojowniku żadnego wrażenia. Gdyby komisarz odwrócił się i zaczął uciekać, promień wroga wydłużyłby się, dziurawiąc szyjną osłonę zbroi Hansena.

Receptory strzeliły i kwadrant wyświetlacza w hełmie stał się czarny. Gęsta wiązka energii broni Zieborna dotknęła jego hełmu.

– Strzał – krzyknął komisarz. Wyładowanie oślepiło go, ogłuszyło i wywołało ciarki na całym ciele, jakby znalazł się nagle w centrum błyskawicy.

Ale warczący promień broni Zieborna nie wdarł się do wnętrza hełmu Hansena, wypalając mu oczy plazmowym płomieniem, zanim zrobiłaby to zniszczona elektronika.

Hansen sięgnął w dół do lewego boku, z wysiłkiem pokonując opór zeszywniałych nagle stawów. Otworzył pancierz, odsuwając płytę napierśnika. Dotarło do niego jasne światło słońca. I smród palonego mięsa.

Słyszał gwar głosów, zagniewanych i zaskoczonych, ale nie przysłuchiwał im się, zajęty zdejmowaniem zbroi. Zamknięcie wewnątrz pancierza z wyłączonym systemem wentylacyjnym i bez żadnych sprawnych sensorów było nieprzyjemnie klaustrofobiczne.

Zieborn nie żył. Jego pancierz utracił blask, a pośrodku osłony szyi widniał otwór nie większy niż kanał wydrążony w jabłku przez robaka. Z otworu snuł się dym, podobnie jak z otworów wentylacyjnych pod ramionami. Dlatego powietrze śmierdziało jak przypalone barbecue.

Pozostali dwaj wojownicy czekali na rozkazy, ale jeden z jeźdźców wycelował w pierś Hansena kuszę. Bełt miał czworograniasty, stalowy grot.

– Odłóż to cholerstwo albo wsadzę ci je w dupę! – warknął komisarz. Groźba w jego głosie sprawiła, że kusznik cofnął się o krok z otwartymi ustami, unosząc broń.

Zbroje Hansena i jego przeciwnika stały niczym zamrożone w miejscu, w którym się starli. Cykada przefrunęła tak blisko, że jej skrzydełka musnęły włosy przyklejone potem do czoła komisarza. Wyładowała na hełmie Zieborna i odezwała się cienkim głosikiem, słyszalnym tylko dla Hansena.

– Druga zasada wojny mówi, że na wojnie nie ma żadnych zasad.

– Lordzie Gols... – zaczął Hansen. Głos mu się załamał. Czuł suchość w gardle, wyschło jak stary szkielet. – Lordzie Golsingh – rzekł. – Pragnę zająć należne mi miejsce przy tobie.

– Niczego nie wiemy o tym... – powiedział Taddeusz. Jego twarz była czerwona niczym wilczy język.

– Pragnę również zabrać zbroję tego człowieka, którego pokonałem w uczciwej walce – ciągnął Hansen chrapliwym, głosem.

– Wiemy, że potrafi walczyć – powiedział Golsingh do swego przybranego ojca. Król spojrzał z góry na komisarza. – twoje pierwsze życzenie zostanie spełnione... Hansen, tak? – ten pokiwał tylko głową. Zastanawiał się jednak, czy nie powinien się skłonić. – Drugiej prośbie odmawiam – ciągnął władca z pozbawionym uczuć, lekko roztargnionym wyrazem twarzy. – Zbroja Zieborna przypada jego najstarszemu synowi, tak każe obyczaj. – Hansen poczuł, jak twardnieją mu rysy. Jeśli czegoś się zdążył nauczyć, to tego, jak ważny jest tutaj sprawny ekwipunek. – Dowiodłeś jednak, jak sądzę,

swego prawa do pancerza porównywalnej jakości, który znajdziemy pośród zaufanych ludziom Lopeza – mówił dalej Golsingh. Spojrzał na swój orszak. – Podajcie mu konia – rzucił rozkazująco. – I ruszajmy do wsi. Kobiety zapewne już się niepokoją. – Dwóch niewolników przywiodło osiodłanego kuca, być może tego, którego dosiadał Zieborn, zanim kazano mu stanąć do walki z intruzem.

– Ach – zawołał władca. – Zabierzcie też zbroję Villiersa, okazuje się, że może być więcej warta, niż wskazuje jej wygląd.

Jeden z ludzkich służących podał Fortinowi lustro z wypolerowanej tafli lodu. Ten przyjrzał się swemu odbiciu i poprawił rondo kapelusza, po czym przeszedł w nieciągłość, wokół której zbudowano główną salę jego pałacu.

Po przeciwnej stronie tej odnogi Matrycy znajdowało się bagno, zarośnięte gigantycznymi paprociami; kraina, którą zamieszkiwali niegdyś jego przodkowie, przodkowie jego matki. Tym razem Fortin zapuścił się na teren będący nie tyle częścią Matrycy, co niezależnym od niej światem. Do jego uszu dotarł okrzyk godowy narastający w gardzieli którejś z bestii zamieszkującej bagno. Nadal patrzył w oczy sługi, którego twarz nie śmiała wyrażać żadnych uczuć, dopóki pan ostatecznie się nie oddali. Jego umysł podążył za ciałem na drugą stronę...

Stał na twardym gruncie, pod słońcem Rubinu. Kompania żołnierzy w mundurach stała przed nim na baczność. W jego kierunku wycelowanych było tuzin dział potężnych pojazdów opancerzonych, nie kryjących swojej siły. Oficer łącznościowy stał obok dowódcy oddziału, który nacisnął przycisk nadawania przenośnej radiostacji.

– Tu Łamacz Kości Trzy. Inspektor generalny przybył. Koniec.

Oficer dowodzący wystąpił naprzód i oddał Fortinowi salut.

– Sir! – odezwał się. – Jestem major Brenehan, dowodzę pańską eskortą. Bardzo się cieszymy, że znowu jest pan z nami.

Fortin oddał salut z celową nonszalancją, która – jak wiedział – rozwścieczy Brenehana tak samo jak każdego mieszkańca Rubinu, gdzie ludzie dążyli za wszelką cenę do precyzji zabójczej skuteczności. Potrzebował ich pomocy, ale nie potrafił powstrzymać się, żeby ich nie obrażać. Nienawidził siebie za to. Zresztą nienawidził siebie w ogóle, przez większość czasu. Uśmiechnął się do Brenehana, strzepnął nieistniejący pyłek; klapy munduru.

– Doskonale, majorze. Chciałbym spotkać się z członkami najwyższej Rady, kiedy tylko będzie to możliwe.

– Oczywiście, sir – odparł Brenehan. – Natychmiast.

Major wziął słuchawkę radiostacji i zaczął podawać serię zakodowanych komend. Piechurzy nadal stali na baczność. Czołgi nadal celowały z dział głównych w miejsce, w którym stał Forin. W rozmowie przez radio nastąpiła przerwa.

– Jesteście niezwykle ostrożni – powiedział Fortin z uśmiechem.

Brenehan wyglądał tak, jakby przybysz zarzucił mu, że nie smarują sobie twarzy świńskim łajnem.

– Tak, sir – odparł ostrożnie. – Naturalnie. – Głos w słuchawce radiostacji przyzywał Brenehana. Ten odpowiedział ciągiem monosylab, nie zdejmując wzroku z Fortina. W końcu skinął głową i oddał słuchawkę specjalście od łączności. – Doskonale, sir – mówił z zadowoleniem major. – Jeżeli zechce pan udać się za mną, podążymy na miejsce spotkania.

Piechota rozeszła się na rozkaz, którego Fortin nie zauważył. Brenehan skinął gestem w stronę transportera opancerzonego stojącego za linią żołnierzy, po czym ruszył w jego stronę, nie oglądając się na gościa.

– A gdybym tak zażądał spotkania z Radą w kwaterze głównej? – spytał Fortin, mówiąc głośno, aby zostać usłyszonym ponad rykiem silników startu pionowego transportera.

– Nie sądzę, aby było to konieczne, sir – odparł major Brenehan.

Wskazał Fortinowi miejsce w fotelu przy drzwiach, gdzie zwykle siedział oficer dowodzący. Pluton piechoty wszedł na pokład za nimi. Reszta kompanii załadowała się na pozostałe trzy transportery. Te wystartowały, kiedy tylko ostatni z ludzi zatrzasnął za sobą właz.

W siedzeniu zamontowany był joystick. Fortin ujął go i nacisnął przycisk, który powinien dać mu dostęp do holograficznego obrazu terenu, informacji o tym, gdzie się znajdowali i dokąd zmierzali, jak również map dowolnego obszaru Rubinu, który zechciałby obejrzeć. Ale przycisk nie zadziałał. Bardzo ostrożni, nawet w obecności generalnego inspektora...

– Ale gdybym jednak zechciał odwiedzić kwaterę główną? – naciskał Fortin, zdając sobie sprawę, że to jego pęd do samozniszczenia przejmuje nad nim kontrolę.

– Musiałby pan spytać o to samych przedstawicieli Rady, sir – odparł Brenehan.

Oficer stał obok fotela, na którym sam zwykle siadywał, opierając się o sufit, kiedy pojazdem trzęsły turbulencje. Żołnierze, siedzący z twarzami bez wyrazu skierowanymi w ściany, sprawdzali broń i resztę ekwipunku. Fortin uśmiechnął się do Brenehana.

– Wasza zdolność do przewidzenia mojego miejsca przybycia robi wrażenie – powiedział.

– Cóż, sir – odpowiedział żołnierz z uśmiechem zadowolenia. – Każde niezwykle wydarzenie stanowi potencjalne zagrożenie dla Rubinu. A pańskie przybycie, proszę wybaczyć śmiałość, stanowi niezwykle wydarzenie.

Lot na miejsce spotkania trwał dwadzieścia minut, ale Fortin przypuszczał, że część tego czasu zabrały zmiany kursu, wymagane procedurami bezpieczeństwa. Kiedy tylko transporter dotknął ziemi, jego ściany opadły z łoskotem i pluton piechoty wypadł na zewnątrz, celując z karabinów i broni energetycznej. Pozostałe transportery również wylądowały i wyskakiwali z nich żołnierze.

Łądowisko było wulkaniczną równiną pokrytą zielonymi i brązowymi porostami. Oddział żołnierzy już czekał. Ludzie zajęli pozycje w rozpadlinach pomiędzy wystygłymi strumieniami lawy. Fortin zauważył, że byli wyposażeni w broń ciężką, której jego eskorta nie miała. Nie było widać śladu członków Rady, tylko żołnierze.

Fortin wstał z godnością i ruszył w stronę pozycji czekającego oddziału. Ludzie Brenehana – a właściwie ludzie inspektora generalnego – ustawili się w szeregi po jego obu stronach. Na Fortina skierowano zarówno broń, jak i skanery, prześwietlające gościa i jego ekwipunek dla upewnienia się, że nie stanowi zagrożenia. Nie było wątpliwości co do kolejności priorytetów w Rubinie: Rada była ważniejsza niż inspektor generalny, ale bezpieczeństwo było najważniejsze.

Pułkownik wyszedł na spotkanie Fortina, prosząc go gestem, aby wszedł za linię wojska, i powiedział coś do słuchawki radiostacji identycznej jak ta, której używał Brenehan. Potem zasalutował służbiście.

– Dobrze znowu pana gościć, sir. To potrwa jeszcze tylko chwilę.

Spod nieboskłonu na zachodzie rozległ się dudniący odgłos. Następna eskadra transporterów opancerzonych opadała w stronę wulkanicznej równiny. Większość z nich wylądowała w pewnej odległości, ale jeden przeleciał nad linią żołnierzy i osiadł kilka metrów od miejsca, w którym stał Fortin. Turbiny wylotowe sypnęły mu gorącym piaskiem na twarz i mundur. W burcie pojazdu otworzył się właz. Kobieta w mundurze siedząca wewnątrz miała wygląd karlicy o kamiennej twarzy.

– Sir? – odezwała się. – Mamy tutaj ruchome centrum dowodzenia. Czy zechciałby pan do nas dołączyć?

Fortin wszedł do środka pojazdu, gdzie przywitały go spojrzenia pięciu członków Rady, czekających na „spocznij” obok konsoli głównej. Sufit ruchomego centrum dowodzenia znajdował się dwadzieścia centymetrów wyżej niż w standardowym pojeździe opancerzonym. Nawet marszałek

Czerny, równie wysoki i szczupły jak sam North, pochylał się tylko odrobinę.

Marszałek Czerny, Kerczuk, Tadley – mała kobieta o ostrych rysach, Moro i Stein. Nosili dystynkcje najwyższej rangi, ale ich pokryte wzorem kamuflażu uniformy bojowe silnie kontrastowały z paradnym mundurem Fortina.

Arogancja mieszkańców Rubinu zarazem śmieszyła Fortina i przerażała go. „Czy zechciałby pan do nas dołączyć?”. Pytanie zadane po tym, jak już zmusili go do tańca na ich melodię. Wiedział, że tak czy inaczej, bez względu na to, co powie, Rada zrobi to, co uzna za konieczne. Mógłby nakazać im wszystkim, żeby natychmiast popełnili samobójstwo, na jego oczach, nie podając żadnego powodu. I rozkaz zostałby wykonany. Gdyby jednak jego rozkaz zagroził bezpieczeństwu Rubinu lub tylko potencjalnie mógłby mu zagrozić, sprawa wyglądałaby inaczej. Gdyby na przykład inspektor generalny nalegał na wizytę w kwaterze głównej, wykonanie rozkazu bardzo by się przeciągnęło, i wykorzystano by wszelkie możliwe administracyjne kruczki, aby ograniczyć możliwe zagrożenie. Arogancja, tak, ale płynąca z poczucia obowiązku. Nic nie było ważniejsze od obowiązku, ani życie, ani inspektor generalny. Lud Rubinu wierzył z zastraszającą mocą, podczas kiedy Fortin nie wierzył w nic i w nikogo. Może poza swoim niemal boskim sprytem.

– Siadajcie, towarzysze – powiedział Fortin, wskazując gospodarzom miejsca wokół konsoli, sam jednak stał. – Mam dla was problem natury technicznej. – Uśmiechnął się zimno. – Myślę, że może wam się wydać zabawny. – Czerny skinął mocno głową, w połowie wyrażając zgodę, w połowie zaś poganiając go do szybszego mówienia. – Załóżmy na chwilę – ciągnął – że Rubin stanowi segment czasoprzestrzenny większego wszechświata...

– Tak, tak – mruknął Stein. – Wiemy o tym.

– ...i że posiada wewnątrz Matrycy swe dokładne przeciwieństwo.

Thuste palce Moro sunęły po klawiaturze. Przed jego oczyma pojawił się holograficzny obraz, możliwy do odczytania tylko dla użytkownika.

– W jakim sensie przeciwieństwo, sir? – spytał.

– W każdym sensie, marszałku Moro.

– Dysponuje więc siłą militarną równą naszej? – spytał Tadley.

– Dokładnie przeciwnie – powiedział Fortin, zadowolony z błysku zainteresowani w oczach Rady. – Stanowią wasze przeciwieństwo w sensie zdolności militarnej.

Po powierzchni wulkanicznej równiny powiał wiatr, na tyle silny, że ściany transportera lekko zadrgały. Przez klimatyzator pojazdu przekradło się cuchnące siarkowymi wyziewami powietrze.

– To znaczy... – zaczął Moro, zamierając na chwilę, aby znowu podjąć pracę na klawiaturze.

– Gdyby taki cel istniał – powiedział Fortin. – Jak przystąpilibyście do ataku na niego? – Ponownie się uśmiechnął.

– Wiele możliwości, które przychodzą mi do głowy, wymagałoby wsparcia operacji spoza Rubinu – powiedział Kerczuk. Jego kulturalny głos kontrastował silnie z jego wyglądem: poznaczona bliznami, brutalna twarz, tylko jedna ręka. – Czy powinniśmy zakładać taką możliwość, sir? I jeśli tak, jakie parametry...

– Nie ma możliwości wsparcia spoza Rubinu, marszałku Kerczuk – powiedział ostro Fortin. – Ta operacja powinna zostać zaplanowana i przeprowadzona z użyciem sił samego tylko Rubinu.

– Zadanie wydaje się niewykonalne – powiedział Moro, patrząc nie na gościa, tylko na swój wyświetlacz. – Pierwsze zadanie oddziału inwazyjnego polegałoby na opuszczeniu Rubinu. Na opuszczeniu wszechświata.

– A nawet gdyby dało się rozwiązać ten problem...

– Można go rozwiązać – przerwała Tadley. – Znajdziemy sposób.

Stein tylko na nią spojrział.

– Wasza pewność świadczy o optymizmie, marszałku – powiedział chłodno. Przeniósł wzrok na Fortina. – Gdyby nawet udało się rozwiązać ten problem, to jeśli nasz świat i cel naprawdę się równoważą.

– To jego ucieczka przebiegać będzie z taką samą szybkością, z jaką nastąpi pościg grupy inwazyjnej – uzupełnił Kerczuk, uśmiechając się przez połamane zęby. – Rzeczywiście interesujący problem.

– Istnieje jeszcze trudność polegająca na zlokalizowaniu celu – głośno zastanowił się Stein.

– To żadna trudność – wtrąciła się Tadley. – Jeśli stanowią faktycznie naszą odwrotność, ich lokalizacja musi odpowiadać naszej.

Nawet Stein i Moro skinęli głowami.

– Jeżeli wolno, inspektorze generalny – powiedział Czerny głosem przypominającym trące o siebie kamienie. – Jaki miałby być cel tego proponowanego ataku?

Fortin zawahał się na moment.

– Całkowite zniszczenie celu – powiedział w końcu.

– Tak. – Czerny oblizał wargi. – Tak przypuszczałem.

– Taka operacja wymaga przygotowania – stwierdziła Tadley. – Zreferujemy rzecz Centrum Planowania Taktycznego i zobaczymy, co uda im się wymyślić.

– Sądzę – dodał Czerny – że ta sprawa powinna trafić nie do Planowania, tylko od razu do Centrum Operacyjnego. Potraktujemy jednak operację jako hipotetyczną, póki nie otrzymamy rozkazu wykonania.

Uniósł brew, patrząc na Fortina. Ten znów się uśmiechnął.

– Tak, to znakomity pomysł – powiedział. – Wrócę niedługo, żeby zobaczyć, co przygotowaliście. – Przerwał na chwilę. – By móc bronić się przed potencjalnymi zagrożeniami, należy je oczywiście najpierw zidentyfikować.

– Oczywiście – powtórzyły głosy ludzi wokół konsoli.

Wszyscy uśmiechali się szeroko niczym rekiny. Cała szóstka.

– Witaj w Kamieniu Pokoju – powiedział Malcolm, potężnie zbudowany wojownik w czerwono-błękitno-srebrnej zbroi, który obserwował wcześniej pojedynek Hansena z Ziebornem. Malcolm miał skórę koloru kawy z mlekiem i barytonowy głos o dźwięcznym brzmieniu, nawet kiedy wypowiadał sarkastyczne uwagi.

Jeden z mamutów uniósł trąbę i zaryczał głośno, przechodząc przez bramę w zewnętrznym pierścieniu tutejszych umocnień, czyli zwykłej drewnianej palisady; zresztą kamień czy wzmocniony beton nie stanowiłby wcale lepszej ochrony przed energetyczną bronią wojowników.

– Za czasów ojca Golsingha miejsce to nazywało się Krwawym Kamieniem – powiedział Shill, należący chyba do drużyny Malcolma. Shill był starszym już wojownikiem, niewiele chyba lepszym od Villiersa, którego zwłoki porzucono na polu walki. – Golsingh zmienił nazwę, bo zamierza przynieść pokój całemu królestwu. Tak w każdym razie mówi.

– To nie ma znaczenia – rzekł Maharg, olbrzymi młody wojownik również z oddziału Malcolma. – Póki on zaprowadza pokój, my mamy dość roboty.

– To jest stolica? – zapytał Hansen. – Królewska stolica?

Kamień Pokoju był wsią, składającą się z błotnistych ulic i krytych strzechą domów na mniej więcej metrowej wysokości kamiennej podmurówce. Śmierdziało zwierzętami – mamutami, koźmi i wielkimi bizonami o spiłowanych rogach, które trzymano w kamiennych zagrodach. Śmierdziało też ekskrementami, najwyraźniej zarówno ludzkimi, jak i zwierzęcymi. Kobiety i dzieci, których status określało ubranie, wyszły przed chaty, aby powitać wracających wojowników.

Jedyny większy budynek w Kamieniu Pokoju stał pośrodku zabudowań. Długi na czterdzieści metrów i szeroki na dwadzieścia był czymś w rodzaju prymitywnego ratusza. Hansen ocenił, że dach miał może dziesięć metrów w najwyższym punkcie, ale jego strzecha zwieszała się nad ziemią do wysokości pasa dorosłego mężczyzny. Z otworów pod dachem budynku snuł się dym paleniska.

Niewolnicy zaczęli już rozjuczanie mamutów i zbieranie koni w zagrodach; przyszedł czas na karmienie i czyszczenie. Wielu spośród lansjerów zniknęło w niskich chatach w towarzystwie kobiet. Nic tak nie wzmaga chęci na rozmnażanie jak popołudnie spędzone na mordowaniu...

Hansen gestem wskazał ratusz. Stał przed nim tuzin służących i dwie kobiety, blondynka i brunetka. Obie kobiety były zbyt piękne i zbyt dobrze ubrane, aby być kimś innym niż szlachciankami. Czekały, żeby powitać Golsingha i Taddeusza.

– Czy to pałac Golsingha? – spytał trzech wojowników, którym pozwolił wziąć się pod opiekę. Tak naprawdę on sam, Shill i Maharg byli pod opieką Malcolma.

– To ratusz – powiedział Malcolm. – Tu będziesz spał, póki nie znajdziesz sobie kobiety, która miałaby własny dom. – Spojrzał ostro na Hansena. – Na Zwiastowaniu robicie to inaczej?

Hansen wzruszył ramionami.

– Nie bardzo – odparł niezobowiązująco.

Jego strój zniósł bieg i starcie w kombinezonie bojowym, ale nie wystarczał na zimowy wieczór. Tam, gdzie poobcierał sobie skórę, czuł, jak pali go zimne powietrze. Potrzebował dodatkowego okrycia, najlepiej futer, jakie nosili jeźdźcy i wojownicy; a także ciepła ogniska i gorącego jedzenia, i to szybko, zanim wyziębienie dokona tego, co nie udało się Ziebornowi.

Bogato odziana kobieta o blond włosach objęła Golsingha i pocałowała go. Jakby na dany znak kobiety stojące przed ratuszem rzuciły się w ramiona swych powracających mężczyzn. Malcolm

poklepał Shilla i Maharga po ramionach.

– Do zobaczenia, panowie – powiedział. Ruszył naprzód i poniosł rudowłosą kobietę, która wybiegła mu na spotkanie. Spod jej futrzanej opończy widać było rąbek haftowanej koszuli nocnej.

– Cholerny szczęściarz – burknął Shill, ale w jego głosie więcej było dumy z przyjaciela niż zazdrości.

– My też damy sobie radę – powiedział Maharg. – Zwłaszcza dzisiejszej nocy. Inaczej kilka łóżek będzie dziś zimnych.

Kobieta z niemowlęciem przy piersi i trzyletnim dzieckiem uczeptionym skraju spódnicy zaczęła nagle rozpaczliwie zawodzić. Maharg przyglądał się jej, ale jego twarz niczego nie wyrażała. Czarnowłosa szlachcianka ujęła dłoń Taddeusza i pochyliła głowę. Ten odpowiedział jej ukłonem.

Hansen zmarszczył brwi.

– To jego żona? – spytał. – Żona Taddeusza?

– To Krita – wyjaśnił Shill. – Jego córka. Trzymaj się od niej z dala.

– Nie będzie mógł trzymać się z dala podczas treningów – powiedział Maharg ponuro, jakby tknięty nagłym wspomnieniem. – Uważa się za prawdziwą wojowniczkę. Nie zdziwię się, jeśli zostanie zwiadowcą Northa.

– Northa? – upewnił się Hansen, nagle przypominając sobie o misji, która go tu przywiodła. – Mieszka tu człowiek nazwiskiem North?

– Nie, nie – zaprzeczył Shill głosem zrędlivego starca.

– Boga Northa. Mówiłeś, że skąd pochodzisz?

– Jeżeli nie rozgrzeję się przy ognisku, wkrótce nie będzie miało znaczenia, skąd pochodzę. Czy możemy schować się pod jakimś dachem? Jakimkolwiek?

Maharg wzruszył ramionami.

– Czemu nie? – powiedział i ruszył w stronę wejścia do ratusza.

Golsingh, Taddeusz i kobiety, które wyszły im na spotkanie, wchodzili właśnie do środka, rozmawiając ożywionymi głosami. Blondynka zatrzymała się na chwilę w wejściu i spojrzała przez ramię na Hansena.

– Unn, żona króla – objaśnił Shill ponuro. – Chociaż nie nosi zbroi jak Krita, jest tak samo twarda. I nie chce, aby ktokolwiek miał na Golsingha większy wpływ niż ona.

Hansen parsknął.

– Gdyby Golsingh chciał mnie słuchać – powiedział – mógłbym zrobić z niego prawdziwego króla. Ale nie sądzę, żeby dał mi szansę.

Wnętrze ratusza było mroczniejsze niż zapadający na zewnątrz zmierzch, ale było tu ciepło, a w tej chwili Hansen myślał tylko o tym.

W centrum długiego pomieszczenia znajdowało się palenisko. Pod obydwoma ścianami ciągnął się rząd drewnianych pomieszczeń, zamkniętych drzwiami. Pomiędzy paleniskiem i pokojami ustawiono stół w kształcie litery „U”; od strony ścian ustawiono ławy do siedzenia. Dwa rzeźbione krzesła stały przy końcu stołu. Całe wnętrze zdawało się urządzone po barbarzyńsku, jak przez ludzi nie znających techniki; temu przeczyły jednak niezwykle zaawansowane technologicznie zbroje.

I gdzieś tutaj przebywał bóg North, którego znalezienie było zadaniem łowcy Hansena.

Golsingh i Taddeusz zasiedli na krzesłach u szczytu stołu. Ku zaskoczeniu Hansena, Krita i Unn wzięły puchary od niewolników i podały je mężczyznom, ale nie usiadły z nimi.

Twarc żony Golsingha była chłodna jak leśny staw, skrywający wszelkie życie pod swą powierzchnią. Ciemnowłosa Krita, córka Taddeusza, miała wysokie kości policzkowe i oczy jak płomień lśniący na ostrzu topora. Miała na sobie tunikę bez rękawów ściągniętą złotym pasem. Na

nadgarstkach i łokciach żyłastych rąk widać było odciski. W tych samych miejscach pancierz otarł Hansenowi skórę niemal do krwi.

Komisarz był zbyt zajęty rozglądaniem się po nowym miejscu, aby zauważyć wahanie, z jakim towarzyszący mu wojownicy wybierali miejsca przy stole. Służący stali po wewnętrznej tronie podkowy ułożonej ze stołów; tam żar paleniska musiał się porządnie dawać we znaki. Zajmowali się nakładaniem na talerze gulaszu z mięsa i warzyw.

Shill zamamrotał coś i wybrał miejsce na ławie mniej więcej w połowie drogi między krzesłami a drzwiami. Hansen ruszył za nim. Był głodny i nie przypuszczał, że miejsca zajmowane są nieprzypadkowo. Maharg pozostając w tyle, powiedział:

– Nie ma Malcolma.

Ławy wypełniały się ludźmi. Shill spojrzął przez ramię, zawalał się, ale usiadł na wybranym miejscu. Maharg skrzywił się zajął miejsce po jego prawicy, od strony tronu. Hansen wcisnął się obok.

– Skąd mogę dostać porządne ubranie... – zaczął Hansen, kiedy służąca postawiła przed nim talerz duszonych warzyw i w połowie spalonego, a w połowie surowego mięsa. Nie dokończył.

Mężczyzna po prawej stronie Hansena odwrócił się i złapał go za ucho.

– Co ty tu robisz, bękarcie niewolnicy?! – wrzasnął.

Hansen zauważył kątem oka nóż do mięsa – zbyt daleko – i widelec – wystarczająco blisko. Służąca zastygła, zaskoczona. Wojownik, który go złapał, był duży, młody i bardzo rozgniewany. Komisarz nie orientował się w zasadach etykiety Kamienia Pokoju, ale wiedział, że zaraz zapyta o nie któregoś z mężczyzn za stołem. Kiedy tylko zabije ściskającego go za ucho wojownika.

Malcolm jednak uprzedził go.

– Ten człowiek pokonał dziś w pojedynku twojego brata, Letzing – powiedział, łapiąc wojownika od tyłu za uszy. – A to jest coś, co tobie nie udałoby się nigdy. Więc czemu siedzisz wyżej od niego?

Malcolm nie zwalniając chwytu, uniósł Letzinga do pozycji stojącej. Wszyscy na nich patrzyli, ale nikt nie próbował interweniować. Letzing potknął się, kiedy Malcolm zmusił go do cofnięcia się tyłem od stołu.

– Nie ośmieliłbyś się tego zrobić, gdyby mój brat tu był! – zawołał nagle.

Malcolm puścił go.

– Zieborna tu nie ma. Nie żyje – powiedział brutalnie. – Chcesz zmierzyć się jutro ze mną i dołączyć do niego? A może jeszcze dziś wieczorem?

Letzing był szerszy w ramionach niż Malcolm i prawie dorównywał mu wzrostem, ale nie potrzeba było doświadczenia Hansena, żeby stwierdzić, że gdyby przyjął wyzwanie, nie miałby szans. Letzing też o tym wiedział. Dlatego obszedł stół i usiadł po przeciwnej stronie. Blisko wyjścia. Malcolm zajął swoje miejsce i spojrzął na Hansena.

– Odważni jesteście, co, chłopcze? No cóż, skoro Maharg nie ma nic przeciwko temu, żebyś siedział wyżej od niego, mnie to tym bardziej nie przeszkadza.

Maharg wsadził do ust kawałek mięsa i odezwał się z pełnymi ustami:

– Och, to nic takiego. Po prostu postanowiłem, że pozwolę mu ten jeden raz usiąść obok ciebie, to wszystko.

Mięso było twarde, żyłaste i pokrojone na kawały, które trudno było zmieścić do ust. Hansen żując, patrzył na Maharga, aż potężny wojownik spojrzął mu w oczy.

– Kto wie. – Hansen przełknął mięso – Może już zawsze będę siedział wyżej.

Maharg zaczerwienił się i nabrał na łyżkę porcję rzepy z ziemniakami. Nie odpowiedział.

Malcolm zarechotał i wziął puchar, który podała mu rudowłosa kobieta, ta sama, która wcześniej wyszła do niego.

– Dzielny chłopak – podsumował krótko.

Jedzenie było nie tyle niesmaczne, co pozbawione smaku, a piwo, które stanowiło jedyny napitek, miało słodki, korzenny posmak. Hansen był jednak tak głodny, że odgryzłby nogę mamutowi, gdyby nie miał pod ręką nic innego, dlatego nie narzekał. Z zadowoleniem skupił się na posiłku.

Podczas kiedy wojownicy jedli, niewolnicy zaczęli roznosić pancerze do pomieszczeń pod ścianami. Malcolm trącił Hansena.

– Ta jest twoja – powiedział, wskazując na czterech niewolników, którzy właśnie weszli do ratusza, niosąc czarno-brązową zbroję.

– Brakuje ramienia – zauważył komisarz, starając się ukryć niepokój.

– Nie przejmuj się – uspokajał Malcolm. – To dobry pancerz. Zaniesiemy go jutro do kowala Vasque’a do naprawy.

– To cholernie dobry pancerz – wymamrotał Shill.

– Więc czemuś nigdy nie wyzwiał Zieborna i nie zdobył takiego samego, he? – warknął Maharg do starszego wojownika.

– Maharg – interweniował Malcolm spokojnie.

– Dobra, dobra – powiedział młodszy mężczyzna i wrócił do posiłku.

Córka Taddeusza wzięła srebrny dzbanek od jednego ze służących i zbliżyła się, idąc wzdłuż stołu. W miękkim obuwiu poruszała się po klepisku niemal bezgłośnie. Golsingh, Unn i Taddeusz – ten ostatni z nagłą furią na twarzy – patrzyli za nią. Zatrzymała się przed Hansenem. Ten podniósł wzrok, zaskoczony.

– Krita! – huknął Taddeusz.

Dziewczyna nachyliła się i napełniła puchar Hansena.

– Chcę poznać nowego bohatera – powiedziała dźwięcznym głosem, który rozszedł się w zapadłej nagle ciszy. – Wilka w owczej skórze Villiersa.

– Niektórzy – powiedziała głośno Unn równie dźwięcznym głosem – powiedzieliby, że zabicie człowieka wyładowaniem to tchórzostwo.

Hansen zamarł. Spojrzał w stronę żony króla, ale widział tylko jej jasne włosy. Wszystko inne przesłoniła mu zimna wściekłość.

– Zieborn na pewno tego nie powie, milady – odparł głośno.

Wojownik po przeciwnej stronie stołu parsknął.

– Dobrze powiedziane, chłopie! – zawołał. Ratusz zatrzęsł się od śmiechu i odgłosu pięści walących w stół.

Krita uniosła jedną brew i oddaliła się w stronę tronu. Taddeusz powstał. Zapadła cisza.

– Służyłem dziś memu królowi jak nikt przede mną – zaczął gromkim głosem. Hansen uświadomił sobie, że musiał przygotować sobie mowę wcześniej. – Stałem sam przeciw wrogom mego władcy – („Prawda, ale to nic, czym rozsądny człowiek mógłby się chwalić”) – i powalałem ich dziesiątkami. Cerausi, wódz wojowników hrabiego Lopeza, wielki bohater, śmiał stanąć naprzeciw mnie. Jego zbroja była srebrno-błękitna. Zamachnął się na mnie...

Hansenowi ciążyła głowa. Był wykończony. Ogień rozgrzał go, a większość krwi spłynęła do żołądka, aby zasilić trawienie ciężkiego posiłku i przerobić go na siły, których mógł potrzebować jutro. Rozejrzał się ukradkiem, aby zobaczyć, jak inni wojownicy reagowali na przemowę Taddeusza. Byli tak samo zmęczeni jak Hansen, a większość z nich nie żałowała sobie piwa. Kilku spało już z głowami na stole. Służący wyławiali talerze i resztki jedzenia spod ich twarzy. Usłyszał

dochodzące z zewnątrz szczekanie psów. Na szczęście, wbrew jego obawom, nie wpuszczono ich do ratusza podczas posiłku. Uspokojony, że najgorsze jego zachowanie zostanie tutaj uznane za poprawne, odsunął talerz i skoncentrował się na utrzymaniu otwartych oczu.

Kiedy Taddeusz skończył przemowę, wojownik u szczytu stołu, siedzący po lewej stronie króla, wstał i zaczął własne przechwałki. Nikt go nie słuchał. Nie słuchano też najwyraźniej żadnego z następnych, nudnych wystąpień. Kiedy wojownik kończył mowę, następny po przeciwnej stronie wstawał, nawet jeśli przed chwilą smacznie chrapał. Zauważalne było, że im dalej w stronę drzwi, tym krótsze i mniej ubarwione stawały się opowieści.

Mężczyzna siedzący naprzeciw Hansena przerwał w pół zdania, w którym najwyraźniej całkiem się zaplątał. Nie tyle usiadł, co opadł na ławę, kiedy ugięły się pod nim nogi. Służący podał mu napełniony na nowo puchar.

Maharg trącił łokciem Hansena.

– No, na co czekasz? – spytał.

– Ale... – zaczął Hansen. Wstał, potrząsając głową, aby zebrać myśli. Nie brał udziału w bitwie, a nie zamierzał chwalić się zwycięstwem nad Ziebornem. Nie pierwszy raz zabił człowieka, a śmiercią poprzednich też nie zamierzał się chwalić. Robił to, co należało do jego obowiązków w siłach specjalnych. – Nie opowiem o tym, czego dokonałem – powiedział, wznosząc głos ponad odgłosy chrapania i czyszczenia talerzy. – Nie ma tego wiele, w każdym razie nie tu, w waszym kraju. I nie zamierzam mówić o tym, czego jeszcze dokonam w następnej bitwie albo w stu następnych bitwach. Ale... – Odwrócił się w stronę królewskiego stołu. Taddeusz chyba spał... nie, udawał tylko. Zamknął oczy, gdy Hansen spojrzał na niego. Golsingh natomiast patrzył w jego stronę, podobnie Krita i Unn... – Ale, lordzie Golsingh, jeśli faktycznie zamierzasz zaprowadzić pokój w całym swym królestwie, trwały pokój, a nie przerywany raz po raz potyczkami i bitwami, które należy stoczyć i zapomnieć... – Król skinął głową. Twarze kobiet nie zmieniły wyrazu. – ...to mogę pokazać ci, jak tego dokonać.

– To nie jest rzecz wojownika! – krzyknął Taddeusz, podnosząc głowę ze stołu. Golsingh spojrzał na niego, marszcząc czoło.

– Będę wojownikiem, kiedy przyjdzie mi walczyć – odparł Hansen. – Ale tobie, lordzie Golsingh, pokażę, jak być królem... Jeśli naprawdę tego chcesz!

Usiadł gwałtownie, bojąc się, że mógłby powiedzieć za dużo. Słodkawy smak piwa ukrywał jego prawdziwą moc.

Następny wojownik wstał i zaczął bełkotać.

Hansen zasnął, kiedy przemawiał ostatni z nich.

Zbudził go odgłos upadającego kubka. Ogień na palenisku wygasł, pozostawiając tylko żarzące się węgle, ale światła starczało, aby móc rozróżnić sylwetki za stołem. Ratusz był w połowie pusty, lecz wielu wojowników nadal piło i mamrotało coś między sobą.

– Malcolm, gdzie jest moje łóżko? – spytał Hansen, mając nadzieję, że właściwie zidentyfikował człowieka siedzącego po jego prawej stronie.

Pomiędzy paleniskiem a Hansenem wyrosła sylwetka służącej.

– Jeszcze piwa, bohaterze?

Nie służąca. Krita.

– Nie – odpowiedział. – I będziesz mogła nazywać mnie bohaterem, kiedy sama w to uwierzysz. Ale jeszcze nie teraz.

Czarnowłosa kobieta roześmiała się.

– Taki jesteś dobry, Hansen?

– Wystarczająco dobry – odparł. – Wystarczająco, żeby... – przerwał. – Coś ci powiem – zdecydował się nagle. – Jestem najlepszy. Po prostu.

Odwrócił się plecami do jej chichotu. Zdawało mu się, że pamięta, dokąd odniesiono jego nową zbroję. Malcolm położył mu rękę na ramieniu.

– Tutaj – powiedział, wskazując jedne z drzwi.

– Dzięki.

– Dzielny chłopak – powiedział Malcolm. – Wiesz co, chłopie... – Hansen zatrzymał się w drzwiach i odwrócił. – Nie jestem pewien, czy chcę cię lepiej poznać – dokończył.

Usiadł z powrotem i zaśmiał się cicho, ale Hansenowi zdawało się, że jego komentarz był czymś więcej niż tylko żartem.

Do wnętrza sypialni przez szpary w ścianach wpadało wystarczająco dużo światła słonecznego, aby Hansen mógł wyraźnie zobaczyć parę swego oddechu w zimnym powietrzu. Wyprostował ramiona. Ciężkie futra, pod którymi spał, krępowwały mu ruchy. Wstał z łóżka z cichym westchnieniem, mówiąc sobie, że sytuacja sama się nie zmieni, a jeśli nie będzie umiał stawić czoła porankowi, spędzi resztę życia, leżąc.

Te części ciała Hansena, które jeszcze go nie bolały, zaczęły rwać natychmiast, kiedy nimi poruszył. Dwadzieścia dziewięć lat to za dużo na tę robotę. Trzeba było zostawić ją dziewiętnastoletnim rekrutom o lśniących zapałem oczach, którzy szybko regenerowali siły, nie wiedzieli, jak bolą rany... Którzy nie widzieli jeszcze tylu trupów, aby zdać sobie sprawę, że wkrótce do nich dołączą.

Z drugiej strony, Taddeusz był wczoraj w samym sercu bitwy, a miał prawie tyle lat, że mógłby być ojcem Hansena. Co prawdopodobnie dowodziło, że starszy nie znaczy mądrzejszy, i że Hansen w wieku Taddeusza też może wcale nie być gotowy, aby dać sobie spokój.

Coś pogryzło go w nocy. Hansen mówił sobie, że będzie musiał się do tego przyzwyczaić. Funkcję ubikacji pełniły tutaj doły w ziemi z drewnianą poręczą i prowizoryczną zasłoną od wiatru, a wczorajszej mroźnej nocy przekonał się, że nie pełni ona swej funkcji najlepiej. Do tego też będzie musiał się przyzwyczaić, ale obiecał sobie, że przed wieczorem znajdzie albo sam zrobi pierwszy w tym świecie nocnik. Pancierz bojowy stojący w nogach łóżka Hansena wpatrywał się w niego martwo.

Komisarz otworzył drzwi kwatery, żeby wpuścić do środka więcej słońca. Na drzwiach była sztaba osadzona w ciężkich zawiasach, zadziwiająco solidna w porównaniu z konstrukcją reszty pomieszczenia. Niewolnicy słomianymi miotłami zamiatali pozostałości po nocnej uczcie do wnętrza paleniska. Ucichli, zobaczywszy, że jeden z wojowników już wstał, ale wznowili rozmowę, poznawszy, kto to.

To tylko Hansen. Cóż, bywał już wcześniej w swym życiu żółtodziobem, najpierw w patrolu miejskim i potem, kiedy przeniósł się do sił specjalnych. Jeśli uda mu się przeżyć kilka następnych miesięcy, zasłuży na tyle szacunku, ile zechce.

Obejrzał swój nowy pancierz. Był wyraźnie solidniejszy niż ten, z którego wyciągnął wczoraj zwłoki Villiersa. Różnica leżała nie w wadze samego metalu – łączenie wagi z solidnością było błędem, którego od dawna nie popełniał – ale w tym, jak pasowały do siebie poszczególne elementy. Zbroja była wyłożona grubym zamszem. Będzie obcierał, ale Hansen nie sądził, aby znalazł tu lepszy materiał na wyściółkę. Z zaskoczeniem skonstatował, że zbroja nie jest z lewej strony pokryta zaschłą krwią, łuk energetyczny, który odrąbał ramię poprzedniego właściciela, przypalił natychmiast naczynia krwionośne. Osłona ramienia leżała na polepie obok reszty zbroi. Obrócił ramię w rękach, patrząc na linię stopionego metalu i wewnętrzne obwody, poczerńiałe i zniszczone wysokoenergetyczną wiązką. Naprawa tej zbroi to zadanie, do którego nie wystarczą umiejętności kowala w prowincjonalnej, feudalnej wsi. Wymagało ono doświadczenia i wiedzy kompetentnych techników...

I patrząc, jak naprawiają oni zbroję, Hansen miał szansę odnaleźć Northa i odpowiedzi na pytania, których zażądał od niego Konsensus.

Drzwi sypialni obok otworzyły się.

– Wyglądasz na zadowolonego – stwierdził Malcolm, choć sposób, w jaki to powiedział, wskazywał, że dostrzegł w uśmiechu Hansena nie tylko dobry humor.

– Co tu robisz? – spytał zaskoczony komisarz. – Byłem pewien, że będziesz...

– Z Nancy? – dokończył Malcolm z uśmiechem. Twarz miał równie doskonałą jak głos, a w rozrzedzonym świetle śniada skóra zdawała się niemal złota. – Miałem wczoraj służbę. Tutaj, w Kamieniu Pokoju, sypiamy często w ratuszu. Taddeusz tego wymaga, a jest bardzo surowy.

Hansen pokiwał głową.

– Zgadzasz się z tobą – powiedział.

Malcolm uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Przyjmowanie kobiet w sypialniach ratusza nie jest w najlepszym tonie, ale się zdarza, zwłaszcza w noc po bitwie...

– Czy ty... – Hansen zająknął się. – Nie jestem pewien... Czy macie tu jakieś formalne rangi? To znaczy, jaka jest na przykład twoja?

– Chodzi ci o to, jak wysoko siedzę przy stole? – spytał Malcolm. Na jego twarzy widać było zdumienie. – Przecież widziałeś wczoraj... – Znowu się uśmiechnął. – Ach, wypileś więcej, niż myślałem. Dotąd siedziałem po lewej stronie na końcu, ale po wczorajszej bitwie, zanim jeszcze dołączyłeś do mojej drużyny, postanowiłem przenieść się bardziej na środek.

„To dlatego Malcolm był tak przyjaźnie nastawiony. Sam był ambitnym przybyszem, próbował zbudować swoją pozycję, przyjmując pod swe skrzydła jak najwięcej wojowników” – pomyślał Hansen.

– Nie każdy powiedziałby, że jestem właściwym stronnikiem – powiedział głośno.

– Nie każdy – zgodził się Malcolm, kiwając głową. – A ty jak sądzisz, mój dzielny chłopcze?

Hansen spojrzał weteranowi prosto w oczy.

– Sądzę, że za rok mógłbyś siedzieć na miejscu Taddeusza. Gdybyś tylko chciał.

Malcolm rozejrzał się gwałtownie, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma nikogo ze służby, Hansen jednak upewnił się co do tego, zanim jeszcze otworzył usta.

– Chyba właśnie przekonałeś mnie, że inni mogą mieć rację – powiedział Malcolm. Wskazał uszkodzoną zbroję. – Chodźmy naprawić twój pancerz – starał się zmienić niebezpieczny temat. – I nie rozmawiamy więcej o rzeczach, które nas nie dotyczą.

– W porządku – powiedział komisarz. Chwycił zbroję. – Dokąd ją...

Malcolm odtrącił jego rękę.

– Skąd ty się wziąłeś? – spytał zaskoczony. Odwrócił się do ekipy sprzątaczy. – Hej, wy tam! Chodźcie tu i zanieście zbroję lorda Hansena do kowala. – Wojownik odzyskał humor. Gdy Hansen zdradził mu swój pogląd na sytuację, Malcolm wystraszył się, ale sugestia, że wojownik mógłby sam targać swoją zbroję, była dla niego obraźliwa. Weteran uśmiechnął się znowu.

– W kufrze Alyn, za wezglowiem łóżka, powinny być futra – powiedział. – Rozwał zamek, jeśli jest tam jakiś. Alyn nie będzie miał ci tego za złe, nie tam, gdzie teraz jest. Bez względu na to, czy zabrał go North, czy pochłonęło piekło.

Hansen znalazł futra; śmierdziały nieco, ale były ciepłe. Świejące jasno słońce wprawiło go w lepszy nastrój. Zastanawiał się, jaka jest pora roku, ale rozsądek podpowiadał mu, że nie byłoby mądrze o to pytać.

Warsztat kowala okazał się długą szopą tuż pod palisadą. Wokół ścian kuźni stały wiklinowe kosze pełne kawałków skały – prawdopodobnie nie przetopionej rudy. Przed budynkiem nie było paleniska, które Hansen spodziewał się ujrzeć, a otwarty ogień wewnątrz kuźni był tylko na tyle duży, aby zapewniać ciepło.

Czterech sapiących z wysiłku niewolników postawiło zbroję za drzwiami kuźni. Piąty chciał odłożyć oddzielone ramię, ale Malcolm powstrzymał go, pstrykając palcami.

– Jeszcze nie – rzucił. – Vasque, mamy dla ciebie zadanie.

Wewnątrz kuźni znajdowało się trzech mężczyzn: łysy w podeszłym wieku o mądrej twarzy i dwóch nastolatków. Jeden z młodzieńców stał obok ognia z niepewnym wyrazem twarzy, drugi zaś spał na pryczy obok stołu pokrytego piaskiem i żuzłem, chrapiąc głośno.

Stary spojrzał na Malcolma.

– Wasze zadanie będzie musiało poczekać.

– Mylisz się, Vasque – odparł Malcolm. – Król żąda, aby obecny tu lord Hansen otrzymał odpowiedni ekwipunek. Chodzi o królewski honor.

Vasque zamruczał coś do siebie. Podeszedł do zbroi i przebiegł palcami po napierśniku i stopionym metalu wzdłuż cięcia. Śpiący chłopak zamamrotał coś przez sen.

Hansen nie potrafił ocenić statusu kowala i jego pomocników. Vasque miał na sobie pięknie haftowaną tunikę, na niej zaś splekany skórzany fartuch. Nawet jego pomocnicy ubrani byli lepiej niż większość wojowników.

– Nie jest to najlepsza zbroja – powiedział kowal. – Robota Dilmuna, jak sędzę, a on nigdy nie był mistrzem w swym fachu.

– Dilmun jest wystarczająco dobry, aby jego zbroję nosił lord Thrasey – odparował Malcolm. – A jeśli chodzi o tę zbroję, zanim przestała działać, wytrzymała uderzenie trzech ostrzy energetycznych.

– Dilmunowi zatem też zdarzają się dobre wyroby – niechętnie przyznał Vasque. Wziął od niewolnika odcięte ramię zbroi i poruszył stawem łokciowym, przyglądając się rozcięciu. – Cóż, zobaczymy. – Śpiący chłopak mruknął coś głośno i poruszył ramieniem. Po chwili otworzył oczy. Drugi pomocnik pomógł mu usiąść na pryczy. Vasque oddał ramię niewolnikowi. – Idź już, chłopcze, idź – powiedział do pomocnika, odganiając go ruchem dłoni. – Królewska robota czeka. – Odwrócił się do niewolników. – Połóżcie pancierz obok pryczy. Teraz ja się nim zajmę. – Kiedy niewolnicy złożyli uszkodzony pancierz na klepisku kuźni, dwaj pomocnicy położyli obok odcięte ramię w taki sposób, że oddzielone elementy dotykały się. Sam Vasque wyszedł na zewnątrz. Wrócił po chwili, niosąc na fartuchu odłamki rudy. – Być może będzie potrzeba więcej – wymamrotał stary. – Ale nie sędzę, nie sędzę... – Ułożył odłamki wokół odciętego ramienia z pietyzmem kwiaciarza układającego weselny bukiet. Kiedy się tym zajmował, jego dwaj pomocnicy przetrząsnęli stos rupieci na stole. Przebudzony niedawno chłopak znalazł ramię kombinezonu bojowego. Zgromadzone na jego powierzchni kawałki rudy były wielkości małych kamyków, ale pokrywał je drobny pył, od którego Hansen dostał ataku kichania. Vasque położył się na pryczy zwolnionej przez pomocnika. Drugi młodzieniec zdjął z szyi lśniący, złoty naszyjnik zawieszony na rzemyku. – Odsuń się, chłopcze – mruknął kowal. Jego oczy, skupione na drobinach kurzu tańczących w promieniach słońca, zasły mgłą i zamknęły się.

Pomocnicy patrzyli na to z krytycznym zainteresowaniem, a niewolnicy z niedowierzaniem tak wielkim, jakiego Hansen starał się nie okazywać. Wypytywanie, co, do diabła, się dzieje, było jednak tak samo kiepskim pomysłem jak próba dowiedzenia się, jaka jest pora roku. Poza tym, Diament ściśle odpowiadał ideałowi rajy Hansena – łącznie z faktem, że nie było tam dla niego miejsca. Znaczyło to, że „diabeł” i „piekło” nie były tu słowami, które powinno się wymawiać nadaremnie. Vasque zadrzał przez sen. Hansen wskazał na niego ręką.

– Dobry jest? – spytał po cichu.

– Nie obudzisz go – odparł Malcolm normalnym głosem, jak gdyby to był jedyny powód pod

słońcem, dla którego ktokolwiek mógłby chcieć rozmawiać na ten temat po cichu. – Tak, jest bardzo dobry. – Weteran uśmiechnął się złośliwie. – Powiedziałbym, że prawie tak dobry jak Dilmun. Będiesz mógł być dumny ze zbroi. – Malcolm wziął od jednego z pomocników ramię zbroi i spojrzął na nie krytycznym okiem. – Do czego to służy? – spytał nagle.

– To na zapas, milordzie – odparł młodzieniec, który leżał wcześniej na pryczy.

– Ćwiczymy w ten sposób – dodał jego kolega.

Przyjrząwszy się uważniej, Hansen dostrzegł, że ramię zbroi nie jest skończone. Było krótsze niż przedramię dorosłego mężczyzny, i choć na nadgarstku znajdowało się zgrubienie w miejscu, w którym naramiennik łączył się z rękawicą, w pobliżu i łokcia nie było podobnego wzmocnienia. Rdzeń obwodów w ceramicznej osłonie był biały; kontrastował na tle ciężkiej, metalowej powłoki i warstwy wyściółki.

Malcolm oddał nieukończony element pomocnikowi.

– Ćwiczcie dalej – powiedział chłodno.

Drobiny rudy wokół pancerza Hansena poruszyły się. Kawałki na górze stosu zaczęły się ślizgać, wzbili się kurz. Komisarz patrzył, jak kawał metalu, który uznał za magnetyt, kruszy się i rozpada jak pod ciosem młota parowego. Kawałki magnetytu zaczęły mieszać się z rudą żelaza.

Jeden z pomocników pokiwał głową z aprobatą.

– Spójrz, jest teraz chyba cztery centymetry od stawu – powiedział do kolegi. – Świetny zasięg.

Malcolm pociągnął nosem.

– Ważne jest nie tyle to, jak głęboko w Matrycę kował sięga po materiały, ile to, jak dobrze potrafi je z sobą połączyć. To właśnie jego rzemiosło utrzymuje nas przy życiu na polu bitwy, lordzie Hansen.

– Jego rzemiosło i nasze umiejętności – zauważył chłodno komisarz.

Nie widział Walkera od czasu wczorajszego pojedynku. To była jedyna istota, którą mógł wypytać, nie wywołując nadmiernego zaciekawienia. Oczywiście Walker mógł być maszyną przybyłą z końca czasu, jak sam twierdził, lub też po prostu serią wcieleń gadających ptaków i gryzoni, jak zdawało się Hansenowi. Obie możliwości niebezpiecznie kojarzyły się z psychozą, jak zresztą wszystko inne dookoła. Może komisarz Nils Hansen został postrzelony w głowę podczas pełnienia obowiązków służbowych, to znaczy oblężenia kryjówki gangu Solbartha?

Połowa żuźlu zgromadzonego na ramieniu zbroi zamieniła się w pył i wygładziła, formując warstwę stali.

Vasque otrząsnął się jak pływak po wyjściu z zimnej wody. Jego pomocnicy zbliżyli się, jeden z nich trzymał w ręku bukłak. Mistrz odgonił ich ruchem ręki.

– Proszę! – sapnął. – Proszę, lordzie Malcolmie! Teraz możemy podyskutować o wyrobach Dilmuna! Choć muszę przyznać – dodał po chwili, wstając i biorąc od chłopaka bukłak – i że obejrzałem w Matrycy cały pancerz i nie jest to taka najgorsza fuszerka...

– Jak go przetestować? – spytał Hansen.

Malcolm uśmiechnął się.

– Założę moją zbroję – odpowiedział. – Wyjdziemy na plac treningowy... i sprawdzę, jak dobry naprawdę jesteś, chłopcze.

Uśmiech Malcolm'a nie należał do sympatycznych. Hansena zresztą też nie..

Plac treningowy znajdował się poza palisadą, na płaskiej, trawiastej równinie, którą udeptano na kleiste błoto. Nie była to najwygodniejsza powierzchnia, ale w takich właśnie warunkach brudu i błota od niepamiętnych czasów toczono tu bitwy. Wokół placu co trzy metry stały słupy ze świerkowych pni; wiele z nich było do połowy spalonych.

Hansen już był zadowolony z nowej zbroi. Wyświetlacze były wyraźniejsze i powiększały obraz z lepszą ostrością, a kończyny zbroi reagowały na ruch ze znacznie mniejszym opóźnieniem. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że przybywając na plac i ucząc się obsługiwać nowy pancerz, wcale nie zbliżył się do wygrania pojedynku.

Na placu nie było innych wojowników, ale ich przybycie ściągnęło tłumek gapiów, niewolników i szlachty. Jedna z niewolnic złożyła mu jakąś ofertę. Hansen nie dosłyszał, jaką, ale śmiech, jakim reszta widzów skwitowała jej wypowiedź, pozwolił mu domyślać się, o co chodziło.

– Dobrze – zaczął Malcolm. – Sprawdźmy, czy pancerze są w trybie treningowym. – Słowa docierały do Hansena przez mikrofon Malcolma i słuchawki w hełmie, z cichym buczeniem zakłóceń.

Na prawej rękawicy weterana zaśniła energetyczna wiązka. Odwrócił się i ciął najbliższe drzewko. Uderzenie strzaskało korę i osmałiło drewno pod nią, ale nie zmieniło drzewa w pochodnię jak podczas bitwy.

– Jaka jest właściwa komenda w waszych kombinezonach? – spytał Hansen, nie chcąc zgadywać.

– Co? – głos Malcolma brzmiał jak brzęczenie trzmiela.

– „Trening”, oczywiście. Myślałem, że tak jest we wszystkich pancerzach.

– Trening – powiedział Hansen. – Tnij.

Promień uderzył w słup, przecinając prostopadle ślad pozostawiony przez broń Malcolma. Komisarz uśmiechnął się. Wtedy Malcolm ciął, prosto na jego głowę. Hansen nie spodziewał się ataku. „Moja wina” – pomyślał, jednocześnie rzucając się w tył i próbując unieść wiązkę, aby zablokować cios. Nie udało mu się, a cios Malcolma prześlizgnął się pod jego nieumiejętnie złożoną paradą i chlasnął go po nakarczku zbroi. Ta wysiadła; wyświetlacze wyłączyły się, pozostawiając go w ciemnościach rozjaśnianych jedynie przez powidoki na siatkówkach oczu. Ciągle żył i czuł, jak szybko bije mu serce, jak w klaustrofobicznym lęku.

– No dalej – usłyszał poprzez zakłócenia Malcolma. – Zresetuj pancerz.

No tak.

– Resetuj – powiedział Hansen, mając nadzieję, że to właściwa komenda. Pomału zaczynał też doceniać elastyczność sztucznej inteligencji pancerza. Światło powróciło, kiedy wyświetlacz wypełnił blask świtu. Malcolm czekał o krok od niego z założonymi ramionami. Hansen poruszył prawą rękawicą. – Tnij! – krzyknął i skoczył na przeciwnika.

Malcolm zmienił pozycję i chlasnął w dół, ale nie spodziewał się ataku z lewej strony. Pchnięcie komisarza trafiło w zawias biodrowy zbroi przeciwnika. Posypały się iskry. Wiazka Hansena nagle zgasła, ale zbroja Malcolma zamarła, a jego pozbawiona wiązki prawa rękawica zastygła w pół ruchu.

Hansen przyjął pozycję bojową. Wyprostował się i cofnął o krok, czekając, aż Malcolm na powrót włączy swój pancerz.

– Tnij – powiedział, szykując wiązkę do zadania następnego ciosu.

To była ciężka praca, wyczerpujące ćwiczenie. Zbroja ważyła ponad sto kilo. Choć masa ta nie

była martwa, dopóki zasilanie zbroi było włączone, inercja nadawała jednak pancerzowi elastyczność ceglanej ściany do czasu, zanim serwomotory przejęły od mięśni komendę ruchu.

Długi promień energii zakwitł na rękawicy Malcolma. W trybie treningowym wyładowania miały zaledwie część prawdziwej mocy bojowej, a wewnętrzne zabezpieczenia wyłączały wiązkę, kiedy tylko dotknęła pancerza przeciwnika. Taki trening był bezpieczny jak szermierka na florety z gałkami na końcach kling, choć bez wątplenia wypadki się zdarzały. To był dobry moment, aby zbadać możliwości samej zbroi.

– Wyświetl poziomy energii – zażądał Hansen, zastanawiając się, jak SI zinterpretuje jego komendę. Z zadowoleniem ujrzał na wyświetlaczu zbroję Malcolma pokrytą nie kolorowym malunkiem, ale siatką kolorów, pokazującą w pełnym spektrum rozkład energii w poszczególnych elementach pancerza przeciwnika. Wiązka pulsująca na prawej rękawicy wroga miała zakres barw od indygo do fioletu. Sama rękawica była jasnoblękitna, a reszta zbroi głównie w odcieniach pomarańcza i żółci. Czubek hełmu był niemal zupełnie pomarańczowy, a druga pomarańczowa plama lśniła na napierśniku.

Wyglądała zupełnie jak...

– Wyłącz wiązkę – zakomenderował i pomarańczowa plama na napierśniku Malcolma znikła, kiedy tylko zgasła wiązka Hansena.

Wielki Boże! SI zbroi Malcolma śledziła wiązkę Hansena i zwiększała ładunek wyładowania obronnego najbardziej zagrożonego obszaru.

Stawy kolanowe weterana zabarwiły się na pomarańczowo, kiedy serwomotory zaczęły przyjmować energię ze źródła. Malcolm skoczył, ale Hansen uprzedzony ruszył naprzód, przewidując atak. Lewa ręka prześlizgnęła się nad prawym nadgarstkiem i przedramieniem Malcolma, a prawa wystrzeliła w stronę gardła weterana. Zapomniał o wiązce.

– Tnij! – krzyknął, a strumień nieszkodliwych iskier zgasł niemal natychmiast po zapaleniu.

Malcolm przewrócił się, kiedy przerywacze obwodów jego zbroi wyłączyły zasilanie. Pancerz nabrał mętnie czerwonej barwy tła.

Hansen cofnął się o krok i przełączył wyświetlacz na standardowy tryb widzenia. Oddychał ciężko, głęboko. System wentylacyjny zbroi wycęzał wszystkie siły, aby usunąć parę z wyświetlaczy pomiędzy wdechami.

Powierzchnia zbroi Malcolma drgnęła, weteran włączył ją. Nie było żadnej widocznej różnicy pomiędzy włączoną i wyłączoną zbroją, ale wyłączony pancerz przywodził na myśl zwłoki. Malcolm uniósł się na czworaki i pozostał w tej pozycji.

– Jak to zrobiłeś? – zapytał.

– Wyświetlacz – wyjaśnił Hansen. Metalowa powłoka zbroi wibrowała, kiedy mówił. – Słuchaj, przerwijmy na chwilę i pokażę ci...

Malcolm wskazał coś głową okrytą hełmem. Widzowie odwracali się właśnie. Hansen poszedł za ich przykładem i zobaczył postać w lśniącej, czarnej zbroi, nadchodzącą ścieżką od strony osady.

– Pokaż, co potrafisz, przybyszu – zawołała, a raczej rozkazała postać.

Niewysoki... niższy od Hansena, a on sam był niższy od Malcolma... Nie brał udziału we wczorajszej bitwie... zbroja najwyższej jakości.

– Jak sobie życzysz, milordzie – odparł Hansen z rozmysłem, kiedy postać w czarnej zbroi przekroczyła linię słupów ograniczających plac ćwiczeń.

– Żadne „milordzie”, głupcze! – warknął mechaniczny głos.. Z prawej rękawicy zbroi strzelił promień.

– Wyświetl poziomy energii – wymamrotał Hansen. Postać przed nim lśniła zimnym błękitem. To

oznacza... – Tak, milady. Krito – powiedział głośno.

Zamiast podejść do Hansena, Krita poruszyła ręką i wystrzeliła swój promień na dzielącą ich odległość czterech metrów. Nie miał nawet czasu, aby przemyśleć strategię obrony, kiedy wyświetlacze jego zbroi zgasły.

– Reset – mruknął Hansen. – Tnij.

Rozsunął palce, poszerzając wiązkę na kształt wachlarza. Krita czekała, wydłużając i kurcząc wiązkę w pionie. Sięgała już dziesięciu metrów. Zbroja rzeczywiście najwyższej jakości... Zrobił krok naprzód. Broń Kritis spadła na niego z góry. Sparował cios i zmniejszył swój sierp energii do rozmiarów małej kuli, robiąc następny krok... Promień lewej rękawicy Kritis chlasnął go po kolanach. Upadek w wyłączonym pancerzu wspomaganym przypominał toczenie się po zboczu góry w koszu na śmieci. Śmiertelnie niebezpieczny nie był...

– Reset. Tnij.

Ustawienia zbroi Hansena przewidywały normalny tryb widzenia jako standard. Nie próbował nawet przełączyć go na podgląd poziomów energii, bo pancerz Kritis funkcjonował tak doskonale równo, że nie było widać żadnych zmian na jego powierzchni, nawet kiedy atakowała. Chociaż...

Hansen podniósł się i skoczył naprzód, jakby próbował objąć kolana przeciwniczki. Zakładał, że skacząc hełmem w przód, uda mu się przełamać jej obronę i wejść w zasięg własnej wiązki.

Pogardliwe pociągnięcie elektrycznego bicia Kritis posłało go na ziemię. Czubek głowy i kark mrowiły, odczuwając nawet zmniejszony poziom energii wiązki. Upadł na twarz. Ukucnął. Wyświetlacz hełmu był zamazany. Przetarł płytę twarzową stalową rękawicą. Grudki błota popłynęły z niej strugą. Odzyskał normalny poziom widoczności. Systemy obronne pancerza pracowały dobrze, ale potrzebowały nieco czasu.

Krita śmiała się. Stała trzy metry od Hansena z rękoma na biodrach.

A on rozciął sobie podbródek i miał wrażenie, że krwawi z nosa.

– Tnij – powiedział, napinając mięśnie prawej ręki. Ciało wydłużoną wiązką w kierunku kostek przeciwniczki. Błoto wyparowało z cichym sykiem. Krita zaśmiała się znowu, nawet się nie cofnęła. – Wyłącz – rozkazał i uniósł prawą rękawicę w stronę gardła przeciwniczki, atakując. Na tę odległość wystrzelone wyładowanie energetyczne mogło, ale nie musiało być wystarczająco skuteczne, aby zakończyć pojedynek. W końcu jedno z takich wyładowań w podobnej sytuacji wyłączyło zbroję Taddeusza.

Krita prawdopodobnie widziała, w jaki sposób Hansen zabił Zieborna, może nawet miała okazję dotknąć otworu, który nieznanemu wypalił w zbroi, z której uleciało życie wojownika... Groźba strzału zmusiła ją do odruchowej obrony: sztywne kończyny, broń energetyczna wyłączona, SI zbroi skoncentrowane na skupieniu ładunku defensywnego w miejscu, w które trafi przeciwnik.

Ale Hansen nie strzelił. Uderzył w przeciwniczkę z hukiem zderzających się kowadeł, chwytając ją za oba nadgarstki. Nawet na taką odległość czarna zbroja była prawdopodobnie odporna na wiązki Hansena. Ale jego masa i szybkość skoku rzuciły ją o pół kroku w tył, a wtedy Hansen obrócił się i przerzucił ją przez kolano, dawno wyuczonym chwytem. Prześlizgnęła się po błocie, wymachując ramionami, a on cofnął się, trzymając ręce luźno opuszczone wzdłuż boków. Nie mógł powstrzymać córki Taddeusza przed odwetem. Ale stojąc nieruchomo, mógł przynajmniej upewnić się, że nie uda jej się ponownie go przewrócić, atakując mu przerywacze obwodów zbroi.

Krita wstała. Po zbroi spływało błoto, jakby weszła pod wąż strażacki. Czarna furia... Odwróciła się i ruszyła w stronę palisady. Jeden ze świerkowych słupów stał jej na drodze. Zamiast go ominąć, roztrzaskała pień w drzazgi jednym wyładowaniem wiązki energetycznej. Błoto wokół zmieniło się w paloną glinę.

Malcolm otworzył zbroję i uwolnił z niej tors.

– No, no, no... – mruknął, patrząc za odchodzącą Krita. – Hansen także otworzył pancerz. Zimne powietrze natychmiast zamieniło mu pot w zimną kąpiel. Oddech rwał mu się w ustach miał nadzieję, że nie złamał nosa. – No, no... – powtórzył Malcolm i spojrzał na komisarza. – Wiesz, myślę, że jesteście siebie warci – rzekł z namysłem.

– Dlaczego nie brała udziału w bitwie? – spytał Hansen.

– No wiesz, wczoraj?

Malcolm spojrzał na niego dziwnie.

– Kobiety nie walczą na wojnach. Nie tutaj – odparł. Twarz mu stwardniała. – I nigdzie, gdzie chciałbym zamieszkać.

Hansen wysunął ramiona z kombinezonu i rozmasował je. Kobieta w czarnej zbroi zniknęła po drugiej stronie palisady.

– Szkoda – powiedział, samemu nie będąc pewnym, co miał na myśli. Czynniki kulturowe nie miały wielkiego znaczenia tu, w Świecie Northa; ani też w żadnym innym miejscu, w którym kiedykolwiek przebywał.

– North ma swoich zwiadowców – powiedział Malcolm.

– I gdyby Krita miała do tego dar, byłaby jedną z nich, możesz mi wierzyć.

– Zwiadowców? – spytał Hansen. Umysł znowu pracował mu prawidłowo. Podczas walki z Krita miał wrażenie, że liczy się tylko następna sekunda. – Chodzi o te... Te czarne zasłony, otwierające się nad polem bitwy? Wczoraj?

– Czarne skrzydła, tak – przytaknął Malcolm, znowu ostrożnie. – Niektórzy tak mówią. Sam nic o tym nie wiem. – Jego usta wykrzywił fałszywy uśmiech. – I nieszczęśliwie lubię gadać o rzeczach, o których nie wiem.

„Czyli istnieje sposób dotarcia do Northa... Może...”. Hansen wsunął znowu ramiona w otwory zbroi i przygotował się do jej ponownego zamknięcia.

– Dobra – powiedział. – Zabierajmy się do ćwiczeń. Muszę się jeszcze wiele nauczyć o tej zbroi, zanim użyję jej w prawdziwej bitwie.

Malcolm zaśmiał się.

– To znaczy, że nie będziesz miał na to wiele czasu, prawda?

Hansen zaczął zamykać napierśnik.

– Co? – spytał, mocując się z martwą masą zbroi. Powoli poddała się, zasłaniając mu coraz bardziej widok postaci Malcolma.

– Nie wiedziałeś? – zawołał głos weterana. – Lord Thrasey zbuntował się przeciw Golsinghowi. Ruszamy... – Hansen zatrzasnął zbroję. Wyświetlacz włączył się, a koniec wypowiedzi Malcolma zabrzmiał ponad zakłóceniami: – ...przeciwko niemu za trzy dni.

Pałac, w którym mieszkała Penny, był filigranową budowlą ze strzelistymi wieżyczkami i delikatnie rzeźbionymi krużgankami. Balkony wyrastały spod łukowato sklepionych okien, a na masztach drżały proporce. Ściany zbudowane były z bloków różowego marmuru z perłowym połyskiem, a poręcze i kraty balkonów wykuto z najczystszej złota. Centralna iglica, smukła i dwukrotnie wyższa od reszty pałacu, zakończona była głowicą w kształcie cebuli.

– Za każdym razem zapiera dech – powiedział Rolls, siedząc w siodle na grzbiecie gigantycznego łosia.

– Rzeczywiście, panie – odrzekł Fortin. Szedł przy lewym strzemieniu wierzchowca i miał na sobie liberię, taką jak każdy z członków trzydziestoosobowej świty, która towarzyszyła Rollswi podczas wizyty w pałacu Penny.

Rolls spojrział na półandroida. Na czas tej operacji wybrali dla służby czapki i opończe z jasnopomarańczowego aksamitu, które ukrywały sylwetkę i twarz noszącego. Ludzcy służący Penny nie rozpoznają Fortina, ale samej Penny, gdyby podeszła wystarczająco blisko, mogło się to udać. Nawet teraz, w krytycznej fazie operacji, Rolls był pewien, że są na to małe szanse.

Trębacze na położonych niżej balkonach pałacu zadęli w fanfary, grając powitalny, powtarzający się salut. Złotoróżowe flagi, odpowiadające kolorem ich liberiom, powiewały u trąb.

Brama również była ze złota. Jej rzeźbione skrzydła z motywem cherubinów otworzyły się w momencie, gdy Rolls i jego świta zbliżyli się do pałacu. Setki służących Penny zgromadziły się w holu przy bramie.

Rolls zsiadł z wierzchowca. Ubrany był na pomarańczowo, ale w odróżnieniu od sług nosił jedynie krótkie spodnie, niewiele dłuższe od przepaski biodrowej, i sandały. Był niegdyś dumny ze swego ciała, przed czasem Northa, czyli zanim osiągnął boskość. I jeżeli nawet nie był już młodzieńcem i dźwigał dziesięć kilo więcej, niż powinien, nadal była to uzasadniona duma. W tej chwili najważniejsze było to, aby oczy wszystkich zwróciły się na niego, a nie na towarzyszący mu orszak. Kiedy Rolls i jego świta wkroczyli do holu, dźwięki fanfar ucichły. Instrumenty smyczkowe, schowanych przed wzrokiem gości służących, zagrały w tym momencie melodię tak cukierkową, że Fortin wyszeptał Rollswi do ucha:

– A teraz spod sufitu sfruną aniołki.

Hol wejściowy miał wysokie ściany o wystających kolumnach wsporników, u szczytu których zwisały żyrandole, i zapadniętych panelach centralnych, które pokryto lustrami. Następne wielkie drzwi zamykały szczyt klatki schodowej z różowego marmuru. Muzyka wzniosła się do crescendo. Światło żyrandoli ściemniało.

Rolls szedł naprzód. Jego służący rozstąpili się i szli za nim w dwóch rzędach, poprzedzani przez odzianych na różowo służących Penny.

– Powodzenia – mruknął Rolls, gdy tylko postać w czapce i pelerynie oddzieliła się od orszaku.

– To ja tobie życzę powodzenia, przyjacielu – odparł szeptem Fortin. – Nasza Penny oczekuje, że spełnisz jej oczekiwania...

Kiedy Rolls przeszedł przez środek pomieszczenia, złote drzwi u szczytu klatki schodowej otworzyły się w cichym majestacie. Słaby, lustrzany blask żyrandoli akcentował okazałą wielkość pomieszczenia.

Penny stała u szczytu schodów niczym wcielenie piękna i zmysłowości. Włosy miała czarne,

a skórę jasną jak mąka. Suknia wraz z sięgającymi łokci rękawiczkami miały taki sam odcień jasnego szkarłatu, co jej usta, a na szyi lśnił klejnot.

– Witaj, Lordzie Rolls – przemówiła Penny gardłowym kontraltem. – Od dawna nas nie odwiedzałeś. – Wydęła usteczka i dodała tym samym głosem, ale z zupełnie inną intonacją: – Myślałam, że już mnie nie lubisz.

– Wiesz, jak bardzo jestem zazdrosny, moja droga – posiedział Rolls, zbliżając się do podnóża schodów. W tym stroju, akcentującym jego włochate, muskularne ciało, wyglądał jak nałpolud próbujący uwieść piękność. Penny prawdopodobnie uznawała, że ów kontrast dodaje ich związkowi pikanterii. – Nie mogłem jednak powstrzymać się, żeby cię nie odwiedzić.

Penny uważała za pikantne i smakowite niemal wszystko, co jej dotyczyło lub ją interesowało. Wyciągnęła do niego dłoń w rękawicze.

– Wiesz przecież, mój drogi, że inni nic dla mnie nie znaczą – powiedziała i zachichotała, psując efekt.

Rolls wspiał się na pierwszych sześć stopni normalnie, po czym szybko przekroczył dwa naraz i stanął przed Penny, która otworzyła szeroko ramiona, pozwalając mu porwać się w namiętym uścisku.

– Och, Rolls – wymruczała z zamkniętymi oczyma. – Wiesz, jak bardzo za tobą tęskniłam, kochanie.

Rolls miewał czasem dręczące przeczucie, że Penny jest daleko bardziej inteligentna, niż się wszystkim wydaje, niż udaje, kreując się na jednowymiarową karykaturę... Z drugiej jednak strony, wszyscy to robili od momentu, kiedy stali się bogami, chyba że bardzo starali się powstrzymać, jak on sam. Czasem nic z tych starań nie wychodziło. Wskazał ruchem głowy w górę.

– Ach, czy moglibyśmy...? – Smyczki znowu grały, tym razem cicho i słodko.

– Myślałam, że nigdy nie spytasz – powiedziała Penny namiętnie.

Ujęła go za ramię i poprowadziła pomiędzy złotymi kolumnami. Drzwi zamknęły się za nimi, odcinając dźwięki muzyki i odgłosy plotkującej za plecami służby.

Pokój za drzwiami był okrągłym foyer, nie tak ogromnym jak hol wejściowy, ale okazałym. Posadzkę wyłożono marmurem. Pod ścianami na wydzielonych grządkach rosły róże. Przez wysokie okna wpadało światło.

Sandały Rollsa ślizgały się na kamieniu posadzki, kiedy prowadził swą gospodynię w stronę przezroczystej windy po przeciwnej stronie pomieszczenia.

Penny spojrzała po sobie.

– Jak wolisz? – spytała. Rolls zatrzymał się i pocałował ją, kładąc lewą dłoń na jej ramieniu, a prawą pieścizotliwie w dole pleców. W przyjętej teraz postaci Penny była szczupła i na tyle wysoka, że jej głowa sięgała podbródka Rollsa. – Teraz? – spytała z nadzieją, przynaglając. – Czy na posłaniu z róż?

Skinęła głową. Przez drzwi pomiędzy roślinami weszło dwoje służących, ale kiedy tylko ujrzeli panią i jej gościa, natychmiast zniknęli.

– Nie – powiedział Rolls. Nie musiał udawać zainteresowania w głosie. – Mam pewien pomysł.

Poprowadził ją za rękę w stronę windy. Z każdym krokiem szli coraz szybciej. Winda okazała się pustym, trzymetrowej długości szybem, dopóki Penny i Rolls do niej nie weszli. Powietrze pod ich stopami stwardniało i zaczęli się wznosić. Niska postać w różowej liberii przeszła przez foyer, nieświadoma ich obecności. Penny pogłaskała wzbierającą twardość w kroczu Rollsa.

– Myślałam o czymś takim... – powiedziała i nagle eteryczna postać, stojąca obok Rollsa, stała się niska, szczupła i ubrana jedynie w naszyjnik. – Albo może coś niecodziennego?

Nagle zmieniła się w grubą kobietę, ale o pełnych raczej niż obwisłych piersiach. Włosy przez chwilę pozostawały czarne, potem stały się jasne, a w końcu kasztanowe. Podniosła jedną brew, patrząc na Rollsa.

Powietrze uniosło ich ponad sufit foyer, prosto do szybu w centralnej wieży. Wokół szybu znajdował się hol, otoczony pokojami. Była tam też krata. Winda służyła wyłącznie Penny, jej gościom oraz każdemu, kogo zażyczyła sobie widzieć. Dla każdego śmiertelnego sługi wejście do szybu oznaczało nieuchronny upadek na marmurową posadzkę. Rolls pochylił się i pocałował jeden z jej ciemnych sutków, czując, jak rośnie pod językiem.

– Nie – powiedział, prostując się. – Nie sędzę... – Penny oblizała usta. Jej ciało zadrżało w serii przemian, a palce sięgnęły za pas spodni Rollsa. Winda wyniosła ich ponad kwatery służby, gdzie szyb otaczała spiralna klatka schodowa. Piętra na tej wysokości stanowiły w większości otwarte pokoje z meblami udekorowanymi koronką i falbanami. Ze ścian zewnętrznych wystawały balkony. – Chcę ciebie, Penny – mówił ostrożnie.

Zatrzymali się u szczytu wieży. Kopuła miała kilkakrotnie większą średnicę niż podstawa wspierającej ją wieży. Pomieszczenie było podzielone na cztery części, każde z własnymi drzwiami do szybu windy.

– Ależ oczywiście! – powiedziała Penny, otwierając drzwi do ogromnej sypialni, której główne wyposażenie stanowiły białe futra. Ściana zewnętrzna była z kryształu i lśniła w blasku słońca. Spojrzała na swego gościa, nagle rozumiejąc. – Och... chodzi ci o to? – spytała.

Kobieta stojąca przed Rollsem stała się niską, odrobinę pulchną dziewiętnastolatka o kręconych blond włosach i bladych sutkach. Ten ujął w dłoń lewą pierś Penny i mocno pocałował ją w usta. Cofnął się i zdjął spodnie.

– Ciebie – powiedział. Uśmiechnął się szeroko. – Na balkonie. Ale ciebie, bez naszyjnika.

Penny dotknęła ust językiem. Uniosła ręce i ujęła niemal niewidzialny łańcuszek podtrzymujący klejnot, który był jedyną rzeczą, jaką miała na sobie. Zdjęła go konwulsyjnym ruchem i cisnęła w stronę toaletki, której lustro i bateria stojących tam kosmetyków były tak samo zbędne jak cały ten pałac, jak ich życia, jak oni sami. Jedyną zmianą w wyglądzie kobiety był pieprzyk, który pojawił się na lewej piersi. Był ciemniejszy niż jej sutki.

– A więc złap mnie! – zachichotała Penny.

Odwróciła się i pobiegła w stronę okrągłego balkonu. Kryształowe drzwi otworzyły się, kiedy tylko się zbliżyła. Rolls ruszył za nią. Ważne było, aby przebiegła chociaż część dystansu dookoła kopuły, zanim ją złapie. Ale chciał ją złapać tak samo, jak ona chciała zostać złapaną.

– Wszystko mnie boli – powiedział Hansen.

Idąc, masował mięśnie ud. Jediną zaletą walki w pancerzu wspomaganym było to, że ręce nie bolały go od ściskania kolby broni.

Malcolm uniósł brew.

– Wydajesz się być w dobrej formie – zauważył. – Potrenowaliśmy ostro, ale...

Hansen obejrzał się na idących czwórkami niewolników niosących broje. Malcolm bez wahania przywołał kilku najbliższych widzów, zapędzając ich do roboty jako tragarzy. On i Hansen zgodzili się, że nie mają ochoty przemierzyć połowy kilometra do palisady, idąc w pancerzach. Poza tym, drużyna niewolników, zmierzająca powoli pod tym brzemieniem, stanowiła dobrą wymówkę dla Hansena, żeby iść powoli i oszczędzać obolałe nogi.

– To prawda – odpowiedział Hansen. – Jestem w formie, ale moje mięśnie nie są przyzwyczajone do tego rodzaju wysiłku. Każdy rodzaj sprzętu, pancerz bojowy czy grabie, wymaga wysiłku innych grup mięśni.

„Ryzyko było w pełni wykalkulowane”.

– Ale... – zaczął weteran.

Hansen złapał Malcolma za rękę. Opalenizna, której nabrał na Zwiastowaniu, sprawiała, że skóra miała niemal ten sam odcień co Malcolm.

„To nie może potrwać długo – skoro w ogóle przeżył”.

– Posłuchaj, Malcolm – zaczął. – Tam, skąd pochodzę, nie używamy w walce pancerzy. Mamy inne rodzaje broni. To nie znaczy, że nie jestem wojownikiem.

Szli dalej, ręka w rękę. Wyraz twarzy Malcolma był niemożliwy do odczytania. Potem uśmiechnął się.

– Nie wątpię, że jesteś wojownikiem. – Poklepał Hansena po plecach. – Jeśli nie dowiódł tego twój pojedynek z Ziebornem – ciągnął – to to, co pokazałeś ze mną dziś rano, dowodzi tego na pewno. Będziesz musiał mnie nauczyć paru takich sztuczek.

Dotarli do palisady. Woń Kamienia Pokoju zaatakowała ich nozdrza, choć fakt, że cytadela znajdowała się na wzgórzu, oznaczał, że jakiś sposób usuwania ścieków istnieć tu musiał. Hansen poważnie pokiwał głową.

– Nauczę cię wszystkiego – potwierdził. – Te broje mają jeszcze kilka tajemnic, a kiedy je odkryję, przekażę je tobie i pozostałym. Oni też będą musieli się tego nauczyć, Maharg i Shill...

Malcolm pociągnął nosem.

– Maharg, być może – powiedział, patrząc na swoje stopy. Pomiędzy chatami ułożono chodniki z desek, ale wiele z nich już dawno utonęło w błocie.

– Obaj – stanowczo odrzekł komisarz. – A potem cała reszta, kiedy już pokażemy im, jak to działa. Zaczniemy dziś po południu.

Malcolm zaśmiał się i ruszył szybciej, wyprzedzając towarzysza.

– Jeśli chcesz, możesz bawić się dziś w swej zbroi, chłopcze – zawołał przez ramię. – Nancy i ja mamy w planie trochę inne ćwiczenia, zwłaszcza że za trzy dni ktoś może uciąć mi jaja!

W ratuszu podawano właśnie posiłek. Hansen pozostał przy piwie, serze i kawałku chleba, urwanym z okrągłego bochna. Shill i Maharg otoczyli Malcolma, choć ten zaspokajał pragnienie, nie

zdradzając zainteresowania tym, co mówili. Komisarz postanowił zostawić ich na razie samych. Upewnił się, że jego zbroję bezpiecznie odniesiono do sypialni, a potem wyszedł na zewnątrz, żując chleb.

W cytadeli pojawili się nowi wojownicy. Kilku z nich przybyło z własnym orszakiem niewolników, konnych kuszników i obładowanych bagażem mamutów. Król ruszał na wojnę, wynajmował więc żołnierzy. Większość rekrutów nie miała nawet własnych pancerzy. Byli wśród nich starsi, w wieku Shilla, oraz młodzi, w wieku Maharga, wszyscy, którym nie dostawało szczęścia, treningu lub umiejętności, aby zdobyć dotąd własny ekwipunek. Golsingh wyposażył ich w zbroje, jakie znajdzie wśród łupów i w magazynach. Gdy za dwa dni Taddeusz powiedzie armię do bitwy, jeden z tych wyglądających na niedożywionych wojów z całą pewnością przywdzieje zbroję Villiersa. I może takiemu najemnikowi dopisze szczęście. Choć bardziej prawdopodobne jest, że nowy właściciel zbroi skończy jak sam Villiers: martwy i zapomniany, zanim jeszcze jego zwłoki ostygną i zamarzną w zimową noc.

Łupiny zboża skrzypiały Hansenowi w zębach. Mimo to polubił smak tego chleba. Wiele było rzeczy, które podobały mu się w Świecie Northa, ale było także kilka takich, które zamierzał zmienić – jeśli uda mu się przeżyć.

Wszedł do kuźni, zatłoczonej nowo przybyłymi wojownikami, których pancerze wymagały naprawy. Dobrze wybrał czas, idąc do kuźni rano. Gdyby dostarczył zbroję teraz, nie zdążyłby poćwiczyć na nowym, nieznanym mu przecież sprzęcie. Jeden z uczniów kowala spał na pryczy pośrodku kuźni. Na napierśniku zbroi stojącej obok niego piętrzył się stos sypkiej rudy. Vasque kłócił się z trzema wojownikami, z których każdy stał obok uszkodzonego pancerza, najwyraźniej niezłej jakości. W tym samym czasie kilku wojowników niższej rangi próbowało nakłonić do współpracy drugiego z uczniów. Chłopak był jednak najwyraźniej zbyt zmęczony, aby choćby udzielać sensownych odpowiedzi. Hansen wkroczył do środka.

– Hej, wy tam – warknął. – Zejdźcie mi z drogi. Kiedy przyjdzie pora, ktoś się wami zajmie. Pewnie nawet lepiej, niż na to zasługujecie. – Usiadł obok ucznia. Najemnicy cofnęli się niechętnie, ale Hansen przyjął, że posłuchają człowieka o wyraźnie wyższej randze; nawet jeśli sam sobie tę rangę nadał. Wśród wojowników Golsingha nikt nikomu statusu nie nadawał. Status trzeba było sobie wywalczyć. Wzdłuż ścian kuźni stali w rzędzie niewolnicy. Hansen wskazał na jednego z nich. – Piwa! Coś do picia. Natychmiast! – Niewolnik pospieszył wypełnić polecenie. Ludzie ze Świata Northa – ci o niższym statusie – nie próbowali nawet sprzeciwić się rozkazom. Zresztą w siłach specjalnych z rozkazami komisarza Hansena również nikt nie dyskutował. Podsunął uczniowi kawałek chleba, Chłopak przyjął go i zaczął przeżuwać, nie tyle z głodu, co z posłuszeństwa. – W jaki sposób pracujesz nad pancerzem? – spytał Hansen przyjacielskim głosem, patrząc jednocześnie na pozostałych wojowników, aby zmusić ich do zachowania dystansu. – Skąd na przykład wiesz, jak zaprojektować architekturę elektroniki?

– He? – spytał z kolei uczeń. Jego oczy były przygaszone ze zmęczenia. W jakikolwiek sposób naprawiano pancerze bojowe, praca ta nie wykonywała się sama. – Archi... co? – Zamrugnął i skupił wzrok na Hansenie. Cierpliwe zainteresowanie wojownika przywróciło młodzieńca do rzeczywistości. – Wchodzę do Matrycy – powiedział wreszcie – i znajduję i w niej element zbroi, nad którym pracuję. Tam, gdzie różni się on od Matrycy, zmieniam co trzeba tak, żeby pasowało. Nie wiem...

Niewolnik powrócił z bukłakiem. Hansen wziął go i podał uczniowi. Kiedy ten pił chciwie, komisarz zapytał:

– Co masz na myśli, mówiąc o Matrycy?

„Przecież nie może chodzić o to, o czym mówił Walker, o te wszystkie wymiary i czasoprzestrzenie...”.

– No cóż... Sam wiesz, panie... – zaczął uczeń. – Chociaż nie, nie jesteś przecież kowalem... – Zmarszczył brwi. – Chodzi o to, jak wszystko jest poskładane wewnątrz. Trzeba być zahipnotyzowanym i za pierwszym razem potrzebny jest mistrz, żeby poprowadzić, ale to jest jak... – Poruszył rękoma. Piwo z bukłaka chlapnęło na klepisko. – ...jakby wyczuwać rękoma drogę w ciemności. – Hansen skinął lekko głową, aby wykazać zainteresowanie, nie przerywając. – I za każdym razem jest łatwiej – ciągnął pomocnik kowala ze wzrastającym zapalem. – Ale to zawsze jest tak, jakby ugniatać zbroję z błota i popiołu. Nawet mistrz... – wskazał na Vasque’a. Jego głos opadł konspiracyjnie. – Nawet najwięksi mistrzowie – wyszeptał – nawet oni chyba nie widzą wszystkiego wyraźnie. Ale im więcej szczegółów w Matrycy...

– Szczegółów w tym śnie, tak?

Młodzieniec pokręcił głową.

– To nie jest sen – podkreślił z mocą. – To wejście do Matrycy. I jest to tak realne jak... – Uśmiechnął się i podniósł fragment osłony uda ze stołu. – ...jak to.

Wręczył kawałek pancerza Hansenowi. Obiekt był solidny, jego realność nie ulegała kwestii. Komisarz uśmiechnął się w odpowiedzi. „Z drugiej strony, być może było dokładnie tak, jak powiedział Walker”. Jeżeli jednak tak było, to na niewiele mogło się to mu przydać.

– Dzięki – powiedział, wstając. – Chciałem dowiedzieć się czegoś o moim sprzęcie, skoro moje życie od niego zależy.

I taka była prawda.

Hansen przypuszczał, że zastanie Shilla i Maharga w ratuszu, dlatego nie zaskoczył go ich widok przed wejściem do budynku. Nie spodziewał się jednak zobaczyć nadchodzącego w ich kierunku od strony jednej z chat Malcolma, zawiązującego tunikę. Wyglądał na wściekłego jak chmura gradowa. Za Malcolmem chodnikiem z desek podążała niewolnica, w jej oczach dostrzegł wyraz oczekiwania.

– Miałem zamiar zabrać was na plac i trochę poćwiczyć – powiedział Hansen do Shilla i Maharga, kiedy Malcolm był jeszcze trzy kroki od nich. To, co mówił, było instynktowną próbą dowiedzenia, że cokolwiek się stało, on jest niewinny.

– Co się tu, do diabła, dzieje? – warknął Malcolm.

– Nic – odparł Maharg. Pocierał policzek. Krew z nosa zostawiała mu rdzawą smugę na wąsach i brodzie.

– Przyjechali nowi ze Wschodu – powiedział Shill. – Około tuzina.

– Taaa... Siedmiu – odrzekł Malcolm. Hansen zwrócił uwagę na to, jak gniew weterana znikł nagle, jak zamknięty za niewidzialnymi drzwiami. Ten spojrział w stronę ratusza. Śmiechy i dźwięki pieśni docierały do nich przez otwarte drzwi. – Mów dalej.

– Łajdakom wydaje się, że są twardzi – powiedział Maharg, ale głos mu się załamał.

Ze względu na rozmiary Maharga trudno było pamiętać, że ma on dopiero jakieś szesnaście lat. To nie czyniło go wcale mniej niebezpiecznym – jeżeli już, to bardziej – ale oznaczało, że jego emocje nadal podlegają huśtawce młodości. W tej chwili Hansenowi zdawało się, że wielki wojownik może się zaraz rozplakać.

– On są twardzi – powiedział Malcolm zimno. – Mów dalej.

– Rzucili w niego kością! – zawołał Shill. – Przechwalał się, czego dokona w następnej bitwie, i zaczęli rzucać w niego gnatami. I we mnie też!

– Wy cholerni głupcy – wtrącił się Hansen, zanim Malcolm zdążył się odezwać. Słowa Hansena

były tak podobne do tych, które Malcolm sam chciał wypowiedzieć, że aż zamrugał, słysząc je od kogoś innego. Hansen wycelował palec w Shilla. – To ty po niego posłałeś, tak? Kazałeś niewolnicy... – Kobieta, która przysłała za Malcolmem, stała nadal w pobliżu. – Kazałeś jej iść i sprowadzić szefa?!

– No, pomyślałem...

– Gdybyś pomyślał – warknął Hansen, trzymając ręce przy sobie i zbliżając twarz do twarzy starego wojownika – zrozumiałbyś, że jedyny sposób, aby wyjść z tego z twarzą, to udać, że nic się nie stało. Czego oczekiwałeś? Że Malcolm tam wejdzie? – Wskazał palcem na drzwi. – I że sam zrobi porządek z tuzinem tych drani?

– Nie było ich aż tylu – wymamrotał Maharg, unosząc nos wysoko, a potem znowu opuszczając, mimo że nadal krwawił. – Pieprzyć to. Powinienem był pojechać do Frekki. Tam też prowadzą zaciąg.

Twarz Malcolm'a stwardniała.

– Żaden prawdziwy wojownik nie wybrałby służby u kupca – rzekł stanowczo.

– Dają najemnikom dobre zbroje – pociągnął nosem Shill.

– Wiedzą, jak należy traktować wojownika.

– Zbroje kupieckie! – warknął Malcolm. – Wszystkie takie same!

– Jasne, łatwo ci mówić – zajęczał Shill. – Sam masz świetną zbroję. A co z kimś takim jak ja, co nigdy nie miał dość szczęścia?

– Twoje szczęście właśnie się pojawiło – rzucił Hansen.

– Spotkałeś mnie. A teraz idźcie tam, pojedynczo, żeby nie myśleli, że coś knujemy, i weźcie swoje zbroje. Nauczę was, jak ich używać.

Obaj najemnicy, prawie starzec i dopiero co chłopiec, spojrzeli na Hansena niepewnie. Potem Shill splunął w błoto i potarł usta.

– Tak sobie myślę, że odrobina ćwiczeń nikomu nie zaszkodzi, zwłaszcza że bitwa przed nami. – Spojrzał przez drzwi i dał nura do środka.

– Idziesz z nami? – spytał Hansen Malcolm'a.

Weteran pokręcił głową i lakonicznie odparł:

– Nie. – Ale dziesięć kroków dalej w stronę domu swej kobiety odwrócił się i zawołał: – Może później. Może.

Hansen spojrział krytycznie na dwóch towarzyszy na placu treningowym. Teraz rozumiał, czemu Shill w tak gorzkich słowach mówił o swej zbroi: obaj najemnicy mieli na sobie pancerze warte niewiele więcej niż złom, podobnie jak zbroja, w której zginął Villiers.

Pancerz Maharga mógł być niegdyś naprawdę dobrej jakości, ale musiało to być dawno. Teraz jego napierśnik był poznaczony łatami, a osłony nóg różniły się szerokością w miejscach, gdzie naprawiano je, używając dostępnych akurat materiałów.

O zbroi Shilla nie można było powiedzieć nic. Składała się z elementów wykonanych przez ucznia kowala, pospawanych z sobą przez innego ucznia. Miejsca spawów były wyraźne, pomimo prób Shilla ukrycia ich wzorem poziomych, żółto-czarnych pasów.

– Jak udało się wam przetrwać bitwę? – spytał zdumiony Hansen. – Trzymaliście się blisko Malcolm'a?

– No cóż, my... – zaczął Shill głosem, z którego elektroniczne przetwarzanie wykradło wstyd. – No, pilnowaliśmy jego pleców.

– Walczyłem z jednym – powiedział Maharg. – Ale nie chciał, wiesz... Nie chciał podejść blisko.

„Gdyby nawet udało ci się go powalić – pomyślał Hansen – jego zbroja wcale nie byłaby lepsza niż twoja”. W każdej armii najemnicy tacy, jak ci dwaj, stanowili mięso armatnie, mające jedynie ułatwić zadanie prawdziwym wojownikom. Ale w tej armii to się zmieni.

– A więc wykazaliście się rozsądkiem – stwierdził surowo komisarz. – Gdybyście próbowali zostać bohaterami, już byście nie żyli. Ale teraz – wskazał palcem najpierw jednego, potem drugiego wojownika – nauczycie się robić dokładnie tak, jak wam rozkażę.

– Czemu? – spytał Maharg tępo.

– Bo zamierzam zrobić z ciebie barona, chłopcze – odparł Hansen, zadowolony, że jego głos dzięki elektronice hełmu brzmi jeszcze bardziej surowo. Odwrócił się do starszego wojownika. – A ciebie, Shill – ciągnął – uczynię bogatym. Beze mnie za kilka lat będziesz pasał świnie, jeśli wcześniej ktoś cię nie zarąbie, pomimo twojej umiejętności unikania kłopotów. – Pozbawiona rysów płyta wizjera hełmu Hansena nie mogła się uśmiechać. Zamiast tego klepnął obu mężczyzn po ramionach i kontynuował: – Dalej, znajdziemy jakieś spokojne miejsce, w którym nauczę was, co potrafią te zbroje. Nawet wasze zbroje.

– Plac ćwiczeń miał kilka hektarów. Dużo, nawet mimo tego, że w tej chwili większość wojowników w Kamieniu Pokoju wyległa na plac, ćwicząc lub pokazując swe zdolności Taddeuszowi i jego oficerom. Komisarz stanął twarzą do jednego ze słupów jak najdalej od wodza. – Dobra – zaczął. – Wasze pancerze mają zarówno zdolność identyfikacji, jak i oznaczania. Powiedzcie: „Zaznacz sojuszników na niebiesko”.

– Hę?

Na wyświetlaczu Hansena nad hełmami obydwu wojowników pojawiły się przezroczyste, niebieskie znaki.

– Róbcie, co każę! – warknął. – Co wam mówiłem o wykonywaniu rozkazów?

Wojownicy spojrzeli na siebie.

– O... – mruknął jeden z nich. – Nie wiedziałem, że to potrafię...

– Dobra. Słuchajcie – zaczął oschle komisarz. – SI może także oznaczać wrogów. Sposób, w jaki zwyciężymy – w jaki przeżyjemy, pamiętajcie o tym – to jednoczesny atak na wroga. We trzech. Zaznaczę cel migającym białym światłem. Kiedy jego kolor zmieni się na czerwony, wszyscy trzej uderzymy. Razem, to ważne, żeby przeciążyć system obronny wroga.

– Nie rozumiem – powiedzieli obaj najemnicy.

– Włączyć wiązki – rozkazał Hansen. – Trening, tni. – Na powierzchni jego prawej rękawicy pojawiło się błękitne, wibrujące lśnienie. Było to przyjemne uczucie – trzymać w ręku moc decydującą o życiu bądź śmierci... – Uważajcie teraz. – Skierował wyświetlacz na słupek. – Oznacz – wydał komendę. Pulsująca biała korona załśniła na elektronicznym obrazie słupa na wyświetlaczach hełmu Hansena i jego podopiecznych, choć gołym okiem zmiana obrazu nie była możliwa do dostrzeżenia.

– Atak! – krzyknął i ciął wiązką prosto w czerwony punkt na słupie, rozłupując drewno w wybuchu iskier i fruujących wiórów... Ale Shill i Maharg nadal stali w miejscu, tak skołowani jak wzory na ich zbrojach. Hansen wyprostował się.

– Spróbujmy czegoś innego – stwierdził spokojnie. – Maharg, chcę, żebyś uderzył w słupek, kiedy powiem: „Atak”. Zrozumiałeś?

– Eee... dobra.

– Oznacz – padła komenda, podświetlając słupek na wyświetlaczu. – Atak.

Maharg poruszył się niezgrabnie. Wiązka Hansena trafiła go od tyłu, przewracając w błoto.

– Nie za rok, nie za sekundę – rugał go komisarz. – Kiedy wydaję rozkaz, wypełniasz go

natychmiast. Zrozumiałeś?

Maharg zaczął się podnosić.

– Ty łajdaku – zawarczał.

Hansen odczekał chwilę, aż ten podniósł się na tyle, aby następny upadek w błoto odniósł zamierzony skutek. I znowu go powalił.

– Zrobię z ciebie prawdziwego wojownika – powiedział do leżącego młodzieńca. – Zrobię z ciebie barona, jak powiedziałem. Ale nie będziesz dyskutował, tylko wypełniał rozkazy. Zrozu...

– Ty łaj...

Wiązka energetyczna Hansena znowu uderzyła.

– Nikogo nigdy nie obchodziło, co się z tobą stanie, chłopcze! – krzyknął. – Nikogo! Ale mnie to obchodzi i zamierzam zrobić z ciebie mężczyznę, jakim chcesz zostać, nawet jeżeli będę cię musiał przy tym zabić! Zrozumiałeś? Odpowiadaj!

Leżąca w błocie zbroja poruszyła się.

– Tajest – wypalił wreszcie Maharg.

– W porządku – odrzekł komisarz. Starał się ukryć drżenie, jakie w jego głosie wywołała adrenalina. Nie udało się. – Wstawaj i popatrz, jak robi to Shill.

Odwrócił się w stronę słupa. Z kilku drzazg, które swym ciosem wyrwał Hansen, unosił się dym.

– Oznacz – padła ponownie komenda.

Do późnego popołudnia Shill i Maharg umieli już całkiem niezłe wypełniać rozkazy Hansena. Kiedy jednak działali we dwójkę przeciw niemu, nie wyglądało to już tak dobrze. Gdy Maharg dowodził, zazwyczaj uderzał, zanim jeszcze oznaczył cel dla towarzysza. Shill zapominał o ataku. Na jego komendę zawsze padał cios Maharga, lecz on sam zwykle się spóźniał. Ale to przecież dopiero pierwszy dzień treningu. Kiedy dojdzie do prawdziwej bitwy przeciw siłom lorda Thrasey, Hansen będzie wydawał rozkazy, chyba że wcześniej ktoś odrąbie mu głowę. Ale w tym wypadku nawet nie udawał, że obchodzi go, co będzie potem.

Kiedy Hansen poprowadził swój oddziałek z powrotem przez plac ćwiczeń, do Taddeusza dołączył Golsingh; był w bryczesach, wysokich butach i futrzanym płaszczu. Przed nimi na placu ćwiczyła grupa wojowników.

– To oni rzucali w nas gnatami – mruknął Shill. Spróbował ominąć grupę siedmiu najemników łukiem.

– Zaczekaj – powiedział Hansen, gdy zaświtała mu pewna myśl. – Zabezpiecz komunikację grupową – wydał SI komendę, a potem odezwał się do wszystkich: – Słyszycie mnie?

– Hej, głośno i wyraźnie! – zdziwił się Maharg. Jego głos był słyszalny znacznie lepiej niż w zwykłej komunikacji pomiędzy hełmami.

– Shill?

– Co? Tak, słyszę.

– Kiedy proszę, żebyś potwierdził, że mnie słyszysz, potwierdzasz natychmiast – tłumaczył spokojnie komisarz. – Zrozumiałeś?

– Dobra – mruknął Shill.

– W porządku – powiedział Hansen. – Jesteście gotowi na trochę prawdziwej walki? Może wypróbujemy to, czegośmy się nauczyli, na naszych przyjaciółach ze Wschodu?

– Myślisz, że damy im radę? – spytał Maharg.

– Oznacz wrogów na zielono – zabrzmiała w odpowiedzi komenda. Hansen patrzył, jak zielone jak szkło butelki groty pojawiają się nad hełmami przeciwników. Zaczynał naprawdę lubić swoją broję. Chciałby móc zabrać ją z sobą podczas powrotu na Zwiastowanie, gdzie było jego miejsce... Ale tym zajmie się później. – Nie – powiedział głośno. – Szczerze mówiąc, myślę, że skopią nam tyłki. Ale dzięki temu trochę poćwiczymy.

Żaden z jego podkomendnych nic przez chwilę nie powiedział. Potem odezwał się Maharg:

– Cóż, nie pierwszy raz ktoś mi skopie tyłek. Jeszcze raz nie robi mi różnicy.

– Trzymajcie się blisko mnie – powiedział Hansen. – Pamiętajcie o rozkazach. I, na litość boską, kiedy się zacznie, nie odpuszczajcie. Albo oni, albo my. – Tnij! – Trzej wojownicy postąpili naprzód, ręka w rękę. Gdyby Hansen spojrział w bok, zobaczyłby błękitny znacznik nad hełmem Maharga lub Shilla. – Oznacz – wydał komendę, kierując sensory optyczne na dowódcę najemników.

Wojownik potykał się właśnie z dwoma ze swych podwładnych. Jego pancerz był najwyraźniej lepszej jakości niż Hansena, a jego przeciwnicy również mieli się czym pochwalić. Pozostałych czterech zbrojnych nosiło pancerze podobnej jakości, co broje Shilla i Maharga – ale było ich czterech. Przywódca przerwał walkę.

– Widzisz, lordzie Golsingh? – zahuczał z głębi hełmu. – Chcę objąć dowództwo nad lewym skrzydłem twojej armii!

– Normalna komunikacja – poleciał Hansen SI swego pancerza. Na twarzy czuł krople potu jak przed prawdziwą walką, nie przed treningiem. Stali teraz trzy metry od tamtych najemników. – Słyszałem, że wy ze Wschodu nie macie jaj! – krzyknął. – I sądzę, że w siedmiu nie dacie rady nam, trzem prawdziwym wojownikom! Chcecie się przekonać?

– Ty... – wysapał wódz najemników zduszonym ze złości głosem. Na jego prawicy wykwił promień.

– Atak! – krzyknął komisarz i uderzyli. Uderzyli we trzech, zbijając wojownika z nóg i posyłając w błoto. – Oznacz! Atak! – krzyczał dalej.

Tym razem uderzył tylko z Shillem, bo przesuwając się odrobinę w prawo, zablokował Maharga. Najemnik ze Wschodu upadł jednak. Nie był to jeden z dwójki w lepszych pancerzach, ale upadł pod nogi jednego z nich, przewracając go także. Hansen uderzył pomiędzy splecione pancerze, nie było czasu na rozkazy. Dwaj podkomendni uderzali wraz z nim, prowadzeni jego wiązką, nawet bez oznaczeń SI, jakby Maharg potrafił samodzielnie myśleć, a Shill samodzielnie działać. I faktycznie potrafili, bo uwierzyli mu, że potrafią, a może dlatego, że bogowie byli łaskawi, albo też dlatego, że ludzie wolą podążać za przywódcą, niż myśleć samodzielnie.

Maharg dostał wiązką pierwszorzędnie uzbrojonego wojownika w sam szczyt hełmu i upadł. Hansen zbliżył się i ciął, ale najemnik był szybki i doświadczony, co udowodnił, blokując uderzenie. Prawe ramię komisarza zadrżało, jakby chwycił linię wysokiego napięcia. Wolną ręką złapał nadgarstek najemnika. Kiedy to zrobił, słaby promień śmignął mu obok hełmu – to uderzył Shill, umiejętnie, z wprawą wieloletniego praktyka. Broń wojownika ze Wschodu przygasła, kiedy SI jego hełmu przeniosła energię na hełm, broniąc się przed nowym niebezpieczeństwem. Hansen trafił go w końcu i przeciwnik przewrócił się na bok.

Dwóch pozostałych najemników konwulsyjnie zaatakowało Shilla, wymanewrowując go między siebie i Hansena. Doświadczony wojownik krzyknął, a potem ucichł, kiedy wraz z resztą zbroi zamarły głośniki hełmu.

Hansen ciął na prawo, potem na lewo. Ostatni z najemników stał jak posąg sześć metrów od niego, zbyt przestraszony lub zaskoczony, aby podjąć jakiegokolwiek działania... „Dzieciak przestraszony na śmierć lub starzec w wieku Shilla, który zapomniał, że to tylko trening...”. Hansen wydłużył wiązkę i trafił wojownika w pierś. Ten obrócił się niemrawo i zaczął uciekać. Komisarz postąpił naprzód, aby znaleźć się w odległości, z której wiązką mogła przebić osłony zbroi przeciwnika i poprawił, powalając go. Zatrzymał się, dysząc ciężko.

– Ty zdracliwy, oślizgły bękarcie – zabrzmiał wzmocniony głos przywódcy najemników, który podnosił się właśnie z ziemi. Teraz, gdy jego zbroja była już na powrót włączona, błoto spływało z niej strumieniami jak wcześniej ze zbroi Kryty. – Zabiję cię za to.

Wiązka o wysokiej gęstości, która wystrzeliła z jego rękawicy, nie była już bronią treningową.

– Tryb bojowy – rozkazał Hansen SI zbroi, unosząc własną wiązkę w paradzie. Wcześniej sądził, że Krita spróbuje go zabić, ale nie przyszło mu do głowy, że ten człowiek weźmie sobie porażkę tak głęboko do serca, aby popełnić morderstwo na oczach Golsingha. Bo to będzie morderstwo. Obaj mieli podobne zbroje, ale Hansen mniej doświadczenia. Chyba że ktoś...

– Hej! – krzyknął król. – Stać! Potrzebujemy... – Najemnik ciął na głowę. Hansen zablokował cios. Jego wyświetlacz zamigotał, kiedy osłony zbroi wykorzystywały całą dostępną moc, aby zatrzymać broń przeciwnika, a przecież wiązki zetknęły się w odległości dwóch metrów od rękawicy najemnika. – Taddeusz! Powstrzymaj ich! – rozkazał.

Hansen cofnął się o krok, modląc się, żeby nie nastąpić na któregoś z leżących wojowników i nie przewrócić się. Gdyby tego zażądał, wyświetlacz pokazałby mu widok dokoła, ale zniekształcony

obraz mógłby okazać się większym niebezpieczeństwem.

– Niech się pobawią, milordzie – powiedział Taddeusz z niedbałą pewnością człowieka wiedzącego, że w przeciwieństwie do króla ma na sobie pancerz. – Mam wątpliwości co do nich obydwu. To dobra okazja, żeby je rozwiązać...

– Hej, ty! – zahuczał wzmocniony głos.

Wojownik w czerwono-błękitno-srebrnej zbroi wszedł na plac ćwiczebny za plecami najemnika. Malcolm...

– Uważaj na niego! – krzyknął Hansen. – To wariat!

Najemnik obrócił się w miejscu niczym tancerz, uderzając w głowę Malcolma. Weteran w porę sparował własną wiązką, ale siła uderzenia rzuciła go na kolana.

Hansen zrobił krok naprzód i uderzył w rękawicę dowódcy ze Wschodu. Wszyscy trzej zamarli jak grupa rzeźb, a iskry posypały się wokół nich. Miał świetną zbroję. Sztuczne inteligencje pancerzy Malcolma i Hansena musiały odciągnąć całą moc z serwomotorów, żeby zatrzymać jego wiązkę. Błoto pod stopami trójki walczących zaczęło twardnieć od wyładowań energii. Hansen pochylił się naprzód i wyciągnął lewą rękę, próbując poruszyć martwą masę swej zbroi. Wiązka najemnika powoli przełamywała blok Malcolma. Prawa rękawica komisarza stała się gorąca, a powietrze wewnątrz zbroi śmierdziało przypalonym zamszem wyściółki. Sięgnął i otworzył zatrzask zbroi najemnika, natychmiast wyłączając mu wiązkę i tarczę ochronną. napięte ramię Malcolma strzeliło w górę, nie powstrzymywane już oporem przeciwnika, i wiązka cięła napierśnik najemnika, strzelając wokół iskrami stopionego metalu. Wódz wojowników ze Wschodu upadł na twarz. Para zagotowała się, kiedy błoto schłodziło miejsce, w którym wcześniej znajdował się napierśnik.

Malcolm spróbował wstać, nie udało mu się, spróbował więc otworzyć pancerz, ale rękawica przesuwiała się w okolicy zatrzasku, nie natrafiając na niego.

Hansen znalazł zatrzask własnego pancerza, zamykając oczy i pozwalając, aby instynkt poprowadził mu dłoń. Otworzył płytę przednią zbroi i zatrzymał się, zbyt zmęczony, żeby zrobić cokolwiek więcej, dopóki piekący ból prawej ręki nie zmusił go do wysunięcia ramion z rękawów. Spojrzał tępo na dymiące zwłoki wodza najemników. Dymiła również nadzieja Hansena na zdobycie pierwszorzędnej zbroi. Stal chroniąca obwody elektroniczne była bardzo wytrzymała, ale przy pełnej mocy wiązki energetycznej stawiała tyle oporu, co bibuła. Malcolm wypalił klatkę piersiową przeciwnika, jednocześnie całkowicie niszcząc napierśnik. Oczywiście, zbroję można było w końcu naprawić, ale nie wystarczająco szybko, aby Hansen mógł jej użyć w bitwie z lordem Thrasey. Poza tym, zbroja nigdy nie byłaby ponownie tak dobra jak przed uszkodzeniem, nawet gdyby zdarzył się cud i za naprawę zabrał się kowal tak dobry jak twórca pancerza.

– Jak mówiłem, miałem pewne wątpliwości, milordzie – powiedział Taddeusz. – Lamullo poprowadzi lewe skrzydło, jak dotychczas.

Golsingh skinął głową.

– Czy nie powinniśmy wrócić teraz do ratusza? – spytał. – Mam nadzieję otrzymać w końcu z Frekki wiadomość o pancerzach, które zamówiliśmy.

Król i wódz jego wojsk odwrócili się i odeszli. Hansen kłął cicho, próbując zebrać siły, żeby wydobyć się ze zbroi. Maharg i Shill zdjęli już pancerze i pomagali właśnie Malcolmowi.

Jasnowłosa żona Golsingha towarzyszyła mu spoza ogrodzenia placu ćwiczeń. Komisarz dostrzegł, że kobieta patrzy na niego. Wyraz jej twarzy nie zmienił się, kiedy ich spojrzenia się spotkały, ale odwróciła się i odeszła wraz z resztą szlachty.

Fortin odczekał, aż pozostali członkowie świty Rollsa otoczą go kręgiem w alkowie holu wejściowego. Kiedy sześciu potężnie zbudowanych mężczyzn zasłoniło go przed gapiami, kucnął i odwrócił swój płaszcz na drugą stronę, tę różową. Pod czapką ukrył biały beret. Założył go teraz, zdejmując jednocześnie buty i zakładając różowe sandały. Gdy wstawał, podciągał już białe rajtuzy. Ostatnim dodatkiem do przebrania były skrzypce, ukryte dotąd pod płaszczem wraz z sandałami.

Kiedy na szczycie schodów Rolls porwał Penny w ramiona, Fortin przeszedł przez lustrzane drzwi z tyłu alkowy. Gdyby nawet któryś ze służących Penny przypadkiem zwrócił na niego uwagę, zauważyłby jedynie kolejną różowo odzianą postać.

W korytarzu plotkowały trzy kobiety. Przerwały rozmowę, gdy Fortin zbliżył się do nich, ale zaraz podjęły ją na nowo, nieco już ściszonymi głosami. On szedł dalej korytarzem, mijając je po drodze.

Znał układ pomieszczeń pałacu Penny lepiej niż... cóż, prawdopodobnie lepiej niż ktokolwiek inny, nawet jej służący, ponieważ oni starzeli się i umierali. Sama Penny ani nie wiedziała, ani nie interesowała się szczegółami konstrukcji pałacu zbudowanego na jej życzenie. Sfera jej zainteresowań była zupełnie inna i znacznie węższa.

Ekipa podkuchennych, wyglądających śmieszniej niż zwykle w poplamionych tłuszczem, bufiastych strojach, toczyła wyładowane jedzeniem wózki jednym z bocznych korytarzy, które minął Fortin. Nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi. Jedzenie zostanie podane ludziom z orszaku Rollsa w jednym z wielu refektarzy położonych na dolnych poziomach pałacu. Nikt nie zauważy, że brakuje jednego ze służących.

U stóp klatki schodowej na końcu korytarza rósł rząd niskich palm. Pryzmatyczne okno osadzone wysoko w ścianie zapewniało roślinom dostateczną ilość światła. Fortin obejrzał się przez ramię, aby się upewnić, że nikt go nie obserwuje, a potem cisnął zwinięty płaszcz za zasłonę szerokich, włochatych liści. Służący Penny, mieszkający na wyższych poziomach, nie nosili okryć wierzchnich. Pobiegł po schodach.

Na szczycie klatki schodowej znajdowały się drzwi, po drugiej stronie była oś rotundy pałacu. Fortin wyciągnął rękę, aby otworzyć drzwi, ale zatrzymał się z dłonią na klamce. Z przeciwnej strony dochodziły głosy, zarówno męskie, jak i żeńskie. Służący, najwyraźniej niezwykle dobrze się bawiący. Nic, czym przejmowałyby się Penny, dopóki wszelkie jej zachcianki były spełniane.

Fortin zaśmiał się cicho i dalej piął się po spiralnie zakręcających schodach. Miał ważniejsze sprawy na głowie niż przerywanie orgii lub też przyłączanie się do niej. Sandały skrzypiały cicho na kamieniu posadzki z regularnością metronomu.

Wszyscy bogowie nienawidzili Fortina, ale jednocześnie potrzebowali go. Do zadań takich jak to, do sztuczek, które nie udałyby się żadnemu innemu spośród nich. I dlatego nienawidzili go jeszcze bardziej. Musieli jednak tolerować jego istnienie, chyba że chcieliby zniszczyć także samych siebie. Bo Matryca była wieczną równowagą. Gdyby pozostali zabili Fortina, tym samym strumieniem popłynęłaby także ich krew.

Gdyby jednak Diament został zniszczony...

Gdyby Fortin zniszczył Diament...

Wtedy bogowie równi Fortinowi, którzy nienawidzili go, bo był w połowie androidem – a oni pogardzali androidami – i ponieważ był synem Northa, którego słusznie się obawiali... Wtedy

mogliby zabić go w niekontrolowanym wybuchu wściekłości i zniszczyć jednocześnie całą tę doskonałość, którą rządzą. To z całą pewnością okazałoby się najlepszą ze sztuczek.

Klatka schodowa kończyła się nad rotundą. Fortin wyrzwał na zewnątrz. Nie zobaczył nikogo. Zaopatrzone w poręcz taras wieńczył szczyt tej rotundy. Barierek miała jednak nie tyle zapewniać bezpieczeństwo spacerującym, co nadawać pałacowi jeszcze więcej złocistego blasku. Ponad poręczą widział otaczające wewnętrzne mury pałacu bajkowe wieżyczki obwieszane flagami i proporcami w jasnych kolorach.

Nadal ukryty za załomem klatki schodowej przed oczami ciekawskich, którzy mogliby obserwować go przez okna w iglicy rotundy, Fortin rozebrał się do różowej przepaski biodrowej i sandałów. Ruszył dalej z wyrazem twarzy tak aroganckim jak wyrzucenie przy jego pachwinie.

W niszy środkowej iglicy znajdowały się niepozorne drzwi. Otworzyły się pod dotykiem jego dłoni. Korytarz leżący za nimi udekorowany był gipsowymi amorkami, rozetami i koszami kwiatów; na wypadek gdyby sama Penny zechciała kiedyś go użyć. Najprawdopodobniej jednak korytarza nie używał nikt poza grupami konserwatorów polerujących dach. I poza nim. Zignorował schody biegnące wokół szybu windy.

Troje służących wyłoniło się z pokoju naprzeciw, niosąc zawiniątko powłok pościelowych. Na widok Fortina natychmiast jednak zniknęli tam, skąd przyszli. Ich pani miała władzę nad życiem i śmiercią, dlatego każdy służący wchodzący w drogę Penny podejmował ryzyko; niewielkie, bo śmierć niezbyt interesowała Penny, ale zawsze... Prawdziwe niebezpieczeństwo groziło im ze strony tych, którzy zostawali jej kochankami. Takie osoby miały posłuch u Penny i w związku z tym władzę; oczywiście do czasu, aż nie znudziła się nimi i nie kazała wygnąć. Poza pałac, donikąd, być może do drobnych prac, może z powrotem do rozpadającej się chaty w Otwartych Krainach, gdzie się urodzili, a może w lodowate pustkowia Matrycy, bo kaprysy Penny również bywały niebezpieczne i tylko w sypialni wiązała się na dobre i złe. Żaden rozsądny służący nie chciał więc mieć nic wspólnego ze skazanym z góry człowiekiem, który mógłby próbować zniszczyć, co się da i kogo się da przed swym nieuchronnym upadkiem.

Fortin wszedł do szybu i zaczął się wznosić. Nie dlatego, że należał do kręgu faworytów Penny, jak myśleli służący za półprzymkniętymi drzwiami, ale dlatego, że sam również był bogiem.

Zastanawiał się, czy Penny nienawidzi samej siebie. Czy gardzi sobą? Prawdopodobnie nie, bo brakowało jej zdolności postrzegania, która podpowiedziałaaby jej, że powinna, że wszyscy powinni...

Wyszedł z szybu na najwyższym piętrze, gdzie iglica rozszerzała się w olbrzymie złote jajo prywatnych apartamentów Penny. Pokojówki sprzątały właśnie w jednym z wielkich pokoi. Spojrzały na Fortina przez otwarte drzwi. Jedna zachichotała. Poza wstążkami z białej koronki we włosach i podobnymi, choć różowymi strzępami materiału na biodrach, były nagie. Spojrzał na nie zimnym wzrokiem.

– To nie jest przeznaczone dla was – powiedział, wypychając biodra nieco do przodu, aby zaakcentować swe słowa.

Wyraz jasnych, czystych twarzy dziewcząt zmienił się. Jedna z nich pospiesznie zamknęła drzwi. Wszedł więc spokojnie do pokoju wyłożonego białymi futrami, ulubionej sypialni Penny. Zatrzymał się, słysząc śmiech, ale odgłosy dochodziły z za otwartych drzwi balkonowych.

Naszyjnik leżał na toalecie. Fortin dotknął kamienia. Był ciepły, gorący jak krew, choć musiało minąć kilka minut, odkąd Penny zdjęła go, aby zająć się jedyną rzeczą, która interesowała ją bardziej niż jej wygląd. Przełożył łańcuszek naszyjnika przez głowę i zawiesił go na piersi. Przez chwilę patrzył na siebie w lustrze, widząc dokładną kopię Rollsa, łącznie z pierwszymi śladami brzuszka

rosnącego nad przepaską biodrową. Po chwili był muskularnym ogierem, o ponurych, śniadych rysach, nie Fortinem, lecz jednym z tysięcy mężczyzn, którzy przewinęli się przez sypialnię Penny w tym wymiarze, gdzie czas nie miał znaczenia. Klejnot zniknął.

Fortin spojrział w stronę drzwi balkonowych. Były półotwarte. Przez ich kryształową powierzchnię zobaczył niebo zasnuwane chmurami, i wyglądających na jego tle jak duchy Rollsa i Penny.

Pani pałacu przechyliła się całkowicie przez poręcz tarasu. Jej pulchne łydki wplecione były w szczeble kraty poręczy, a wielkie dłonie Rollsa obejmowały jej piersi. Krzyczała z rozkoszy, kiedy Rolls wchodził w nią od tyłu raz za razem, i znowu, i znowu. Ryzykowna pozycja, nawet biorąc pod uwagę siłę Rollsa i wysportowanie Penny. Ale czym była boskość bez odrobiny ryzyka?

Na twarzy Fortina nie było emocji, gdy ponownie wszedł do szybu windy. Zamierzał opuścić pałac jako jeszcze jeden członek świty Rollsa i oddać mu naszyjnik, jak tylko oddał się na bezpieczną odległość. Kiedy Rolls nie będzie już potrzebował naszyjnika, wślizgnie się ponownie do wieży i odłoży go na miejsce. A potem znowu odwiedzi Rubin.

Aby pomieścić wszystkich rekrutów przyciągniętych plotkami o nadchodzącej wojnie, stoły w ratuszu zsunięto razem. Oczyszczono je już z resztek jedzenia i biesiadnicy zasiedli właśnie do nocy solidnego pijaństwa.

Hansen uściśnął ramiona mężczyzn siedzących po obu jego stronach, Malcolma i Maharga.

– Życie mi szczęścia – mruknął i zanurkował pod stół, aby dotrzeć do miejsca dla służby pomiędzy stołami i paleniskiem.

– Hej! – zawołał jeden z jego towarzyszy.

Kobieta o przygaszonym spojrzeniu, niosąca dzbany piwa w obu rękach, zatrzymała się tak gwałtownie, że część płynu chlapnęła na klepisko, ale komisarz szedł w stronę siedzącego u szczytu stołu Golsingha. Wiedział już, że Taddeusz nie pozwoli nikomu bez odpowiedniej pozycji zbliżyć się do króla, a zwłaszcza jemu. Gdy pomiędzy nimi znajdzie się stół, wódz nie będzie jednak mógł zapobiec kontaktowi, chyba że zniży się do przechodzenia pod stołem jak Hansen.

Malcolm zasiadał teraz na wysokości mniej niż jednej trzeciej długości stołu, po lewej stronie króla. Większość nowych rekrutów stanowiła bardziej mięso armatnie niż godnych szacunku żołnierzy. Prawdziwi wojownicy zasiadali gdzie indziej. To była jedna z rzeczy, których Hansen nauczył się od Malcolma i pozostałych przyjaciół. Służący schodzili mu z drogi. Od szczytu stołu widział wpatrzony w siebie oczy Unn i Kryty. Twarz córki Taddeusza była zaczerwieniona od żaru paleniska, ale blada skóra Unn pozostawała nieskazitelna, jeśli pominąć smużkę popiołu na jej czole. Krita uśmiechnęła się, napełniła sześcienny kubek z kłá mamuta i podała go Hansenowi bez słowa. Przyjął napój, ale wybity nagle z rytmu, zapomniał przygotowanych wcześniej słów, którymi chciał zwrócić się do króla.

– Wasza Wysokość – wymamrotał niepewnie.

– Stoisz po stronie dla służby! – warknął Taddeusz. Zaczął się podnosić, kiedy jego córka podała kubek komisarzowi, ale krzesło i stół zagroziły mu drogę. Opadł z powrotem na miejsce. – Wyjdź stamtąd i odejdź od stołu króla!

– Jestem sługą jego Królewskiej Wysokości – powiedział Hansen, przypominając sobie swoją rozmowę z Walkerem i uśmiechając się w duchu na myśl o swej niekonsekwencji. Nie ufał jednak wiewiórcę, myszy polnej, krukowi, czy w co tam jeszcze wcielił się Walker, i za mało wiedział o jego działaniach, aby móc się przed nimi bronić. Zdawało mu się zaś, że rozumiał Golsingha i inne zmienne tego równania wystarczająco dobrze; a na pewno lepiej niż sami zainteresowani. Co nie znaczyło, że był bezpieczny. Tylko tyle, że znał imię lwa, w którego paszczę wkładał właśnie głowę. – Panie – zaczął, patrząc na króla i nie zważając na to, że Taddeusz obrócił krzesło, żeby wstać. – Jeśli pozwolisz mi zamienić z sobą kilka słów, będę mógł służyć ci lepiej. Być może nawet lepiej niż ktokolwiek inny, co może być powodem, dla którego ten ktoś lęka się moich słów – wskazał zarośniętym podbródkiem Taddeusza.

– Ty... – zaryczał wskazany, wznosząc do ciosu puchar z kryształu górskiego zdobionego srebrem. Być może cios nawet zdążyłby spaść, gdyby nie Krita, która stanęła między ojcem a Hansenem.

– Usiądź, ojcze – powiedział Golsingh. Taddeusz zamarł w pozie wyrażającej skrajną furję. – Usiądź! – głos króla ciął teraz niby biczem.

– Tak, milordzie – wymamrotał dowódca. Usiadł jak człowiek nagle niezmiernie wyczerpany.

– Milordzie – zaczął Hansen, zastanawiając się, co pozostali wojownicy zgromadzeni w ratuszu

myślą o tej sytuacji. – Twój ojciec i jego ojciec przedtem byli królami, ale ich władza sięgała tylko tam, dokąd ich armie dotrzeć mogły w ciągu trzech dni, i to tylko wtedy, kiedy udało się je zmusić do marszu. Czy tak?

– Podlega nam setka lordów! – warknął Taddeusz. – Mówisz bzdury!

– A ta setka lordów walczy pomiędzy sobą, codziennie, każdego roku. Wysyłają daniny i posłańców z gratulacjami po wygranej bitwie, ale nie udzielają ci wsparcia wojskowego...

– Czasami udzielają – wtrącił Golsingh, marszcząc czoło.

– ...chyba że twoi wojownicy maszerują w pobliżu ich twierdzy i są wystarczająco liczni, aby spalić im tę osłonę tyłków – ciągnął Hansen, mówiąc z tą samą brutalną szczerością, która narobiła mu wielu wrogów podczas ostatniej dekady wśród władz Konsensusu na Zwiastowaniu. Ale miało to jednak swoje dobre strony. Wrogowie komisarza wysyłali go przeważnie tam, gdzie było naprawdę gorąco, a ponieważ udawało mu się przeżyć, szybko awansował do rangi oficerów, którzy ginęli. – Czy chcesz, panie, tylko danin i pięknego przydomka? – spytał. – Czy też naprawdę pragniesz pokoju, Golsinghu Rozjemco?

Taddeusz potrząsnął głową.

– Rzeczą króla jest wojować – rzekł. – I rządzić. Milordzie, rozprawianie o przyszłym pokoju nie tylko przynosi pecha, ale także nie przystoi mężczyźnie. Bogowie tego nie lubią.

Młoda twarz Golsingha stwardniała.

– Ja tutaj rządzę – powiedział ostrym tonem. – Bogowie mogą rządzić w niebiosach, ale tutaj rządzę ja! – Odwrócił się do Hansena. Jego rysy nabrzmiały od emocji, nie całkiem innych od tych, które przeżywał właśnie komisarz. – Tak – kontynuował król. – Pragnę pokoju. Pokoju w kraju, który każdy mężczyzna lub każda kobieta mogli przemierzyć od końca do końca bez zagrożenia napadem. W kraju, w którym zagubiona sakiewka mogłaby leżeć na rozstaju dróg przez rok i nikt by jej nie ukradł. Tego właśnie chcę!

Taddeusz wstał.

– Synu – powiedział. – Drażnisz bogów. Mam nadzieję, że powściągniesz te niewczesne słowa, zanim nie będzie za późno. – Głos wodza przepełniony był smutkiem i gniewem, ale nie próbował już zakrzyczeć dyskusji. Wszedł z ratusza, a jego kroki były niemal niesłyszalne.

Krita patrzyła, jak odchodzi. Hansen był świadomy ciepła jej ciała od momentu, kiedy stanęła pomiędzy nim i Taddeuszem, choć zdążyła już odsunąć się o krok. Łyknął piwa z kubka, aby ugasić nagłe pragnienie.

– Milordzie – mówił dalej. – W takim razie drogą do zwycięstwa nie jest toczenie wojen z każdym drobnym panem, który ci się sprzeciwi. Powinieneś zająć Frekkę, uczynić ją swą stolicą i wykorzystać zyski z handlu, aby zbudować armię, która mogłaby...

– Frekkę? – spytał zdziwiony Golsingh. – Frekkę? Nie bądźże głupi. Moi przodkowie mieszkają w Kamieniu Pokoju od pokoleń i...

– Ale ty, panie...

– A poza tym – Golsingh po królewsku nie pozwolił sobie przerwać – Frekka należy już do mego królestwa.

– Dlaczego więc transport pancerzy, na który czekasz, który jest ci niezbędny podczas tej wyprawy, jeszcze nie przybył? – odparował ostro Hansen. – I dlaczego kupcy z Frekki płacą za twymi plecami łapówki najmniej godnym zaufania z twoich baronów?

– Skąd możesz to wiedzieć? – zaprotestował Golsingh.

– Wszyscy o tym wiedzą! – wykrzyczał brutalnie komisarz. – Możemy oczywiście nie wierzyć temu, co powtarzają wszyscy podróżni i kupcy przybyli z Frekki w ciągu ostatnich miesięcy, ale nie

możemy tego ignorować.

– Dlaczego mieliby to robić? – spytał król znacznie już łagodniejszym tonem. Odstawił puchar, który obracał w dłoniach przez cały czas i potarł twarz. – Dam im przecież bezpieczne drogi dla handlu. To jedna z tych rzeczy, których chcę dla mojego królestwa, dla mojego ludu, dla wszystkich.

– Daj im króla, którego będą musieli słuchać – odparł krótko Hansen. – Karawany z Frekki są już wystarczająco bezpieczne.

– Ale przecież muszą wynajmować wojowników do ochrony... – Golsingh urwał. Zrozumiał. – Och. No tak...

– Właśnie... – powiedział Hansen. – O tym również chodzą plotki. O tym, że syndykat Frekki utrzymuje więcej wojowników niż ty, panie. – Przechylił puchar i przypomniał sobie, że przecież opróżnił go już wcześniej; ale teraz znowu był pełny. Unn uśmiechnęła się chłodno i pokazała mu srebrny dzban. – Kupcy z Frekki chcą takiego samego królestwa jak ty, lordzie Golsingh. Różnica polega jedynie na tym, że to oni mieliby nim rządzić.

– Czy przybyłeś tutaj z Frekki? – spytała nagle Unn.

Hansen spojrzał na nią.

– Nie, milady – odparł. – Przybyłem z daleka. I myślę... – Wypił łyk piwa, aby uporządkować myśli przed zakończeniem zdania. – Myślę, że czasem dobrze jest spojrzeć na problem z daleka, żeby ujrzeć jego rozwiązanie. – Unn nachyliła się, aby napełnić wycięty z agatu puchar męża. Nie było po niej widać, że przed chwilą zadała jakiegokolwiek pytanie lub usłyszała na nie odpowiedź. – Lordzie Golsingh – kontynuował poważnie komisarz. – Daj mi pod komendę podczas bitwy z Thrasey pięciu ludzi, których sam wybiorę. Każ im robić to, czego od nich zażadam przez następne dwa dni treningu, a także w samej bitwie. A wtedy wygram dla ciebie tę bitwę.

– Nie bądź głupcem! – odparł Golsingh z gniewem, na jaki nie zasługiwała ta prośba. – Nie zrobię niczego podobnego! Jesteś nikim, nie masz ani pochodzenia, ani doświadczenia wojennego, o którym ktokolwiek mógłby zaświadczyć!

„Poprosiłem go o coś, czego nawet on nie może nakazać tym durniom o sztywnych karkach” – uświadomił sobie komisarz.

– A nawet gdyby... – dodał Golsingh zupełnie innym tonem. – Nawet gdybym... spełnił twoją prośbę... Nie mógłbyś przecież... – Król spojrzał na swoje ręce, potem na Krite, ale cały czas kątem oka obserwował Hansena. – Nie mógłbyś przecież dokonać czegoś takiego... Prawda?

Ten tylko się uśmiechnął.

– Pewnego dnia, milordzie – powiedział – znajdziemy razem sposób, abyś mógł dać mi to, o co proszę... I wtedy ja dam ci królestwo, jakiego pragniesz. – Odwrócił się, żeby wrócić na swoje miejsce. – Oczywiście, jeżeli tylko przeżyjemy wystarczająco długo – dodał.

Twarcz Golsingha nie wyrażała nic. Ale Krita uśmiechała się drapieźnie... Unn także.

Chłód zimy w świecie Rubinu był przeszywający. Wiatr przebijał cienki materiał galowego munduru inspektora generalnego kryształkami lodu jak miniaturowymi skalpelami.

Kompania piechoty stojąca przed nim na baczność odziana była w mundury polowe w kamuflującym kolorze brudnego śniegu. Twarze żołnierzy były tak samo pozbawione emocji jak wycelowane w Fortina lufy dział czołgów stojących pomiędzy karłowatymi świerkami. Kobieta w mundurze oficerskim z opaską na prawym oku wystąpiła z szeregu i zaszalutowała.

– Sir! – zaczęła. – Jestem major Fernandez, dowodzę pańską eskortą. Najwyższa Rada została już powiadomiona. Podążają właśnie na miejsce spotkania.

Pancerze czołgów pokryte były naroślami i wypustkami broni, sensorów i różnorodnych systemów obronnych. Śnieg zbierał się na pancerzach, wspomagając jeszcze kamuflaż wielkich wozów bojowych. Śnieg nie topniał, co znaczyło, że urządzenia kontrolujące emisję ciepła z wnętrza kadłuba były doskonałe. Jak zresztą wszystko w Rubinie, co miało jakiś związek z bronią i narzędziami wojny.

– Doskonale, majorze Fernandez – odparł Fortin, nie zadając sobie nawet trudu, aby oddać salut. Ruszył w stronę najbliższego transportera opancerzonego. – Zatem zaczynajmy.

Na rozkaz Fernandez żołnierze rozbiegli się w stronę transporterów, wydając okrzyki potwierdzenia. Czyniony przez nich hałas nie maskował całkowicie wycia silników hydraulicznych, obracających wieże dział czołgów, które śledziły każdy krok Fortina. Każdy gość stanowił dla Rubinu potencjalne zagrożenie, North był świętym bogiem wojny, ale bezpieczeństwo było ważniejsze nawet od niego.

Choć wewnątrz pojazdu nie wiał kłujący lodem wiatr, metalowa rama fotela Fortina była zimna. Transporter opancerzony wystartował niezgrabnie, skręcając ostro na prawą burtę. Uśmiechnął się. Gdyby naprawdę zależało mu na tym, aby wiedzieć, dokąd go zabierają, SI w metalowych obszyciach munduru udzieliłaby mu na ten temat wszelkich informacji. To, dokąd jaką trasą się udają, nie miało żadnego znaczenia. Fortin był jednak rozbawiony faktem, że jego gospodarze za każdym razem obierają inny kurs na inne miejsce spotkania. Miejsce, które z poprzednim miało tylko tyle wspólnego, że było pozbawionym życia wulkanicznym pustkowiem, oddalonym najbardziej, jak to tylko możliwe od jakiegokolwiek istotnego dla bezpieczeństwa Rubinu obiektu.

– Proszę się przygotować na wstrząsy, sir – zapowiedziała Fernandez, zamykając inspektora generalnego silnym ramieniem w uprzęży fotela, kiedy transporter gwałtownie obniżył pułap. Oprócz oka kobiecie brakowało również dwóch palców.

Żołądek Fortina skurczył się w uczuciu mdlącej przyjemności, jak wtedy, kiedy uświadomił sobie, że lufy dział czołgowych śledzą każdy jego krok i w każdej chwili mogą rozerwać go na strzępy pociskami odłamkowymi. Tę niemal erotyczną satysfakcję dawało mu nie tyle niebezpieczeństwo, co myśl o tym, że mógłby nagle zaistnieć wszechświat bez niego.

Silniki napędowe zawyły pełną mocą, a ich ryk odbił się zwiłokrotnionym echem wewnątrz ścian transportera. Wszelki ruch poza wibracjami nagle ustał, a potem transporter opadł na ziemię. Fernandez otworzyła właz transportera, jednocześnie odblokowując uprzęż bezpieczeństwa inspektora. Fortin wysiadł.

Burty transportera nie otworzyły się, bo w wąskiej bruździe, w której wylądował, nie było na to miejsca. Dwaj żołnierze piechoty stali naprzeciw niego z uniesionymi karabinami szturmowymi.

Dwadzieścia metrów wyżej, na brzegu kanionu stały na trójnogach dwa działka plazmowe, których ostrzał mógł w razie konieczności zamienić w parę cały transporter.

– W porządku, opuścić broń – rozkazał stojący za żołnierzami pułkownik. – Proszę tędy, sir. Rada oczekuje pańskiego przybycia.

Ruchome centrum dowodzenia Rady stało pięćdziesiąt metrów dalej za załomem kanionu, niewidoczne z transportera. Znad krawędzi wiatr nawiał półmetrową warstwę śniegu. Wysokie buty były elementem bojowego uniformu pułkownika, ale Fortin miał na sobie wypolerowane do połysku półbuty. Śnieg przeniknął do środka, lecz on tylko się uśmiechnął, czując nieprzyjemny chłód. Marszałek Czerny wychylił się przez drzwi w burcie.

– Proszę na pokład, sir – rzucił. Jego głos brzmiał tak, jakby nalano mu do gardła ługu, ale to musiała być sprawa wieku.

– Cieszymy się, że znowu pan nas odwiedził.

Spośród piątki marszałków zgromadzonych wokół stołu Moro i Stein wyglądali staro, a Czerny wyglądał na starego jak świat. Tadley i Kerczuk zniknęli, zastąpieni przez nowych oficerów o nazwiskach Breitkopf i Lienau. Obaj byli w średnim wieku, smukli jak wilki, z rysami, które wydawałyby się zbyt okrutne nawet dla rekinów.

Fortin był bogiem, czas nie znaczył dla niego nic, ale dla narzędzi, którymi się posługiwał, oznaczał rozkład i śmierć. Pomimo arogancji ludu Rubinu wszyscy musieli w końcu umrzeć. Nie obchodziło jednak ich to, dopóki funkcjonował system, któremu służyli.

– Siadajcie, towarzysze – powiedział inspektor generalny.

– Przybyłem, aby zobaczyć, jakie poczyniliście postępy w planowaniu zadania, które wam zleciłem.

Fortin znał odpowiedź, zanim jeszcze zadał pytanie. Uśmiechy, których nie mogła ukryć nawet dyscyplina, wilcza radość w oczach ponad lśniącoymi ryngrafami to oznaki sukcesu.

Wszyscy marszałkowie spojrzeli na Moro. Ten rozsunął palce, jakby chcąc obejrzeć paznokcie.

– Wydaje się nam, że możemy mieć już – teoretyczne, oczywiście – rozwiązanie problemu. Najpierw użyliśmy GKB, Głównego Komputera Bojowego, żeby zlokalizować cel...

– Aby zlokalizować przestrzeń, którą zajmowałby, gdyby faktycznie istniał – wtrącił Breitkopf zadziwiająco miękkim głosem. – Cel oczywiście jest niemożliwy do obserwacji.

– Dla nas – dodał Stein.

– I był to spory problem – kontynuował Lienau – ponieważ nie mogliśmy namierzyć punktu doskonałej równowagi pomiędzy czasoprzestrzeniami.

– Ta równowaga stanowiła klucz – powiedział marszałek Czerny swym trupim głosem. – Marszałek Moro wyliczył...

– GKB wyliczył – poprawił go Moro, poruszając palcami w geście protestu, nie potrafiąc jednak ukryć nutki dumy w głosie. – Ja tylko zasugerowałem odpowiednie parametry.

– Marszałek Moro wyliczył – ciągnął Breitkopf – że statystyczna identyczność Rubinu i celu mogłaby zostać przekonwertowana na identyczność fizyczną.

– Że jeśli udałoby się wprowadzić Rubin w przestrzeń fazową celu – wyjaśnił Moro – to faktycznie stalibyśmy się celem.

– I zniszczyli jednocześnie wszystko, co się tam aktualnie znajduje. Wyrzucili wszystko poza wszechświat. – Odkaszlnął lekko, aby zaraz dostać ataku o takiej mocy, że jego koledzy odwrócili się w stronę swych wyświetlaczy, udając, że nie słyszą.

– Poza wszechświat, powiadacie – odparł Fortin. – To znaczy dokąd?

Lienau uśmiechnął się.

– W miejsce, którego nie potrafimy sobie nawet wyobrazić, sir. Poza horyzont zdarzeń, można by rzec. A na pewno poza grę.

– Rubin znajduje się w stanie dynamicznej równowagi z celem, oczywiście zakładając, że cel istnieje – powiedział Stein. – Jeżeli usuniemy cel, nasz segment czasoprzestrzeni pozostanie w równowadze statycznej z resztą wszechświata.

– Co oczywiście jest całkowicie bezpieczne – dodał Moro.

Czerny odchrząknął. Nikt poza Fortinem nie patrzył na starego żołnierza, póki ten nie zdołał przemówić.

– Bezpieczeństwo Rubinu musi oczywiście pozostać naszym głównym celem, sir.

– Podobnie jak pańskim – dodał Breitkopf, nie zdając sobie sprawy z rozmiarów swej pomyłki.

– Mówicie, wprowadzić w przestrzeń fazową – myślał głośno inspektor generalny, oglądając swe idealnie utrzymane paznokcie. – Jak proponowalibyście to uczynić, gdybym zdecydował się wydać rozkaz przeprowadzenia operacji?

– Bardzo prosto, sir – wyjaśnił Stein. – Moro uważa, że to tylko kwestia odwrócenia biegunów magnetycznych.

– GKB wskazuje, że to byłoby najlepszą strategią działania – potwierdził sam Moro, koncentrując się na hologramowym wyświetlaczu dostrojonym w taki sposób, że widział go tylko on.

– I to właśnie komputer kontrolowałby przepływ energii niezbędny do dokonania przejścia.

– Musiałoby to nastąpić w pozytywnej części naszej fazy – uzupełnił Breitkopf. – Inaczej... – Przeciągnął palcem po swym chromowanym ryngrafie. Na jego hardej twarzy był uśmiech, ale tuż za oczami czaiło się szaleństwo na myśl o podjęciu działania, które zamiast celu zniszczyłoby Rubin.

– Jak rozumiem, przed przystąpieniem do realizacji planu poczynione muszą zostać przygotowania i wyliczenia fizyczne – stwierdził Fortin.

Czerny roześmiał się upiornie i aż zgiął się z bólu. Nikt się nie odezwał. Czerny wyprostował się powoli.

– Konieczne są bardzo szeroko zakrojone przygotowania, sir. I zostały już zakończone.

– Nie mogliśmy być pewni, kiedy znowu nas pan odwiedzi, inspektorze – powiedział Moro. – Zdecydowaliśmy się więc spędzić czas na przygotowaniach.

– Pozostaje tylko konieczność wydania przez pana rozkazu wykonania planu – dodał Lienau.

Fortin poczuł, jak czas zatrzymuje się; dla niego samego, dla Rubinu... dla wszystkich wymiarów Matrycy. Był to moment rozejścia się ścieżek prawdopodobieństwa i zbliżenia się ich nieuchronnych końców.

– Doskonale, towarzysze – rzekł. – Wykonać.

Jego twarz drgnęła. Zaczął się śmiać, coraz głośniej i głośniej, aż oczy zamglily się mu pod wpływem mdlącego uczucia oczekiwania w żołądku.

Pierwszej nocy ekspedycji przeciwko lordowi Thrasey armia Golsingha obozowała w lesie. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał Hansen po przebudzeniu, była para z jego ust. Śnieg dostał się pod futra, którymi był okryty, a zasnute ponurymi chmurami niebo zapowiadało dalsze opady. Niewolnicy przygotowywali właśnie długie paleniska i posiłki, kuce rżały z cicha. Hansen zaklął, podrapał się i wstał. Nie zmarł w kokonie ciepłych futer, ale twarda i nieregularna ziemia sprawiła, że cały był obolały i zeszywniały.

Obóz rozłożono w dolinie zarośniętej sosnami, których pnie wystawały zaledwie dwa metry nad ziemię. Podczas surowej zimy kilka lat temu śnieg przykrył ziemię całunem właśnie do tej wysokości. Reszty dokonała lawina, która zeszła ze szczytów niezbyt odległych gór, ścinając pnie tuż nad ochronnym pancerzem zmarzniętego śniegu.

Hansen niepewnie spojrzął w górę, ale wysokie skały były w większości nagie i chyba zbyt odległe, aby znowu dojść miało do podobnej katastrofy. Ich widok przypomniawszy mu jednak, żeby nieustannie się pilnować, jak wtedy, kiedy dowodził siłami specjalnymi na Zwiastowaniu.

Shill siedział na zwalonym pniu drzewa obok ogniska i gapił się w kubek trzymany w dłoniach. Komisarz pstryknął palcami na niewolnika.

– Coś gorącego do picia! – zażądał i usiadł obok starszego wojownika.

Ten obdarzył go nerwowym uśmiechem, jakby oczekiwał, że Hansen przywita go kopniakiem. Na czole starego pojawił się siniak po jednym z ćwiczeń, jakie przybysz ze Zwiastowania zafundował jemu i Mahargowi.

– Zastanawiałem się – zaczął Hansen, biorąc od niewolnika kubek – kto trzymał straż dzisiejszej nocy?

– Straż? – ze zdziwieniem powtórzył Shill. – A przed czym mieliby stróżować?

Hansen właśnie takiej odpowiedzi oczekiwał, ale zeszłej nocy był zbyt zmęczony, aby się sprawą bliżej zainteresować. Kiedy jest się obolałym od treningu i nieznanego wysiłku jazdy na kucu, łatwo przekonać samego siebie, że wszystkim zajmie się ktoś, którego obowiązki to przewidują. I tak zresztą nie było nic, co mógłby zmienić w utartej już tradycji. Nadal zresztą był obolały i najchętniej pozostawiłby wszystkie obowiązki ludziom, do których one należały.

– A gdyby lord Thrasey zaatakował nas w nocy? – spytał, chcąc po prostu poznać zdanie reprezentanta ogólnych opinii, panujących w tej żalostnej parodii armii.

Starszy wojownik był autentycznie zaskoczony.

– Jak to? – spytał. – Nikt przecież nie walczy w nocy. Poza tym pole bitwy jest o milę stąd. Choć myślę, że będziemy musieli założyć pancerze i przejść ten kawałek drogi na własnych nogach – dodał ponuro – na wypadek, gdyby Thrasey postanowiło zaskoczyć nas szybkim atakiem.

Hansen powoli sączył zawartość kubka. Był to świeży miód pitny lub być może słodzone miodem wino; w każdym razie wystarczająco kaloryczne, aby kwalifikować się jako posiłek. I ciepłe dzięki ogrzaniu w podgrzewaczu ze skórzanego worka, najbardziej zaawansowanego urządzenia, jakie widział w Świecie Norma, poza pancerzami wspomaganymi, rzecz jasna.

– To miejsce i czas bitwy zostały już wyznaczone? I tak jest zawsze? – pytał, trawiając te informacje.

– Jasne. – Stary przytaknął ruchem głowy. – A jakżeby inaczej? – Wskazał coś gestem. Na odległym, południowym zboczu doliny rosły sporych rozmiarów drzewa. Pomiedzy ich gałęziami

wisiała mgła, nie do odróżnienia od gorzkiego dymu snującego się znad palenisk obozu. – Do diabła – powiedział. – Moglibyśmy przecież tygodniami włóczyć się tutaj i nigdy nie znaleźć wojska z Thrasey, a oni nas.

Grupa konnych kuszników dosiadała właśnie kuców. Kiedy siedzieli już w siodłach, niewolnicy podawali im broń: napinane lewarami kusze lub trzymetrowej długości lance. Część z nich zdążyła już odjechać. Zwiad wydawał się tak samo pozbawiony dowodzenia i organizacji jak wszystkie inne aspekty przygotowań do bitwy.

Hansen wypił resztę miodu jednym łykiem.

– Jadę z nimi – wymamrotał.

– Po co chcesz to robić? – zdziwił się Shill.

– Bo uważam, że ktoś w tej armii powinien wiedzieć, co nas czeka – odwarknął i rozejrzał się dookoła. – Oddałem kuca dwóm niewolnikom do rozsiodłania i karmienia. Gdzie mogli się podziać? – spytał.

– Jeśli naprawdę chcesz jechać – radził Shill – weź jednego z tych tu. – Wskazał na grupkę zwiadowców, wsiadających na wierzchowce. – Są już osiodłane.

– Racja, dzięki – powiedział komisarz, ruszając w stronę koni.

Starszy wojownik potrząsał nadal głową w zdumieniu.

– Czasem zastanawiam się, skąd naprawdę przybyłeś – zawołał.

Hansen odwrócił się do niego.

– Czyli wszystko się zgadza – odparł – bo ja cały czas się zastanawiam, gdzie, do cholery, przybyłem.

Dowódcą szóstki zwiadowców był mężczyzna imieniem Brian. Był to człowiek mniej więcej w wieku Hansena, małomówny i spokojny, którego Hansen chętnie widziałby jako dowódcę jednostki na Zwiastowaniu.

Pozostali byli młodzikami; wszyscy mieli około dziewiętnastu lat. Mocno szarpali uzdy koni i przechwalali się, co zrobią ze zwiadowcami i wojownikami z Thrasey. Ponieważ jednak konni byli mniej niż mięsem armatnim w starciu z wojownikami w pancerzach wspomaganych, Hansen oczekiwał, że ich entuzjazm szybko wyparuje, a głupia paplanina zwyczajnie go irytowała.

Jechali wśród drzew, nasłuchując okrzyków zwiadowców, którzy opuścili obóz wcześniej, i czasem napotykając ślady kopyt w śniegu. Kilometr za obozowiskiem płytka dolina, którą ludzie Golsingha przybyli z Kamienia Pokoju, otwierała się na szeroką równinę.

Śnieg był tu głębszy niż między drzewami i miażdżył pożółkłą trawę, która miałaby normalnie kilka metrów wysokości. Widoczność była niewielka, bo choć równina zdawała się ciągnąć w nieskończoność we wszystkich kierunkach, małe wzgórza i pofałdowania wyrastały na niej jak kretowiska, ograniczając zasięg wzroku do kilkuset metrów.

Przekroczyli zamrznięty strumień. Brzegi były proste i wysokie na niewiele ponad metr, ale wierzby i trzciny rosły na nich tak gęsto, że kuce musiały przedzierać się pomiędzy nimi. Wierzchowiec Hansena najwyraźniej nie chciał ryzykować zamoczenia kopyt. W rezultacie komisarz kopnął go kilka razy w żebra i zaczynał właśnie żałować braku ostróg, kiedy kuc zdecydował się w końcu klusem przebiec wąską strugą, i o mało nie stracił zaskoczonego tym jeźdźca.

Za szczytem wzgórza, za strumieniem widoczne były futrzane czapy. Młodszy zwiadowcy ruszyli galopem, pohukując i pokrzykując radośnie. Brian ruszył za nimi, napominając ich, aby zwolnili. Hansen złapał się lęku rękoma, żeby nie wypaść z siodła, i pozwolił swemu wierzchowcowi galopować. Było niemal wykluczone, aby tak niewprawny jeździec jak on mógł kontrolować zwierzę.

Kiedy dotarli do szczytu wzgórza, ujrzeni dwóch jeźdźców z Thrasey galopujących z powrotem w stronę obozowiska, położonego półtora kilometra dalej, na kolejnym wzgórzu. Jeden z konnych odwrócił się i strzelił z kuszy w stronę prześladowców. Dwóch z ludzi Briana odpowiedziało, strzelając w jego stronę. Na otwartej przestrzeni odgłos zwalnianych cięciw był głuchy. Żaden z bełtów nie przeleciał nawet w pobliżu celu.

Hansen zwolnił bieg kuca, aby wycelować. Brian krzyknął jakieś ostrzeżenie, które wskazywało, że zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa przebywania na otwartej przestrzeni. Mimo to wraz z pozostałymi jeźdźcami dalej ścigał zwiadowców lorda Thrasey.

Więcej jeźdźców pojawiło się od strony obozu i z prawej strony równiny. Obozowisko lorda Thrasey było tak samo rozciągnięte i pozbawione jakichkolwiek umocnień jak Golsingha. Olbrzymie sylwetki mamutów wałęsały się tu i ówdzie w małych grupach, zgarniając śnieg ze stepu i unosząc trąbami do pysków kępy trawy.

Oddział Golsingha przywiózł z sobą paszę dla zwierząt pociągowych. Armia lorda Thrasey musiała przywieźć zapas opału, bo nad jego obozowiskiem wisiała zasłona czarnego dymu.

Blade słońce odbijało się od pancerzy polerowanych przez niewolników. Pancerzy zdawało się być bardzo dużo... Więcej niż wojowników w armii Golsingha.

Dwóch jeźdźców z obozu dołączyło do dwójki, którą ścigali ludzie Briana. Czterech jeźdźców zawróciło na spotkanie z pogonią.

Grunt pomiędzy obozem wojsk z Thrasey i wzgórzem, na którym zatrzymał się Hansen, był płaski i tak samo idealny jako pole bitwy jak wnętrze amfiteatru. Z lewej strony ograniczał go strumień, a z prawej łagodne wzniesienie. Hansen poczuł się jak w łoży.

Jeden ze zwiadowców z Thrasey uniósł kuszę i strzelił. Czarna kreska bełtu pofrunęła w stronę Briana i minęła go, lądując w wysokiej trawie. Komisarz zdążył pomyśleć, że zdawało mu się tylko, że Brian został trafiony, ale wtedy właśnie dowódca zwiadowców pochylił się w siodle i wypuścił lancę. Dwaj kusznicy po stronie Briana próbowali właśnie nerwowo napiąć cięciwy. Dowódca musiał wydać jednak rozkaz, którego komisarz z powodu odległości nie dosłyszał, bo po chwili razem z pozostałymi jeźdźcami ruszył z powrotem w stronę strumienia. Ludzie z Thrasey podążyli za nimi. Jeden z ludzi Briana odwrócił się i potrząsnął lancą. Kilometr dalej następna grupa jeźdźców wypadła pomiędzy wierzb i zarośli na brzegu strumienia.

Hansen wątpił, aby ktokolwiek był zdolny w tej chwili osądzić, po czyjej stronie są nowo przybyli. Patrol wojsk lorda Thrasey zawrócił powoli w stronę obozowiska.

Kuc komisarza schylił łeb i zaczął pogryzać trawę. Kiedy jeźdźcy zbliżyli się, zerknął na nich jednym okiem bez szczególnego zainteresowania. Młodzi zwiadowcy byli zarumienieni potyczką, dyszeli ciężko. Brian miał ponurą minę. Lewy rękaw tuniki miał urwany, prawą ręką ścisnął biceps.

– Pokaż mi to – polecił Hansen, popędzając kuca, aby podjechać bliżej.

– Łajdaki – mruknął Brian.

Chmury zasnuły niebo. Drobnymi płatkami zaczął padać śnieg. Od świtu temperatura spadła o stopień lub dwa.

Hansen odsunął palce zwiadowcy od głębokiej, poszarpanej rany. Krwawiła mocno, ale grot o kwadratowym czubku nie naruszył żadnej tętnicy ani nie zmiażdżył kości. Uciskając tylko ranę, bez opatrunku, Brian zdążyłby się już wykrwawić, gdyby bełt trafił w tętnicę.

– Dobra – powiedział Hansen, zaciskając palce Briana na powrót na ranie. – Czy w obozie jest jakiś medyk albo uzdrowiciel?

– Stary Jepson czasami nastawia kości – odparł jeden z młodszych zwiadowców.

– A potrafi zszywać rany? – spytał, ale nie rozumiejące spojrzenia stanowiły najlepszą

odpowieź.

Większość ran, jakie odnosili wojownicy w Świecie Northa, była śmiertelna, choć natychmiast przypalał je żar wiązek energetycznych. Niewiele mogłyby poradzić na nie nawet najlepsze placówki medyczne na takim na przykład Zwiastowaniu, poza ewentualnym przeszczepem kończyny. Ale w tym społeczeństwie nikt nie przejmował się ranami odnoszonymi przez zwiadowców czy niewolników.

– Dobra. Ty – komisarz wskazał zwiadowcę na najszybszym kucu. – Jedź do obozu najszybciej, jak potrafisz i namocz swoją koszulę we wrzątku. Szybko!

– Co?

– Posłuży za bandaż. Jedź już, do diabła!

Zwiadowca nie zrozumiał celu rozkazu, ale usłyszał wyraźnie groźbę w głosie Hansena. Wbił dzwoniące kółka ostróg w boki konia i ruszył kłusem w stronę obozu.

– Nic mi nie jest – powiedział Brian. Kolanami ostrożnie nakazał kucowi powolny chód. – Łajdaki.

– Jasne – zgodził się z nim komisarz. – Niech jeden z was upewni się, że wracamy najkrótszą drogą.

Gdyby mógł zaufać własnym zdolnościom jeździeckim, próbowałby podtrzymać Briana w drodze do obozu, choć raniony dowódca zdawał się całkiem nieźle sobie radzić. Woskowy kolor skóry Briana był w tej chwili głównym problemem. Rana nie była śmiertelna, ale szok mógł w dużej mierze dokonać dzieła. Brian popędził kuca do truchtu. Wodze trzymał luźno w lewej dłoni.

– Tooley jest w obozie wojsk z Thrasey – powiedział głośno, instynktownie przeczuwając, że jeśli podda się senności, to już się nie ocknie. – Widziałem jego zbroję, czerwono-białą.

– Niemożliwe – stwierdził jeden z jego ludzi. Hansen zaciskający konwulsyjnie palce na wodzy zastanawiał się, jak oni potrafią jednocześnie kierować koniem i rozmawiać. – Przyłączył się przecież niedawno do hrabiego Rolfa?

– Frekka – powiedział Brian. – Pokłócił się latem z Rolfem i wyjechał do Frekki. Holroyd i Finch także dali się wynająć kupcom z Frekki. Ich zbroje też widziałem w obozie.

Śnieg padał teraz gęściej, ale wrócili już między drzewa i ich igły przechwytywały część płatków. Blokowały także większość promieni słońca. Hansen spodziewał się, że będzie musiał zwiększyć jasność obrazu wyświetlacza zbroi.

– Finch nie jest znowu taki groźny – stwierdził inny z jeźdźców. – Holroyd też nie.

– Ale Tooley jest cholernie dobry – wtrącił Brian. Musiał mocno cierpieć, choć jazda chyba nie pogorszyła jego stanu, wręcz przeciwnie, zdawał się wyglądać nieco lepiej. – I jest ich dużo, drani. Zdawało mi się, że Thrasey zdoła wynająć sześćdziesięciu, najwyżej osiemdziesięciu.

– Jest ich tam więcej – powiedział jeden z młodzieńców, pomimo braku dyscypliny mieli dość doświadczenia i inteligencji, aby być dobrymi zwiadowcami.

– Jest ich co najmniej stu dwudziestu – zgodził się Brian ponuro. Widzieli już obóz. W pobliżu ognisk wojownicy zakładali już zbroje. – Oczywiście – dodał – król i lord Taddeusz pozamiatają nimi step tak czy inaczej.

Może w jego głosie byłoby więcej pewności, gdyby nie rana wysysająca z niego siły.

W każdym razie Hansen miał swoje wątpliwości.

Hansen dojrzał kolorowy pancerz Malcolma z lewej strony obozowiska. Towarzyszyli mu Shill i Maharg.

Wojownicy o niskim statusie byli natychmiast uznawani za mięso armatnie przez kiepskie wykończenie pancerzy. A łatwo byłoby to zmienić; wystarczyłoby tylko zetrzeć farbę do gołego

metalui i pozostawić identyfikację sztucznej inteligencji pancerza.

Hansen uświadomił sobie, że powinien był pomyśleć o tym wcześniej. Nie zdąży już zrobić nic w tej sprawie przed bitwą. Coraz bardziej obawiał się, że na wszystko może być już za późno. Ześlizgnął się z siodła i puścił kuca na trawę, otwierając jednocześnie zbroję. Rzucił futrzaną opończę na zwój skór zostawiony tu przez któregoś z niewolników i zaczął zdejmować spodnie.

Wiatr był zimny, ale wewnątrz zbroi będzie znacznie zimniejsze, dopóki pancerz nie rozgrzeje się do temperatury bojowej, co mogło zabrać jakieś dziesięć minut. Odwlekanie sprawy nie mogło tu niczego zmienić. Hansen wszedł do środka pancerza i zamknął płytę tułowiową. Technologiczne otoczenie uspokajało go bardziej, niż się tego spodziewał. Wiedział, że jego miejsce nie jest tu, w tym feudalnym muzeum, za jakie uważał społeczeństwo Świata Northa, ale większość życia spędził w jakimś rodzaju pancerza wspomaganego. A może po prostu sam siebie oszukiwał. Zdecydowanie bardziej pasował do tutejszego świata niż do Diamentu.

– Zdalny podgląd, ćwierć, Malcolm – powiedział, uruchamiając funkcje zbroi i wypróbując je, zanim jeszcze okażą się naprawdę potrzebne. W prawym górnym rogu wyświetlacza ujrzał w zmniejszonej skali to, co widział w tej chwili weteran. Malcolm rozmawiał właśnie z Lamullem, dowódcą lewego skrzydła sił Golsingha. Ojciec zostawił Lamullowi doskonałą zbroję, pomalowaną w czarne i brązowe pasy, ale on odziedziczył niewiele, z jego agresywnej ambicji. Hansen przypuszczał, że właśnie ten brak ambicji bardziej niż jakość zbroi przemawiał w oczach Taddeusza za Lamullem. Śnieg padał gęsto. Komisarz ściągnął wargi i rozejrzał się dookoła. – Oznacz Golsingha – powiedział i pozwolił SI zająć się sprawą. Znak pulsujący na wyświetlaczu wskazywał, że król stał ukryty wewnątrz grupy około dwudziestu wojowników, w większości świetnie uzbrojonych. – Zdalny podgląd, ćwierć, Golsingh – komenderował, ruszając w kierunku grupy. Golsingh i Taddeusz słuchali właśnie Briana.

– ...i wielu z nich było wcześniej we Frekce, Thrasey musiało podkupić ich w ciągu ostatnich dwóch tygodni – mówił dowódca zwiadowców. Jego lewe ramię było na temblaku. Jeden z podwładnych stał w pobliżu, gotów podtrzymać dowódcę w razie potrzeby.

Hansen miał nadzieję, że jako bandaży użyto czystej tkaniny, ale tak naprawdę niewiele więcej można było poradzić. Zwiadowca popełnił błąd w swym założeniu, nieważny z punktu widzenia taktyki, ale ogromnie istotny strategicznie. Lord Thrasey nie wynajął najemników z Frekki. Przysłano mu ich w darze. Był gotów założyć się o własne życie. Oczywiście, mógł szybko nie mieć czego postawić, chyba że sprawy potoczą się dziś inaczej, niż się zapowiadały.

– To nie ma znaczenia – powiedział Taddeusz pogardliwie. – Nikt, kto wynajmuje się na służbę u kupca, nie ma znaczenia.

Hansen zbliżył się do zewnętrznej części kręgu wysokich rangą wojowników. Położył rękawicę na ramieniu jednego z nich, mając nadzieję, że zostanie przepuszczony, ale wojownik poruszył się tylko, odpychając go.

– Pamiętam Tooleya – rzekł zamyślony Golsingh. – Spotkałem go kilka lat temu. Miał paskudny charakter, ale nie lekceważyłbym go jako wojownika.

– Kanał dowodzenia – polecił Hansen SI pancerza.

Nie powinien mieć dostępu do kanałów zarezerwowanych dla najwyższych rangą, ale nikt poza nim w całej tej armii nie wiedział, jak uruchomić komunikację wewnętrzną, nie mówiąc o blokowaniu dostępu.

– Nie martw się, panie... – mówił właśnie Taddeusz, kiedy w jego słuchawkach rozległ się głos Hansena.

– Przepraszam, że przeszkadzam, lordzie Golsingh, ale...

– Kto śmiał?! – ryknął Taddeusz. Wszyscy używali wzmacniaczy i głośników w hełmach zamiast doskonałych nadajników i odbiorników radiowych. – Hansen, czy to ty?!

– ...ale przyjrzałem się polu bitwy i jest sposób, aby łatwo ją wygrać, zwłaszcza teraz, w warunkach słabej widoczności.

Ze środka grupy wojowników wystrzelił w górę promień energetyczny.

– Taddeusz? – spytał król niepewnie.

Krąg rozpadł się nagle jak rozchodzące się na powierzchni wody koła. Hansen także zaczął się cofać.

– Lordzie Taddeuszu, proszę – zaczął – teren...

Broń wodza uderzyła. Komisarz uskoczył. Promień, choć wydłużony do trzech metrów, zawył mu w hełmie i uderzył jak bicz, zamazując obraz na wyświetlaczu. Upadł. Taddeusz wyłączył wiązkę zamiast się zbliżyć.

– Jeśli usłyszysz cię dzisiaj jeszcze raz, zabiję. Odejdź! – powiedział wyraźnym tonem, groźniejszym jednak od krzyku.

Krąg wojowników ponownie zamknął się wokół wodzów.

Hansen wstał. Jego pancerz nie był uszkodzony, tylko farba zesła z większości napierśnika. Bywał już wcześniej tak wściekły. Zaczął iść w stronę Malcolma i lewego skrzydła. Naprawdę bywał już wcześniej tak wściekły. Zawsze czuł się lepiej po tym, jak kogoś zabił. Wkrótce miała się nadarzyć sposobność.

W obozie zagrały trąbki. Zwiadowca stojący w pobliżu Lamulla wyjął róg spod futrzanej opończy i zadął w niego krótko, dwa razy.

Z daleka, zimno jak sam wiatr, zabrzmiały trąby w obozie lorda Thrasey.

Niebo zasnuwane było ponurymi chmurami. Lewa część naramiennika zbroi Hansena została naprawiona, ale nie pomyślał o wymianie skórzanej wyściółki. Za każdym razem, kiedy jego skóra dotykała skorupy, odczuwał pieczenie jak przy oparzeniu. Wojownicy poruszali się w małych grupkach, formując coś w rodzaju linii.

– Maharg – odezwał się komisarz. – Shill. Za mną. Mamy bitwę do wygrania. – Czasami, kiedy Hansen czuł się tak, jak w tej chwili, walił z całej siły pięścią w ścianę. Niestety, cios pancernej rękawicy przewróciłby każde ze stojących w pobliżu drzew. Złączył dłonie. Wibracja stykających się metalowych powierzchni wywołała dzwonienie, które przyciągnęło uwagę pobliskich wojowników, a ci odwrócili w jego stronę pozbawione wyrazu kule hełmów. – Musimy ją wygrać dla ludzi, którzy ni cholery na to nie zasługują – dodał z goryczą w głosie. Coś mówiło mu, że powinien się już przyzwyczaić do jej smaku. Shill i Maharg nadchodzili kołyszającym się krokiem. Hansen spojrzał na Malcolma. – Malcolm, chodź z nami. Jeśli pójdziesz w szeregu wraz z resztą, tylko dasz się zarębać. Jest ich zbyt wielu. – Skinął głową, nie wiedząc, czy gest ten był widoczny spod zbroi.

– Ruszamy – zawołał przez ramię Lamullo. Oddział pancernych wojowników wszedł między drzewa. Na razie jeszcze pomiędzy wojownikami kręcili się konni kusznicy.

– Nie – powiedział Malcolm, a potem ostro powtórzył: – Nie!

Zamiast jednak dołączyć do tyraliery lewego skrzydła, odwrócił się do Shilla i Maharga.

– Wy dwaj. Idźcie z nim, jeśli chcecie. I róbcie, co wam karze, dobrze? Róbcie, co wam każe chłopak. Ale ja nie mogę. – Odwrócił się i ruszył za Lamullem długimi, dudniącymi krokami.

– Zdalny podgląd, ćwierć, Malcolm – rozkazał Hansen SI. – Jednostka lokalna, kanał zabezpieczony. – Jego uśmiech zza zasłony hełmu był niewidoczny dla towarzyszy, próbujących

zdecydować się, co robić. – Chodźcie, chłopaki – powiedział Hansen. – Mamy bitwę do wygrania.

Hansen poprowadził swój mały oddział prosto w koryto strumienia. W tym miejscu jego bieg zamienił się w wypłukane kamienie, lód i zbrązowiałe, puste łodygi zmrożonych trzciny. Trąbki nawoływały nieustannie, ale on zrozumiał już, że służyły bardziej zabawie konnych trębaczy niż wydawaniu komend i sygnałów. Wojownicy spierali się ze zdaniem króla w sposób bezpośredni albo po prostu je ignorowali, przynajmniej ci dysponujący rangą Taddeusza. Nie przyjęliby jakichkolwiek komend od zbrojnych niższego stanu.

Jeden z pozostawionych w obozowisku mamutów przyłączył się do kakofonii, wydając kilka przeszywających odgłosów, mających tyle samo znaczenia i melodii, co odgłosy wydawane przez ludzi.

– W ten sposób nie zbliżymy się do pola bitwy – powiedział Maharg. Potykali się i aby nie upaść, przytrzymywali się brzegu strumienia. – Taddeusz każe nas ściąć za dezercję.

– Dołączymy do bitwy – powiedział komisarz. – Koryto strumienia zakręca, znajdziemy drogę. Miał taką nadzieję. Jeśli to był inny strumień, będzie musiał się gęsto tłumaczyć. Choć podejrzewał, że niekoniecznie przed Golsingiem.

– Spóźnimy się – stwierdził Shill z nutką w głosie czegoś, co mogło być chyba zadowoleniem. Hansen parł naprzód. Jak długo pancerze jego podkomendnych nie musiały dostarczać mocy wiązkom i systemom obronnym, tak długo dorównywały szybkością jego jednostce. Nie był to przyjemny marsz, ale cóż, ich dowódca również nie bawił się najlepiej.

Wyszli na otwarty step, na którym stada mamutów, pasące się tu nieustannie, pozostawiły tylko płaską, pokrytą rzadką trawą ziemię. Koryto strumienia znajdowało się trochę poniżej poziomu stepu.

Hansen nie widział na razie niczego poza trzciniami i akacjami. Jego podgląd wyświetlacza Malcolma pokazywał główną linię armii Golsingha, pnącą się na wzgórze ponad polem bitwy. Mieli pod stopami łatwiejszy grunt, i, jak powiedział Shill, mocno wyprzedzali już grupę dowodzoną przez Hansena. Nie wyglądali jednak na armię. Wojownicy zebrali się w małe grupki, z potencjalnie bardzo niebezpiecznymi przerwami w linii. Byli mniej więcej tak samo zorganizowani jak kawałki prażonej kukurydzy nanizane na nitkę przez przedszkolaka.

Taddeusz z tuzinem podkomendnych prowadził prawą flankę. Dokładnie tak samo jak podczas bitwy z hrabią Lopezem. Najwyraźniej niczego się nie nauczył, co w ogóle komisarza nie dziwiło.

Hansen użył SI, by zidentyfikować poszczególne osoby. Nawet bez niezbędnej kompresji obrazu zdalnego podglądu miałyby problemy z odróżnieniem pancerzy. Niebo nie pojaśniało wcale od świtu, a śnieg padał coraz gęściej.

– Oznacz siły własne na niebiesko – mruknął, patrząc, jak na wyświetlaczu pojawiają się znaczki. Gdyby się obejrzał, zobaczyłby takie same znaczki nad hełmami Maharga i Shilla.

– Hej, wy dwaj – rozkazał. – Powiedzcie: „Oznacz siły własne na niebiesko”, jak was uczyłem.

– Zrobiliśmy to już – burknął Shill. – Jeszcze w obozie.

„Wielki Boże, uczą się!”.

– Czy moglibyśmy usiąść i odpocząć? – spytał nagle Shill. Mikrofon w hełmie wychwytywał jego ciężki oddech. – Do niczego się nie przydam, jeśli nie odsapnę krzyń.

– A kiedyś ty się do czegokolwiek przydał, Shill? – spytał złośliwie Maharg.

– Jeśli teraz się zatrzymamy, po przybyciu na pole bitwy będziemy mogli co najwyżej policzyć trupy – odparł Hansen. Czuł się tak, jakby przez cały ranek używano go jako manekina ćwiczebnego

do zapasów.

– Mnie tam pasuje – mruknął stary, ale szedł dalej. Wszyscy szli dalej, mimo że woda sięgała im do kolan. Chwilami szli przez lód albo potykali się o podwodne kamienie, ale szli. Brzeg znajdował się na wysokości pasa i był podmyty przez wodę. Korzenie zapewniały im bezpieczne uchwyty, kiedy ślizgali się w lodowatym nurcie.

Malcolm dotarł już na szczyt wzgórza. Oczami weterana Hansen patrzył, jak konni krzyczą coś i szarżują samym środkiem równiny. Jeźdźców lorda Thrasey było znacznie mniej. Cofnęli się natychmiast na widok nacierającego szeregu wojowników. Kusznicy strzelali w stronę jeźdźców i od czasu do czasu także w stronę pancernych. Trafiające bełty sypały iskry, płonąc w osłonach zbroi. Siły lorda przewyższały liczebnie armię Golsingha o co najmniej dwudziestu wojowników.

Daleko na prawej flance grupa wojowników z Taddeuszem na czele dudniącym biegiem ruszyła w stronę sił lorda Thrasey. Byli już dobre sto metrów przed trzonem sił Golsingha, a lewa flanką pod dowództwem Lamulla o tyle z tyłu.

Dzięki trudnej drodze i meandrom strumienia grupa Hansena; znajdowała się jakieś sto metrów za siłami Golsingha. Geometrycznie układ był doskonały, ale z punktu widzenia taktyki – najgorszy z możliwych.

– Szybciej – warknął komisarz. Zaczął biec. Jeżeli ten durny wódz mógł biec, on też to potrafił.

Shill upadł na twarz. Hansen odwrócił się, ale Maharg pomagał już starszemu wojownikowi wstać. Biegli korytem strumienia; jak wściekłe hipopotamy, krzesząc iskry na kamieniach i przeklinając co jakiś czas.

Prawe skrzydło lorda Thrasey także było wysunięte, dlatego obie armie starły się na całej linii. Pomiędzy ziemią i nisko wiszącymi chmurami załśniły wiązki energetyczne.

Hansen dostrzegł coś, co umknęło mu podczas leśnej bitwy zeszłego tygodnia: w momencie ataku każda linia wojowników rozpadała się na dwie odrębne. Odziani w najlepsze zbroje pancerni ścierali się z sobą w pierwszym szeregu, a pozostali w kiepskich pancerzach trzymali się mniej więcej dwa kroki za nimi.

Malcolm z odległości czterech metrów uderzył wiązką w przeciwnika w czarno-białej zbroi. Ten zablokował cios i zripostował. Obie zbroje były na tę odległość odporne na wiązki, ale żaden z walczących nie przejawiał chęci., aby zmniejszyć dystans. Trzech innych wojowników ubezpieczało czarno-białego zza jego pleców.

„Malcolmowi brakuje pewnie wsparcia Shilla i Maharga” – pomyślał Hansen. Nie żeby którykolwiek z nich do czegoś się przydawał, ale przynajmniej tam byli. Komisarz upadł. Shill wyciągnął do niego rękę, ale udało się mu już wstać, przytrzymując się korzeni.

Na skraju wyświetlacza Malcolma widoczny był Lamullo, opierający się z trudem natarciom wojownika w czerwono-białej zbroi. „To Tooley” – przypomniał sobie Hansen, ten o paskudnym charakterze, którego lepiej nie mieć przeciwko sobie. Lamullo dobrze sobie radził z blokowaniem ciosów, ale nie mógł kontratakować. Po każdej paradzie cofał się o krok.

Malcolm ruszył na swego przeciwnika z wrzaskiem. Wojownik lorda uskoczył do tyłu i wpadł na jednego z wojowników z własnej świty. Wiązka Malcolma zaskwierczała na wyciągniętym lewym ramieniu przeciwnika, strzelając iskrami na pancerzu. Ten zatoczył się w przeciwnym kierunku i upadł. Jeden z jego ochroniarzy przestąpił nad wodzem, aby go bronić. Malcolm ciął poziomo. Drugi wojownik przyjął wiązkę na własną, ale zabrakło mu mocy na zablokowanie jej. Weteran Golsingha rozwalił mu hełm i głowę, rozcinając ją niemal na pół. Następnie ciął na prawo, trafiając drugiego ochroniarza w staw biodrowy. Ten skurczył się jak rozgrzana płachta plastiku. Trzeci wojownik niskiej rangi odwrócił się, żeby uciec. Wiązka Malcolma odcięła mu stopy w kostkach.

Hansen zaklął. Zobaczył coś, czego Malcolm nie miał czasu lub możliwości dostrzec.

– Stójcie! – warknął do swych ludzi. Machnął ramieniem, aby zobaczyć cokolwiek ponad rzędem trzciny, ale te sterczały wysoko. Wiązka ścięła je w chmurze pary. Nie byli jeszcze tak blisko, jak chciał dotrzeć, ale bitwa przesunęła się w ich kierunku. Znajdowali się teraz na tyłach prawej flanki sił Thrasey. Najbliższy wojownik stał dwadzieścia metrów od nich, patrząc tylko na pole bitwy, a najbliższy pojedynek rozgrywał się jeszcze dziesięć metrów przed nim. Tooley przeskoczył nad ciałem Lamulla i ruszył z rykiem na Malcolma. – W porządku – powiedział, znowu spokojny. – Za mną.

Złapał za pień wierzby i zaczął się podnosić, ale korzenie wystrzeliły nagle z ziemi w chmurze piachu.

– Pozwól – rzekł Maharg i złożył razem dłonie, chcąc podsadzić Hansena. Ten postawił stopę w strzemieniu ze zbrojnych rąk i poczuł, jak jest wypychany w górę. Shill podążył za jego przykładem, a potem razem z Hansenem pomógł Mahargowi wydostać się na brzeg.

Dwóch jeźdźców z Thrasey patrzyło w zdumieniu, jak spomiędzy drzew wyłania się trzech wojowników. Spięli kuce i skoczyli w stronę bitwy, wykrzykując ostrzeżenia. Jakiś wojownik – chyba jeden z ludzi lorda – ściał ich obu tak samo jak wcześniej Hansen trzciny.

– Pamiętajcie – powiedział – kiedy znacznik zmieni kolor na czerwony, atakujemy razem. – Nie czuł już bólu mięśni, tylko ukłucia adrenaliny na wierzchach dłoni.

Zaraz postąpił jednak wbrew własnemu rozkazowi, atakując samemu najbliższego z wojowników z Thrasey, tnąc go tak głęboko między łopatki, że koniec wiązki wyszedł przez napierśnik, zanim Hansen zdążył go wyłączyć. Powalili jeszcze trzech następnych przeciwników, i to zanim czwarty zdążył się odwrócić. Wojownicy trzymający się z dala od serca bitwy mieli kiepskie broje. Wiązka Maharga wyłączyła broję czwartego z wrogów. Komisarz zabił go z czymś przypominającym niemal pogardę, jak gdyby ścierał z rękawicy krwi nawóz.

Potem uderzyli na pierwszą linię wojowników, nie spodziewających się ataku od tyłu. Trzej spośród najlepszych wojowników z Thrasey padli pod trzema wiązkami jak najemnicy na placu ćwiczebnym.

Powietrze cuchnęło ozonem i palonym mięsem. Śnieg zamazywał sylwetki trupów, ale nie mógł ukryć zapachu śmierci.

Załamująca się linia Golsingha odzyskała sztywność. Kilku spośród lepszych wojowników z lewego skrzydła dołączyło do Hansena i jego oddziału. Flanka lorda Thrasey zwracała się powoli w ich stronę.

Tooley zaryczał wyzwanie wzmocnionym głosem i skoczył na Hansena. Jego gęsta wiązka była intensywnie białobłękitna, mimo że rozwinięta na ponad metr.

„Malcolm musiał zginąć” – pomyślał komisarz.

– Atak! – wrzasnął, włączając własną wiązkę tuż nad rękawicą.

Skoczył bliżej przeciwnika, czego wcale nie miał ochoty robić, ale miał nadzieję, że Tooley nie spodziewał się tego. Shill i Maharg odskoczyli w tył pod gradem ciosów Tooleya. Hansen został sam. Wiedział, że nie zdoła sparować wiązki Tooleya nawet przy maksymalnym skupieniu własnej. Dlatego przechwycił wiązkę przeciwnika, gdy ten ciął w dół, pozwolił jej ześliznąć się po swej rękawicy, skrzętem ciała schodząc jednocześnie z drogi ciosu. Ich broje zderzyły się z trzaskiem. Wiązka energetyczna Tooleya uderzyła w błoto, wywołując chmurę pary. Prawe ramię Hansena zdrętwiało. Zadrzał, próbując desperacko utrzymać broń przeciwnika z dala od siebie.

Coś strzeliło iskrami w dole wyświetlacza Hansena. Wiązka Maharga zaiskrzyła na biodrowej części zbroi Tooleya. Czerwone i białe łuski farby strzeliły w górę, ale pancierz wytrzymał... Dopóki

Shill nie wśliznął się pomiędzy Hansena i Maharga. Stary uderzył w środek wiązki Maharga i zbroja wojownika lorda Thrasey poddała się z trzaskiem. Tooley upadł na wznak.

Hansen stracił równowagę i już padał na zwłoki, ale Maharg złapał go za ramiona i podniósł do pionu. Komisarz spróbował unieść prawe ramię. Z zaskoczeniem zobaczył, że nadal może nim poruszać, choć nic nie czuł od ramienia w dół. Odczuwał też chłód w klatce piersiowej i trząsł się na całym ciele.

Bitwa zamarła na moment. Wojownicy, którzy podążali za Tooleyem i ci z ludzi Golsingha, którzy powalili już swych przeciwników w ataku z flanki, czekali niepewnie. Hansen usiłował złapać oddech.

Malcolm powstał pomiędzy wojowników lorda Thrasey. Hełm i napierśnik miał szerniałe od uderzeń Tooleya. Można go było rozpoznać tylko po czerwono-błękitno-białych pasach na ramionach i nogach. Ściął najbliższego przeciwnika.

– Częstotliwość ogólna! – wydyszał Hansen. – Chodźcie, łajdaki! Za Golsingha i pokój! – Nie był pewny, czy to odpowiedni okrzyk bojowy, ale jedyną rzeczą, o której w tej chwili marzył, był właśnie pokój. I wiedział, że na tym polu walka się nie skończy, dopóki nie padnie ostatni z ludzi lorda Thrasey. – Atak! – krzyknął, namierzając przeciwnika, który na przemian uderzał w grupę Hansena i w Malcolma. Komisarz ciął, Shill i Maharg też, razem, tuż po dowódcy. Hełm wojownika zapłonął, gdy cios Malcolma trafił. – Naprzód!

Flanka wojsk z Thrasey padła. Wojownicy rzucili się do ucieczki, widząc, jak ludzie Golsingha nacierają na nich jednocześnie z boku i od frontu.

– Wracać, kupieckie psy! – ryczał Malcolm, krocząc przez linię wojowników załamującą się wokół niego. – Tchórzliwi najmici z Frekki!

„Minutę temu nie wyglądali na tchórzy” – pomyślał Hansen, starając się dotrzymać kroku weteranowi.

Nienawiść do kupców musiała być powszechna, bo wojownicy lorda Thrasey walczyli, tylko dopóki prowadził ich wojownik taki jak Tooley. Kiedy przywódca padł, nie było śladu po chęci do walki, którą okazywali ludzie hrabiego Lopeza, nawet kiedy stało się już oczywiste, że przegrali bitwę.

Mimo sukcesu manewru oskrzydłającego bitwa nie była jeszcze wygrana. Centralne zgrupowanie sił pod wodzą wojownika w błękitno-srebrnej zbroi – damski głos SI poinformował Hansena, że identyfikuje wroga jako lorda Thrasey – wbiło się w wyrwę pomiędzy oddziałem Golsingha i zbyt daleko wysuniętą formacją Taddeusza. Król unikał dotąd okrążenia tylko dzięki ciągłemu cofaniu się, ale lord Thrasey nieustannie na niego napierał.

Tuzin wojowników z Thrasey odwróciło się, żeby stawić czoła zagrożeniu od strony przełamanej flanki. W pierwszym szeregu stała ochrona osobista lorda i członkowie ich własnych świt, ubezpieczający ich zza pleców; wyglądali na nieźle uzbrojonych.

Malcolm zwolnił i zatrzymał się pięć kroków od linii wojsk z Thrasey. Tłum wojowników zachęconych łatwym zwycięstwem stanął nagle, widząc przed sobą prawdziwych przeciwników. Hansen położył rękę na ramieniu Malcolma.

– Malcolm, ja poprowadzę, ty osła... – Ale Malcolm tylko odepchnął go na bok.

Wokół przywódców szalała burza energetycznych wyładowań. Lord Thrasey, prowadząc resztki swej świty, natarł na Golsingha, chcąc odciąć go od nadchodzącej z lewej flanki pomocy. Walka toczyła się gwałtownie, jak piorun ciskany przez tornado, rozrzucając na boki pancerze i ich fragmenty. Golsingh stał w błękitnej zbroi i ciął z zabójczą skutecznością ale wojownicy zgromadzeni wokół niego padali i ginęli.

Malcolm zaryczał i rzucił się na linię przeciwników.

– Uderzać z Malcolmem! – zawarczał Hansen, skacząc w ślad za weteranem.

Wiązka Malcolma zderzyła się z bronią wojownika odzianego w pancerz pokryty pomarańczowymi spiralami. Hansen zamarkował cios na innego przeciwnika w szeregu, a potem opuścił wiązkę na ramię przeciwnika Malcolma. Zbroja zapłonęła, a odrąbana kończyzna upadła w śnieg, kiedy wojownik padł martwy na ziemię.

Maharg sparował cios wojownika po lewej, ale opadł na kolana pod uderzeniem jego wiązki. Poziomy cios Hansena zmusił wojownika do cofnięcia się. Maharg nie podnosił się, potrząsał tylko głową.

Ci z wojowników z Thrasey, którzy jeszcze żyli, wycofywali się. Część ludzi Golsingha nacierała na nich.

– Co robisz?! – spytał Malcolm. – On był mój!

– Wygrywam bitwę! – warknął Hansen przez wzmacniacze hełmu. – Chcesz tu zginąć? Zginiemy wszyscy, jeśli nie uda nam się wspomóc króla, dlatego musimy działać razem!

Malcolm skoczył naprzód, zadając pchnięcie. Jego wiązką prześlizgnęła się pod gardą wahającego się zbyt długo wroga i przebiła jego napierśnik. Zginął, zanim upadł, ale komisarz ciął; go raz jeszcze, bo nie mógł już wyhamować pędu swego uderzenia.

Shill dalej siekł martwego przeciwnika, podążając za Malcolmem i Hansenem. Jego wiązka cięła po kostkach zbroi następnego z wojów lorda Thrasey, podczas gdy jego towarzysze i przyjaciele uderzali wojownika symetrycznie po obu naramiennikach.

Ostatni z ochroniarzy Golsingha upadł. Trzej spośród czterech żyjących jeszcze ludzi lorda Thrasey, wszyscy we wspaniałych zbrojach, odwrócili się w stronę zagrożenia z flanki.

Lord Thrasey i ostami z towarzyszących mu zbrojnych zaatakowali króla. Wojownik trafił w hełm Golsingha, zostawiając na nim ślad gotującej się w pęcherzach farby.

Malcolm ściał strażnika lorda, noszącego na pancerzu czarno-białą szachownicę. Ten pchnął w tył, nie w Malcolma, a w Hansena, próbującego zdublować cios. Wyświetlacz komisarza zamigotał, wszystkie włosy stanęły mu dęba, a mięśnie zadrgały konwulsyjnie. Niemal upadł, gdy jego wyświetlacz wrócił do aktywności. Wszyscy trzej ludzie lorda blokowali teraz ciosy wymierzone w swego pana. Jeden z wojowników Golsingha z lewego skrzydła padł pomiędzy nich i Malcolma.

Dwa metry dalej lord Thrasey ścierał się pierś w pierś z Golsinghem. Ich wiązki syczały w strugach błękitnych iskier. Towarzysz lorda uniósł broń do ostatniego ciosu.

– Naprzód – sapnął Hansen, ruszając na wroga.

Wojownik w zbroi ozdobionej szachownicą sparował jego cios. Ich zbroje zderzyły się z hukiem i trzaskiem, zmuszając wojownika lorda Thrasey do cofnięcia się o krok, dopóki sprawniejsze mechanizmy jego zbroi nie zatrzymały natarcia. Zaczął przechylać Hansena ku tyłowi. Malcolm pojedykował się z następnym z ochroniarzy, i nie było szans, aby Shill wszedł pomiędzy Hansena i Malcolma z wyciągniętą dłonią. Wystrzelone przez jego zbroję wyładowanie trafiło lorda Thrasey pomiędzy osłonę pleców i hełm. Przeciwnik Malcolma ciął poziomo, przecinając w kolanach pozbawioną mocy zbroję Shilla.

Golsingh czystym cięciem ściał lordowi Thrasey głowę.

Shill upadł. Wojownik zmagający się z Hansenem zwinął się, kiedy Maharg pchnął go w brzuch.

SI hełmu Hansena oznaczyła wszystkie stojące postacie na niebiesko. Sprzymierzeńcy. Malcolm wykończył swego przeciwnika, kiedy ten zaatakował Shilla. Golsingh raz za razem z zapamiętaniem, w którym więcej było zemsty niż ostrożności, uderzał w zwłoki człowieka, który niemal go zabił.

Hansen otworzył zatrzask pancerza. Uniósł ciężką płytę tułowiową z histeryczną szybkością, jakby ledwie chwilę wcześniej nie czuł skrajnego zmęczenia. Zimne, przesycone śniegiem powietrze uderzyło go z siłą maczugi, ale i tak drżał na całym ciele.

Smród spalonego mięsa stał się jeszcze wyraźniejszy, gdy otworzył napierśnik Shilla. Stary wojownik nie otworzył oczu, ale jego nozdrza poruszały się lekko. Oddychał. To nie mogło jednak potrwać długo. Rany zostały natychmiast przypalone wiązką, która je zadała, ale wstrząs wywołany przez wysokie napięcie i szok nagłej, podwójnej amputacji musiały być śmiertelne.

Jeźdźcy nadjechali, aby dołączyć do wojowników w momencie zwycięstwa.

– Futro! – krzyknął Hansen. Jego głos brzmiał jak skrzek.

– Ciepłe okrycie! Tutaj! Szybciej, niech was piekło!

– W końcu mi się udało – wyszeptał Shill i uśmiechnął się.

– Widziałeś, jak padł? Zabiłem cholernego lorda Thrasey!

Jeden z jeźdźców zeskoczył z siodła i narzucił swoją opończę na ramiona Hansena, który natychmiast zerwał ją i otulił nią Shilla, leżącego nadal w swej otwartej zbroi. Maharg przyklęknął obok.

– Nic się panu nie stało, sir? – spytał. – Wszystko w porządku?

– Do starego Shilla... – zaczął. Otworzył oczy. Tęczówki starego były jasnoblękitne. Hansen nie zwrócił na to wcześniej uwagi. – Do starego Shilla w końcu uśmiechnęło się szczęście – wydyszał, a klatka piersiowa wyprężyła się mu w konwulsji, która wypchnęła z płuc resztkę oddechu. Długi, rwący się atak kaszlu trwał jeszcze kilka sekund po tym, jak w oczach umierającego wojownika zamarło światło.

Maharg potrząsnął Hansena za ramię.

– Sir? – powiedział. – Nic panu nie jest? Płacze pan.

– Cóż, lordzie Golsingh – powiedział wojownik zwany Audemarem. – Skoro rezygnujesz z prawa do zbroi lorda Thrasey, zgodnie z obyczajem powinna ona przypaść mnie.

– Rozmawialiśmy już o tym, Audemarze – odparł Golsingh tak cicho, że Hansen ledwo go usłyszał znad łopaty drapiącej zmarzniętą ziemię.

– Nie powiniem się tym zajmować – burczał Taddeusz. – Nie wojownika to rzecz pracować rękami.

– Wykonał dziś swe zadanie jako wojownik, ojczu.

Hansen wyrzucił z dołu kolejną grudę torfu. Dwóch niewolników położyło ją na brezentowej płachcie. Unieśli rogi materiału, aby przenieść ziemię na powoli rosnący stos. Komisarz ustawił ponownie łopatę i wbił ją w błoto. Obrócił rękojeść w kształcie litery „T”, aby strząsnąć kamienie zaplątane między źdźbłami trawy.

– Kiedy Lamullo poległ, ja zostałem dowódcą lewego skrzydła – ciągnął Audemar. – Mnie więc powinien przypaść łup należny dowódcy...

– Zamknijże się, Audemar – przerwał mu Taddeusz.

– Po mojej lewej ręce przy stole zasiada teraz lord Malcolm, Audemarze – powiedział Golsingh. Jego ton stał się wyższy i ostrzejszy, jak wydobywane z pochwy ostrze.

Nie było w pobliżu kamieni, z których można by ułożyć porządny kurhan, ale torf równie dobrze się nadawał. Shill zresztą byłby chyba zadowolony. Nie był nigdy twardy jak kamień, ale i tak udawało się mu przetrwać.

– Sir? – odezwał się Maharg. Nagle wydał się jakby starszy, ale to prawdopodobnie tylko zmęczenie bitwą. – Sir? Czy mógłbym też spróbować?

Hansen wyprostował się, pozostawiając wbity w ziemię łopatę. Wskazał w stronę trzonka.

– Uważaj, żeby brzegi były równe – powiedział, masując sobie krzyż. Rozejrzał się dookoła. – Chyba i tak mamy już dosyć darni. – Trzydziestu niewolników zrywało darni na kurhan, ale prostokątny otwór, jaki wykopał Hansen, był dwukrotnie większy niż którykolwiek inny. Cóż, treścią życia niewolników była praca, koniec pracy oznaczał więc koniec życia. On zaś kopał, bo... Kurhan był wysokim na dwa metry, owalnym wzdłużności ośmiu metrów i szerokości trzech, w przybliżeniu odpowiadał proporcjom leżącego mężczyzny. – Mam nadzieję, że mu się spodoba.

Maharg wykopał pas darni i odsunął się, aby niewolnicy mogli wynieść go z dołu.

– Shillowi? – spytał. – Bo ja wiem. – Młody wojownik przetarł czoło. Włosy na wierzchu jego dłoni skurczyły się, gdy wiązka jednego z przeciwników rozładowała mu pancerz. – Nigdy nie myślałem, że zwiadowcy Northa, no wie pan, interesowali się Shillem. – Spojrzał na Hansena. To nie było złudzenie wywołane zmęczeniem: Maharg faktycznie zestarzał się. – Ani mną, skoro o tym mówimy – dodał. – Chociaż z nową zbroją to może się zmienić. Dzięki panu, sir.

– Zasłużyłeś na nią – odparł Hansen. – Shill też. Spojrzał w niebo. Było sinej, zimnej barwy, a wiatr zamazywał jego kontury.

– Masz, panie, prawo mianować na swych zastępców, kogokolwiek zechcesz – powiedział Audemar. W jego głosie brzmiał źle skrywany gniew. – Skoro uznajesz za stosowne uczynić wojownika niewysokiej rangi swym adiutantem i nowym lordem Thrasey – Audemar niemal wypluł ostatnie zdanie – takie jest twoje prawo. Mam tylko nadzieję, że nie zaczniesz szybko żałować swej decyzji. Ale... – Słońce zachodziło. Ponieważ tuż nad horyzontem widniał nie zasnutym chmurami pas

czystego nieba, krajobraz zdawał się jaśniejszy niż wcześniej. Malcolm odwrócił się od pancerza bojowego postawionego na baczność u stóp kurhanu i skierował się w stronę grupki otaczającej króla. – Ale to się okaże. – Audemar miał jakieś pięćdziesiąt lat, był średniego wzrostu i wydawał się nie tyle gruby, co miękki. – Jeśli jednak chodzi o łup, ja dowodziłem atakiem, tak więc... – Hansen patrzył na niego przez chwilę z kamienną twarzą, a potem wyrwał łopatę z ziemi i ruszył w stronę króla. Maharg szedł obok niego. – Tak więc zbroja lorda Thrasey zgodnie z prawem należy do mnie, chyba że zyczysz sobie wziąć ją dla siebie. To zbroja godna króla i nawet po niezbędnych naprawach będzie przewyższać jakością moją. A więc...

Malcolm złapał Audemara za ramię lewą dłonią i szarpnął, podsuwając policzek wojownika pod swą szeroką prawą dłoń. Policzek zabrzmiał jak trzask pękającej gałęzi. Audemar byłby się przewrócił, gdyby Malcolm nie podtrzymał go kolejnym szarpnięciem. Cios na odlew rozkrwawił mu nos.

Taddeusz poruszył się, ale Golsingh zatrzymał go wyciągniętym ramieniem.

– Zaczekaj – powiedział.

Hansen oparł łopatę o swą prawą nogę.

– Słuchaj, łajdaku – wysapał Malcolm. Był tego samego wzrostu co mężczyzna, którego utrzymywał w pozycji wyprostowanej, ale wściekłość dodawała weteranowi sił. – Gdybyś był cokolwiek wart w bitwie, nie musielibyśmy teraz grzebać Shilla!

– Ten starzec był ni...

Końcówka słowa utonęła w rozprysku krwi z rozbitych warg, kiedy Malcolm znowu go uderzył. Golsingh wszedł między nich.

– Wystarczy – powiedział łagodnie. Odwrócił się do znieważonego wojownika. – Audemarze, zostałeś poinformowany o mojej decyzji. Dalsze jej podważanie będzie potraktowane jak zdrada. Zrozumiałeś? – Audemar odwrócił się i odszedł niepewnym krokiem. – Doskonale – rzekł król, a jego wzrok spoczął na Hansenie. – Wrócimy do wczorajszego obozowiska i rankiem wyruszymy do Kamienia Pokoju. Dziś już nie ma sensu wybierać się w podróż.

Hansen skinął głową.

– Tak, milordzie – potwierdził.

Zaschło mu w gardle. Oparł czubek łopaty o ziemię i wbił ją lekko, aby niewolnicy łatwo mogli ją znaleźć.

– Znajdźmy kogoś, kto ma trochę piwa – powiedział Malcolm do Hansena i Maharga. Jego głos brzmiał chrapliwie, jakby coś wpadło mu do gardła.

Nad szczytem kurhanu Shilla zachodzące słońce zalśniło na błękitno-białym pancerzu lorda Thrasey.

– Tradycją jest, lordzie Hansen, że po bitwie... – mówiła Krita nachylając się, aby napęłnić mu puchar. Piersi falujące pod koszulą były pełniejsze, niż wskazywałyby na to surowe rysy jej twarzy i muskularne ramiona. – ...wojownik opowiada o swoich czynach, nie o zaś o czynach... przyjaciela?

– Shill był moim przyjacielem, tak – odrzekł zimno Hansen.

– Może nie miał nic do powiedzenia na temat własnych czynów? – zasugerowała Unn. – Czy nie tak, lordzie Hansen?

– Krito, córko – odezwał się Taddeusz z przeciwnego końca stołu. – Przestańże gadać, próbujemy zaplanować, co robić dalej. I zostaw go w spokoju.

Krita zerknęła na Unn, trzymając oparty na biodrze dzban piwa. Miała na sobie czerwoną suknię, Unn zaś odziana była w błękit tak samo intensywny jak tęczę Shilla.

– Słyszałam – powiedziała Krita, jak gdyby nie dotarły do niej słowa ojca – że Hansen stawał w bitwie jako jeden z najlepszych ludzi lorda Malcolma. – Znów się nachyliła, tym razem napęłniając kubek Malcolma.

Hansenowi zdawało się, że nowy lord Thrasey zarumienił się, ale z powodu ciemnej karnacji Malcolma nie miał pewności. Poza tym, rumieniec mógł być spowodowany piwem, żarem ogniska lub faktem, że zasiadał teraz jako pierwszy po lewej stronie króla.

– A wiemy przecież, jakim bohaterem jest Malcolm... – Krita przesunęła palcem po wewnętrznej stronie jego nadgarstka.

Wojownik cofnął rękę, jakby dotknęła go rozpalonym żelazem. Taddeusz ścisnął poręcz krzesła.

– Lordzie Golsingh? – odezwał się głośno Hansen, żeby odwrócić uwagę zgromadzonych od prowokacyjnego zachowania obu kobiet. – Czy poświęciłeś chwilę, aby zastanowić się nad tym, co mówiłem na temat Frekki?

– Chodzi ci o to, czy zrozumiałem, że miałaś rację? – spytał Golsingh z lekkim uśmiechem. – Owszem, tak. – Odwrócił się do ojca, swego opiekuna i doradcy. – Teraz także i ty ojciec jesteś podobnego zdania, nieprawdaż?

– Że trzeba położyć kres matactwom kupców z Frekki? – odezwał się surowo Taddeusz. – Taaa, przyznaję. Trzeba zrównać Frekkę z ziemią i zasypać popioły solą. Ale jestem pewien, że ty masz na ten temat własne zdanie, co? – Spojrzał na Hansena wyzywająco. Jego córka poruszyła się tak, aby stać plecami do niego, i posłała zachęcający, a jednocześnie drwiący uśmiech Malcolmowi, Hansenowi i Mahargowi.

– Potrzebujemy... – zaczął Hansen.

– My potrzebujemy?! – warknął Taddeusz.

– Lord Golsingh potrzebuje – poprawił się Hansen głośno, aby zagłuszyć protesty wodza, ale ten nie wtrącił się już więcej – zysków z handlu i rzemiosła Frekki, żeby zjednoczyć królestwo. Nie potrzebuje natomiast syndykatu Frekki i intryg syndyków.

Taddeusz opróżnił puchar.

– I Golsingh, jak rozumiem, posłucha twojej rady? – spytał gorzko.

– Król robi to, co będzie najlepsze dla królestwa, ojciec – powiedział Golsingh spokojnym głosem.

Taddeusz patrzył mu przez chwilę w oczy, potem zamrugnął i odwrócił wzrok.

– Piwa, dziewczyno – warknął, wyciągając puchar w stronę Kridy. Zamiast niej napęłniła go

jednak Unn. – Zastanawiałem się nad twoimi sugestiami co do tego, których wojowników wysłać do Thrasey z lordem Malcolmem – ciągnął król, upewniwszy się, że jego riposta osiągnęła cel. – A co do twoich próśb, lordzie. – Skinął Malcolmowi, który pochylił się bliżej, zadowolony ze zmiany tematu. – Musimy je przedyskutować, bo nie na wszystkie się zgadzam. Tak więc...

Rozmowa zesłała na temat zalet i wad wojowników, których Hansen znał tylko jako wzory na pancerzach. Odprężył się, zadowolony, że nie musi się teraz z nikim wyklócać. Był poobijany i obolały, a mowa, którą wygłosił na cześć Shilla, odebrała mu resztki energii pozostałej po bitwie. Shill zginął, bo ufał mu bardziej, niż powinien.

Maharg wstał od stołu. Poklepał komisarza po ramieniu.

– Dzięki – powiedział i wyszedł.

Maharg nie miał dziś w nocy warty, ale po powrocie z pola bitwy jako bohater znalazł sobie przyjaciółkę... Była to w całości jego zasługa, nie Hansena, ale Maharg uważał, że jest mu winien wdzięczność.

„Przyjaciółka”.

– Zastanawialiśmy się, lordzie Hansen – powiedziała Krita, napełniając kubek, który ten opróżnił, nawet nie zdając sobie z tego sprawy – czy należysz do mężczyzn, którzy nie lubią kobiet.

– Co?! – pytanie otrzeźwiło komisarza jak kubek zimnej wody wylany wprost na głowę.

Unn ukrywała wesołość, Krita śmiała się otwarcie.

– Chodzi o to, że żadnej z dziewcząt jak dotąd... powiedzmy, że nie poświęciłeś im czasu. Czy to dlatego?

– Nie miałem czasu, który mógłbym poświęcić! – warknął Hansen, rozglądając się na prawo i lewo, potem znów na prawo, ale na szczęście wiedźma zdecydowała się toczyć rozmowę przyciszonym głosem. Skrzywił się. – Dziś jest pierwszy dzień, odkąd tu przybyłem, którego nie poświęciłem na ćwiczenia w pancerzu. Wiesz dobrze, jakie są męczące.

– Wstydzisz się swoich upodobań, lordzie Hansen? – spytała Unn chłodno. – Niektórzy niewolnicy lubią takie rzeczy. Nie żeby zdanie niewolnika się liczyło. – Krita zachichotała. – To dotyczy też kilku z wojowników. Może chciałbyś poznać ich imiona?

– Chciałbym... – powiedział Hansen, dopijając piwo trzema szybkimi łykami i wstając. I on zastanawiał się, czy Malcolm zarumienił się pod wpływem sztuczek tej jędzy! Na szczęście przyćmione światło płomieni ukrywało jego zażenowanie. – Chciałbym się wysikać i iść do łóżka.

Załatwił się na zewnątrz, a znacznie później, po opróżnieniu bukłaka piwa przyniesionego przez niewolnika, wrócił do ratusza i znalazł swoje łóżko.

Hansena zbudził odgłos sztaby zakładanej od środka na drzwiach jego sypialni. W pomieszczeniu panowała kompletna ciemność. Natychmiast usiadł na łóżku. Nie wstał tylko dlatego, że nogi zaplątały mu się w futrzane okrycia. Mógłby sobie bardziej zaszkodzić, niż pomóc, próbując się z nich wyplątać. Podniósł żelazny, długi na pół metra łom. Wstrzymał oddech, ściskając broń i czekając, aż intruz wyda jakiś szelest.

– Teraz masz czas, Hansen? – wyszeptał gardłowy, kobiecy głos. – Czy też mam przysłać ci jednego z chłopców służebnych? – Kobiecy głos, zapach kobiety. Zadrzał na całym ciele. Łóżko z desek ugięło się, kiedy położyła na nim dłoń, a następnie usiadła. – Boisz się? – zamruczała.

– Nie – skłamał. – Dlaczego...

Jej palce, a potem całe dłonie dotykały mu włosów na piersi.

Oczywiście, że bał się Kriety. Była nieodrodną córką ojca, gwałtowną i upartą, i z całą pewnością sfrustrowaną na tuzin innych sposobów, gotową zapalić każdy lont, byle tylko ujrzyć eksplozję.

Taddeusz był w ratuszu, przy stole, siedząc z twarzą w kielichu. Gdyby wiedział... Minęło dużo czasu, odkąd Hansen ostatnio kochał się z kobietą. Oparł łom o boczne deski łóżka i wyciągnął do niej ramiona.

Miała na sobie szatę z grubego materiału. Przez chwilę próbował ją rozpiąć.

– Zaczekaj – powiedziała, odsuwając stanowczo jego palce. Poczł dotknięcie wstążek, kiedy je rozwiązywała, potem silnymi rękoma przyciągnęła mu twarz do swych piersi. Mimo stanowczego i pewnego siebie zachowania serce Kryty biło szybko, a jej sutki prężyły się pod dotknięciem.

Kochali się gwałtownie i szybko, co nieco zawstydziło Hansena – minęło zbyt dużo czasu – ale kobieta była tak podniecona, że szczytując, ugryzła go w ramię, żeby zdusić krzyk.

Nadal poruszał się w niej, nie wiedząc, jak zachowują się mężczyźni podczas seksu tutaj, w Świecie Northa; prawdopodobnie ważniejsze od uwarunkowań kulturowych i tutaj były indywidualne zachowania. Kryta zamruczała pytająco i zaczęła poruszać się, dopasowując swój rytm do jego. Odrzuciła głowę do tyłu, jęcząc.

– Och, Penny, błogosław mnie... Błogosław... Och...

Znowu przycisnęła mu twarz do ramienia, nie gryząc już, i zadrzała w serii gwałtownych orgazmów. Hansen myślał o ojcu Kryty i o tym, że jej piersi były szersze i bardziej płaskie, niż sądził, gdy zobaczył ją w obcistej sukni.

– O bogowie... – wyszeptała, opadając na łożę. Miękkie, kobiece włosy rozsypały się na jego ramieniu. Wyobraził sobie, jak wyglądałyby w blasku ognia; czarne, z błyskami czerwieni wywołanymi przez lśniące węgielki paleniska.

– Po co tu przybyłeś, Hansen? – spytała. Jej palce ścisnęły mu mięśnie ramion, potem przesunęły się po wyrostkach kręgosłupa.

– Przypadek – odpowiedział szczerze pod wpływem chwili. Natychmiast zdał też sobie sprawę, że jego odpowiedź była prawdopodobnie niezgodna z prawdą. North i Konsensus rozgrywali swoją grę, a Nils Hansen był w niej jednym z pionków. Lecz tej prawdy nie zamierzał jej zdradzać. – Ale prawdopodobnie jestem jedynym człowiekiem na tej... – „planecie” – chciał powiedzieć, poprawił się jednak w porę – ... w tym królestwie, który może sprawić, że marzenia Golsingha staną się rzeczywistością. I to właśnie zamierzam zrobić.

– Naprawdę chcesz pomóc królowi? – spytała. Zaśmiała się cicho. – Taddeusz cię nienawidzi, wiesz o tym?

– Tak, zauważyłem.

– Myśli, że celowo sprawiasz mu kłopoty. – Palcami delikatnie masowała miejsce, w które go ugryzła. Hansen czuł, jak piecze go ranka zadana jej zębami. Drobiazg, nikt nie zobaczy tego pod ubraniem. – On myśli, że przysłali cię kupcy z Frekki, abyś doprowadził króla i królestwo do upadku.

Hansen parsknął.

– Nie myślałby tak, gdyby w czasie bitwy był w miejscu, w którym decydował się jej wynik, zamiast prowadzić prywatną potyczkę. Golsingh byłby już zimnym trupem, gdyby nie...

– Gdyby nie ty? – spytała Kryta, w jej głosie zabrzmiało wyzwanie.

– Gdyby nie Shill – odparł Hansen. – I Malcolm. Ale ja; również tam byłem. Twój ojciec – nie.

Poruszyła się.

– Połóż się koło mnie na chwilę. Wystarczy nam miejsca? – Wystarczyło, choć Hansen musiał uważać na głowę. Łóżko było niewiele węższe niż całe pomieszczenie, ale pod ścianą zwisała strzecha, zmniejszając dostępną przestrzeń. Przesunęła dłonią po jego klatce piersiowej, aż do krocza. Mięśnie brzucha Hansena zadrgały. Zawsze miał łaskotki, a najbardziej właśnie w takich chwilach. Nigdy jeszcze w życiu nie czuł się tak odprężony. Dotknął krocza kobiety. – Słyszałam, co

stało się podczas bitwy – powiedziała. Mięśnie pochwy wsysały mu palec do środka jej ciała. – Co się, och, naprawdę stało, nie tylko to, o czym przechwalali się wojownicy przy stole. Och. Ooch. Dlaczego... obwiniasz się... za śmierć Shilla?

Hansen skupił się na tym, co robił. Dyscyplina już wielokrotnie pozwoliła mu przetrwać trudne chwile.

– Bo był jednym z moich ludzi – powiedział cicho. – Ponieważ zrobił to, co mu rozkazałem, czego go nauczyłem, i to go zabiło.

– Czy umarł, przeklinając cię? – spytała. – Słyszałam co innego.

– Nie wiedział wtedy, co mówił – odparł.

– Nie myśl tak! – powiedziała ostro. Znowu przyciągnęła jego twarz do swych piersi. – Tak – wymruczała. – Taaak... Ugryź mnie... proszę, ugryź... – Jej palce były jak ze stali, gdy zaciskała mu je z tyłu głowy. – Shill miał sześćdziesiąt lat – wyszeptała. – Nigdy nie był najlepszy. Gdyby nie Malcolm, nawet by go tu nie było; był, bo Taddeusz chce, żeby Malcolm był zadowolony, chociaż go nie lubi. – Mówiąc, bawiła się jego członkiem. Przerzuciła nogi nad jego nogami. Dach zawadzał. Hansen przesunął się w bok, tam gdzie pod strzechą było wystarczająco dużo miejsca, żeby mogła na nim usiąść.

– Zrobiłeś z Shilla wojownika – kontynuowała, pomagając mu wejść w siebie. – Zrobiłeś z niego mężczyznę. Gdybyś nawet był bogiem, nie mógłbyś oddać mu większej przysługi.

Ktoś załomotał w zawarte drzwi.

– Krita? – rozległ się głos Taddeusza. – Krito! Wyjdź stamtąd, ty mała suko!

Hansen ujął łom.

– To był twój pomysł? – spytał łagodnie.

– Bogowie, nie! – Zachłysnęła się oddechem, szukając odzienia. – Nie, nie. O bogowie, jestem...

– Hansen, otwieraj drzwi albo je wyłamie – zażądał Taddeusz. Walił pięścią w drzwi tak mocno, że aż wyginał deski. Do środka wąską szparą wpadła odrobina żółtego światła. Hansen ręką obmacywał strzechę. Warstwy siana ułożono na deskach rozstawionych co pół metra, wystarczająco szeroko, aby się prześlizgnąć; ale pod samym sianem była siatka z witek, i przez nią nie dałoby się precyzyjnie niczego więcej niż zaciśniętą pięść. – Powiedziałem, otwieraj! – huczał Taddeusz, waląc w drzwi. Sztaba wytrzymała, ale deski zaczynały już pękać.

– Schowaj się w pancerzu! – rozkazał szeptem Hansen; jednocześnie podwazał łomem siano strzechy, z całej siły naciskając na dźwignię. Zbita masa siana poruszyła się, ale mimo jego wysiłków tylko kilka witek pękło. Hansen przesunął łom i napał znowu. Przez wąskie szpary do pomieszczenia wpadło nocne powietrze.

Półowa deski odpadła od drzwi i z hukiem upadła na podłogę sypialni. Taddeusz wsunął przez szparę rękę i podniósł sztabę,

Kobieta zniknęła.

Hansen wstał i otworzył drzwi. Chciałby mieć dość czasu, aby się ubrać, ale chciałby wielu rzeczy, na które było za późno.

Trzymał łom w luźno opuszczonej u boku ręce.

– O co chodzi? – zapytał, kiedy Taddeusz odepchnął go na bok. Hansen wbił piętę w śródstopie wodza.

Ten syknął i zatrzymał się. Ratusz za jego plecami był pełen ludzi. Nikt nie mógł być na tyle pijany, aby przespać ten hałas.

Taddeusz ścisnął w rękach jedną z lanc. Broń była niewygodna, a do tego trzymał ją zbyt blisko grotu.

– Gdzie ona jest? – zapytał. – Kiedy tylko zobaczyłem, i że nie ma jej w pokoju, pojąłem, że musi być tutaj!

– Posłuchaj – powiedział Hansen uspokajająco. – Nikogo tu nie ma. Wyjdźmy stąd i porozmawiajmy...

Taddeusz pchnął lancą skłębione na łóżku futra. Deski sypnęły drzazgami. Czego by nie mówić o Taddeuszu, silny był z niego drań.

– Gdzie ona jest? – spytał znowu stary wojownik, dźgając lancą futra i rozrzucając je pod ścianą.

– Co tu się dzieje? – odezwał się Golsingh z tyłu zgromadzonego tłumu.

– To moja sprawa! – warknął Taddeusz. Zmarszczył brwi, a potem uśmiechnął się z wyrazem zadowolenia. – Schowałeś ją w pancerzu?

Hansen stanął plecami do zbroi.

– Jeżeli dotkniesz mojej zbroi bez pozwolenia, panie – powiedział bardzo wyraźnie – zabiję cię na miejscu.

Skierował czubek łomu pomiędzy oczy Taddeusza, trzymając go w odległości kilku centymetrów od jego głowy.

Malcolm przepchnął się przez drzwi. Obiema rękami złapał wodza za prawy łokieć. Ten uwolnił się z pogardliwą łatwością.

– Złamię ci kark – warknął.

Naprężył mięśnie, i nagle zamarł, kiedy w ratuszu zabrzmiał głos:

– Ojczy! Co robisz? Oszalałeś?

– Spójrzcie, panie – powiedział trzymający lampę kusznik. Wskazał dziurę w strzesze, wydartą desperacko przez Hansena.

Taddeusz obrócił się powoli na pięcie, a potem wypadł z sypialni jak wściekły dzik atakujący sforę psów.

Malcolm odetchnął z ulgą. Hansen był zbyt spięty, aby cokolwiek odczuwać. Wypchnął przyjaciela z sypialni w ślad za Taddeuszem i wyszedł za nim, zamykając strzaskane drzwi.

Tuzin lamp opalanych zwierzęcym tłuszczem wspomagał słabe światło paleniska. Krita stała obok Golsingha. Na jej butach i futrzanej szubie topniał śnieg.

– Gdzieś była, ładacznico? – Taddeusz grubym głosem zażądał wyjaśnień.

– Na zewnątrz, na spacerze z Unn – odparła jego córka – jeżeli to cię w ogóle obchodzi, zapijaczona świnió!

– Kłamiesz, zdiro! – zaryczał wódz, ruszając naprzód.

Golsingh wszedł pomiędzy ojca i córkę.

– Ojczy... – zaczął, a wtedy Taddeusz odepchnął go uderzeniem.

„Nigdy nie bij człowieka pustą ręką” – powiedział kiedyś Hansenowi człowiek, za stary, by żyć, ale zbyt uparty, by umrzeć. Komisarz uniósł łom, mierząc w tył czaszki wodza, wiedząc, że mimo wszystko nie może ona być twardsza od stali...

Odziana w pancerz bojowy postać stanęła nagle przed rozwścieczonym wodzem. Wojownik wpadł na zbroję i odbił się od napierśnika, unosząc pięść gestem tak bezsensownym, że sam zdał sobie sprawę z jego absurdalności. Taddeusz splótł palce obu rąk, ściskając je, jakby próbował udusić smoka.

Zbroja należała do Hansena. Jeszcze do niedawna, bo po bitwie wziął pancerz Tooleya, a swój oddał...

Głos Maharga zadudnił z głośników zbroi.

– Ekscelencjo? Czy wszystko w porządku?

Wielkie, stalowe ramię zbroi wyciągnęło się w stronę Golsingha, który podnosił się właśnie z podłogi, na którą rzuciło go uderzenie Taddeusza.

„Skoro Krita jest tutaj, w pełni ubrana – myślał Hansen – to z kim się przed chwilą...”.

Taddeusz uklęknął przed Golsinghem.

– Ekscelencjo – powiedział głosem zdławionym emocjami – nie zasługuję, aby żyć. Zabij mnie, ale daj mej duszy satysfakcję za obrazę, którą ściągnęła na mnie ta dziewczka.

– Ależ... wstań, ojcze – powiedział Golsingh niewyraźnie.

– Chodźmy stąd. Zbyt wiele wypiliśmy i wyobraziliśmy sobie i rzeczy, które się nie wydarzyły.

Taddeusz wstał. Teraz, kiedy lampy rozświetlały jego brodę i wąsy, zdawał się jeszcze bardziej przypominać niedźwiedzia.

– Niczego sobie nie wyobrazilem, ekscelencjo – powiedział. Odwrócił się i wycelował palcem w Hansena. – To taki żart, tak? Chciałeś zniesławić moje imię?

– Ojcze!

– Nie zrobiłem nic, aby cię urazić, lordzie Taddeuszu – odpowiedział komisarz ostrożnie. Stary wojownik zgubił gdzieś lancę podczas przepychanek, ale nadal mógłby skreślić człowiekowi kark gołymi rękoma.

– Po jutrzejszym dniu nigdy mnie już nie urazisz – powiedział ciężkim głosem. – Lordzie Hansen, wyzywam cię. Spotkamy się jutro w południe.

– Ojcze, nie zezwalam na to! – krzyknął ostro król.

Taddeusz spojrział na niego.

– Żałuję, ekscelencjo – powiedział – ale to musi się stać. Chodzi o mój honor.

Wódz przeniósł wzrok z Golsingha na córkę. Ta odwróciła głowę gniewnym ruchem. Golsingh wzruszył ramionami.

– Niech więc tak będzie – powiedział, nie podnosząc głosu. – Ale jeśli to zrobisz, sprzeciwiając się memu wyraźnemu rozkazowi... opuścisz Kamień Pokoju i już nigdy tu nie powrócisz. Przysięgam.

Taddeusz skinął głową.

– Niech więc tak będzie.

Stanowisko wodza do wzięcia – dokładnie to, czego Hansen potrzebował, aby zreorganizować wojsko króla; choć nieco za wcześnie, lepiej byłoby za trzy miesiące, żeby Malcolm zdążył się wykazać...

Tylko że wszyscy byli przekonani, iż Hansen, niedoszły reformator, będzie martwy po jutrzejszym pojedynku.

Golsingh rozejrzał się po sali.

– Wracajcie do łóżek – rozkazał. – Dość się dziś wydarzyło.

– Zaczekaj, panie – powiedział Malcolm. Miał na sobie tylko buty i lnianą koszulę nocną, wilgotną od śniegu, który napadał na niego, kiedy biegł do sali, żeby zobaczyć, co się stało. Jego ciało było masą mięśni. – Nie możesz się zgodzić na tak rychły pojedynek.

Taddeusz powiódł wzrokiem od Malcolm'a do Hansena i parsknął pogardliwie. Nie był już wściekły, ale na jego twarzy widoczna była determinacja.

– Co się stało? – spytał. – Czyżby twój przyjaciel bał się umrzeć?

Hansen uśmiechnął się. Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Zbyt wiele się wydarzyło, zbyt wiele nadal się działo...

– Hansen spotka się z tobą za dziesięć dni – nalegał Malcolm. – Tyle możesz poczekać.

Krita zniknęła, ale większość pozostałych w ratuszu osób, zarówno wojowników, jak i służących, przysłuchiwała się z zainteresowaniem. Golsingh nie okazywał żadnych emocji. Hansen

przypuszczał, że sam wygląda podobnie. Taddeusz za to potrząsnął głową.

– Zgodnie z obyczajem wyzwania należy rozstrzygać w ciągu trzech dni – powiedział. – Trzy i pół dnia. – Spojrzał na Hansena, jakby patrzył na przyklejone do buta łajno. – Zawsze może uciec. W trzy dni ujdzie dalej, niż zechcę go ścigać.

Malcolm spojrzął na Golsingha.

– Ekscelencjo? Dziesięć dni...

Król potrząsnął głową.

– Lord Taddeusz może pozostać w Kamieniu Pokoju tak długo, ile każe obyczaj – powiedział zimno. – Trzy i pół dnia.

– Razem z Taddeuszem odwrócili się i odeszli w stronę schodów prowadzących do komnat na piętrze. Nie patrzyli na siebie. Kiedy tłum nie rozstał się wystarczająco szybko, wódz odepchnął kilka osób z drogi. Golsingh odwrócił się u stóp schodów.

– Wracajcie do łóżek, do diabła!

Tłum rozszedł się do komnat sypialnych i do chat na zewnątrz, mamrocząc głosami tak dyskretnymi jak dogasający blask paleniska.

Hansen wypuścił wstrzymywany dotąd oddech. Był zupełnie nagi, a w ratuszu było zimno. Malcolm stał obok niego, a Maharg właśnie wracał ze swojego pokoju, gdzie zdjął pancerz.

Kiedy zabrano lampy, w sali zapanował półmrok. Ściany skrzypiały żałobnie pod naporem wiatru.

– Poczekajcie chwilę – powiedział Hansen, wślizgując się do swej sypialni. Zamknął strzaskane drzwi i w ciemności rozejrzał się po pokoju. Pancerz stał otwarty. Nikt się w nim nie ukrywał, nikogo nie było też wśród skłębionych futer na łóżku. Dziura w strzesze była szersza, niż ją zostawił, ktoś rozciął nożem siatkę z witek. „Musiała ukryć nóż w szacie, bo nie miała go przy sobie, kiedy Taddeusz zaczął łomotać do drzwi” – pomyślał i naciągnął ubranie. – Wejście – rzekł, otwierając drzwi.

Nie mogli liczyć na wiele prywatności, ale po obu stronach były tylko pokoje Malcolma i Maharga, nie było więc tak źle. Hansen nie widział w ciemności wyrazu twarzy Malcolma, ale kiedy weteran się odezwał, obejrawszy dziurę w dachu, w jego głosie brzmiała mieszanina smutku i zdziwienia.

– Cóż, chłopcze, trzeba przyznać, że masz kosztowny gust. Tym jednak razem będzie cię kosztował życie.,

– Dzięki, że we mnie wierzysz – warknął Hansen. Maharg stał obok drzwi jak pień drzewa. – To było mądre posunięcie, i że założyłeś pancerz – powiedział do niego komisarz. Skrzywił się. – Dużo mądrzejsze niż wszystko, co zrobiłem dziś w nocy, wiem o tym, Malcolmie. Pytanie brzmi: „Co teraz?”.

– Twoją jedyną szansą była zbroja lorda Thrasey – powiedział Malcolm, zadziwiająco spokojnie i rzeczowo. – To zbroja godna króla, a po odpowiednich naprawach mógłbyś stawić w niej czoło Taddeuszowi.

Hansen widział w życiu wielu żołnierzy, którzy przynosili złe wiadomości. Nerwy jednak przeszkadzały w myśleniu, w znajdowaniu rozwiązań problemów... lub ograniczaniu strat, kiedy rozwiązań nie było. Ale jeśli chodziło o to, co mówił Malcolm...

– Mam już zbroję – odpowiedział Hansen. – I gdybym miał wybór, wolałbym stanąć do walki nago, niż wziąć zbroję Shilla.

– Shill jej nie potrzebuje...

– Niepotrzebna mi zbroja! – warknął komisarz. – Mam zbroję Tooleya. A pancerz Shilla należy

do niego!

– Zbroja Tooleya jest świetna, to prawda – przyznał Malcolm pojednawczo, jakby nie zauważył lśniącej w oczach rozmówcy złości. – Wiem to z doświadczenia, w końcu to on mnie powalił i niemal zabił; gdyby nie ty, chłopcze, mnie i Maharga. Zawdzięczamy życie tobie i Shillowowi, jak sam Golsingh, ale Shill mimo wszystko nie żyje.

– Nie ma czasu – powiedział Maharg. – Może zdążylibyśmy wrócić pod kurhan i zabrać pancerz, ale nie starczy czasu, aby go naprawić. Naprawienie hełmu zajmie co najmniej trzy dni.

– Słuchajcie... – zagadnął komisarz już bez gniewu.

– Nie, chłopcze – powiedział Malcolm w ciemności, poklepując go po ramieniu. – Nic nie mów, tylko słuchaj, bo jest tak, jak mówiłeś: jesteś wojownikiem i potrafisz walczyć, ale nie w pancerzu. – Malcolm usiadł na łóżku, pociągając za sobą Hansena. – Mówisz, że zbroja Tooleya ci wystarczy – ciągnął. – I byłoby tak, ale Taddeusz ma królewski pancerz, który w porównaniu z twoim jest taki, jak moja zbroja w porównaniu z pancerzem Tooleya. A wiesz, co Tooley by ze mną zrobił, gdyby nie twoja pomoc. W pojedynku jednak nikt ci nie pomoże.

– Pokonał Zieborna w zbroi wartej tyle co nic – stwierdził Maharg. – W zbroi Villiersa, która była gorsza nawet od mojej poprzedniej.

– Pokonałeś Zieborna, bo go przechytrzyłeś – powiedział rozsądnie Malcolm. – To było bardzo sprytne, chłopcze, ale Taddeusza nie przechytrzysz. Widział, jak walczysz, i chociaż kawał z niego łajdaka, jest najsprytniejszym i najbardziej doświadczonym wojownikiem, jakiego znam.

– Zabił chyba więcej ludzi, niż śpi teraz w tej sali – zgodził się smutno Maharg.

– W walce z nim... – kontynuował Malcolm. – Pamiętasz, jak było za pierwszym razem, kiedy walczyłeś z Krita i skończyło się tak, że musiałeś ją przewrócić? Teraz wyobraź sobie, co będzie, kiedy staniesz naprzeciw jej ojca w prawdziwej walce, z bronią nastawioną na pełną moc. – Parsknął śmiechem. – Taddeusz porąbie cię na plasterki!

Hansen też się uśmiechnął, zastanawiając się jednocześnie, czy Mahargowi byłoby do śmiechu, gdyby sam miał położyć głowę pod topór. Zdał sobie też sprawę, że tylko on, Krita i jeszcze jedna kobieta w całym Kamieniu Pokoju nie wierzy w to, że to nie ona była dziś w jego łóżku. Nie było możliwości, aby Krita zdążyła wyciąć sobie przejście przez strzechę i zdążyć wrócić do ratusza w pełni ubrana. Znaczyło to, że jego życie i plany mogły skończyć się za sprawą pół godziny spędzonej z jakąś służącą... ale tak naprawdę sam w to nie wierzył.

– W porządku – powiedział zimno. – Co mi radzicie?

– Uciekaj – stwierdził krótko Malcolm. – Albo umrzesz, chłopcze. Bo jesteś za wysoki, aby zmieścić się w jej zbroję...

– Gdyby mi ją pożyczyła – rzekł Hansen.

– Kto wie, co myślą kobiety – ciągnął Malcolm. – Nie zmieścisz się też w zbroję Golsingha, bo sądzę z wyrazu jego twarzy, że sam by ci ją zaproponował. Nasz król to mądry człek, a także twardy, co czasem znaczy to samo.

– Thrasey jest zbyt blisko – powiedział Maharg. – Musisz ujść gdzieś, gdzie Taddeusz nie mógłby cię znaleźć. Poza królestwo.

– Królestwo bardzo na tym straci, chłopcze – dodał Malcolm miękko. – Wszyscy na tym stracimy. Ale to mała cena za życie, prawda?

Hansen parsknął śmiechem.

– Więc nie sądzicie, że mój honor wymaga, abym przyjął wyzwanie? – spytał.

– Taddeusz zapewne tak myśli – powiedział ostrożnie weteran. – I ja też może bym tak myślał, gdyby to mnie wyzwiał. Ale tak samo, jak wojownicy są inni tam, skąd przybywasz, inny może być też

honor. Mylę się? – Hansen spojrział na niego. W ciemności nie zobaczył wyrazu twarzy. Maharg zaczerpnął tchu. – Co nie oznacza – dodał Malcolm – że kiedykolwiek wątpię w twoje zdolności jako wojownika.

Hansen odprężył się.

– Rozumiem – powiedział. Zaśmiał się niewesoło. – Słuchajcie. Myślę, że po przespanej nocy łatwiej wymyślimy, co zrobić. A ja łatwiej sobie wtedy z tym poradzę.

Malcolm znowu ścisnął go za ramię. Razem z Mahargiem udali się do swych sypialni.

Światło świtu wśliznęło się przez dziurę w dachu. Pogoda wreszcie zmieniła się, niebo było bezchmurne.

Hansen uniósł głowę z ciepłego kokonu futer. Mrugnął. Złapał za łom. Metrowej długości wąż, pewnie zbudzony z zimowego snu w słomie strzechy, leżał w jego otwartej zbroi. Cicho wstał z łóżka. Wąż obrócił łeb. Jedno z jego oczu lśniło, drugie jednak było zamglone.

– I csssso, Hansssssen – wysyczał Walker. – Jesteś gotów, aby mi służyć? By dostać zbroję? Czy za pancerz, którego pozazdrościłby ci król, zostaniesz moim sssługą?

Rozdwojony język wysunął się, bawiąc się czymś ledwo widocznym, zatrzaśniętym w zamknięciu zbroi.

– Potrzebna mi w ciągu trzech dni – powiedział Hansen. – Inaczej... – Wziął głęboki wdech i podjął decyzję, na której potwierdzenie czekał przez noc jego świadomy umysł. – Inaczej stanę do walki w tym, co mam.

– To nie potrwa nawet chwili, Hansssen – odparł wąż. – Mówiłem cssiii, że czass nie ma tutaj sssznaczenia...

Hansen rzucił łom na łóżko. Metal zadudnił na deskach.

– Zgoda – odparł komisarz. – Co mam zrobić?

Na przedmiocie, którym bawił się Walker, zatańczył promień słońca, zamieniając go w złocisty drucik. Był to włos; pojedynczy, długi, jasny włos...

Jak włos Umm, żony Golsingha.

Drzwi pałacu Eisner otworzyły się gładko jak na rozlanym po gładkiej powierzchni oleju. Ona sama śmiała się niewesoło w środku.

– Jesteś sam, Rolls? – spytała. – Żadnych zonglerów ani tańczących dziewcząt w orszaku?

Schylił głowę, wchodząc do biblioteki. Bardziej poczuł, niż usłyszał, jak drzwi zamknęły się mu za plecami.

– Na tobie nie muszę robić wrażenia, Eisner – odparł. – Nawet przyszedłem pieszo, bez wierzchowca.

– Mam ci pogratulować? – spytała złośliwie. – Możemy w końcu robić, co nam się podoba, my, bogowie – w tych ostatnich słowach zabrzmiała gorycz.

Eisner siedziała za półokrągłym biurkiem, którego pięknie wypolerowany blat z orzechowego drewna pokrywały papiery. Książki leżały w stosach po sześć albo osiem tomów, a każda z nich, otwarta na stronie z ważnym fragmentem, grzbietem zaznaczała inny taki fragment w kolejnym woluminie. Kartki papieru pokryte tajemniczymi notatkami oznaczały inne strony. Kilka stron wystawało z ksiąg oprawnych w skórę.

W całym pomieszczeniu nie było nawet jednego pyłku kurzu. Przed sobą miała otwartą partyturę, na którą z niewidocznego źródła padało światło, zapewniając doskonałe oświetlenie.

– To prawda. Problem leży nie w tym, czy coś jest możliwe, tylko czym się zająć – zgodził się Rolls.

Trzymał lewą dłoń zamkniętą. Spojrzała na nią, potem na jego twarz, ale potężny mężczyzna na razie ignorował jej ciekawość.

– Czy twoja wizyta ma jakiś cel? – spytała.

– Cóż za powitanie – odparł ze smutnym uśmiechem.

Eisner potarła czoło, rozdrażniona własną reakcją.

– Przepraszam, Rolls – powiedziała. – Mając czas do końca – jej wargi zadrgały, zawahała się – do końca świata, mogę spędzić chwilę na rozmowie z przyjacielem. A ty zawsze byłeś mi przyjacielem, na tyle, na ile ci pozwalałam.

Obok biurka stało drugie krzesło, ale także ono zastawione było stosami książek. Rolls ściągnął wargi, zastanawiając się przez chwilę, czy po prostu nie zrzucić ich wszystkich na podłogę. Zamiast tego obszedł biurko i spojrzał jej przez ramię na rozłożoną partyturę.

– Co to? – spytał i zacytował: „Chciałbym bardzo, brzmiała smutna odpowiedź młodzieńca, ale ona nie żyje, a jej ciało spoczywa w odjeżdżającym powozie”.

Eisner zeszywniała momentalnie, ale zrozumiała, że pytanie było spowodowane ciekawością, nie złośliwym rozbawieniem. W końcu tak jak ona wielki mężczyzna był obserwatorem, poszukiwaczem...

– To ma związek z intruzem Konsensusu – powiedziała.

– Wydawało mi się, że istnieje możliwość rozwiązania problemu zagrożenia Diamentu.

Rolls skinął głową, spoglądając w górę na książki rozstawione na półkach pokrywających wszystkie ściany z wyjątkiem przestrzeni zajmowanej przez drzwi.

– Czy zastanawiałaś się nad tym, co mówiłem, Eisner? – spytał. – O tym, że ciągle jeszcze potrafimy być ludźmi?

– Jesteśmy ludźmi – poprawiła go.

Rolls zastawiał Eisner wyjście z wnęki za biurkiem, nie dotykając jej jednocześnie. Nadal patrzył w górę, ale słysząc w głosie kobiety nerwowe rozdrażnienie, przesunął się w bok.

– Chodziło mi o to – powiedział miękko, nie patrząc na nią – że moglibyśmy znowu być w pełni ludźmi. Pełnowartościowymi mężczyznami i kobietami. Warto jest podejmować ryzyko, aby być w pełni człowiekiem, nie sądzisz?

– Ty jesteś nim bardziej niż większość z nas, Rolls – powiedziała, a w jej głosie znowu brzmiała gorzycz. – Ale ja...

Odwrócił się. Kiedy spojrzała na jego twarz, przypomniała sobie, że ten potężny mężczyzna o łagodnym wyglądzie prowadził ekipę zwiadowczą, i że to on wypatrywał dnia, kiedy androidy i Lomeri otworzą przejścia w Matrycy i przyjdą szukać długo odkładanej zemsty. Ryzyko.

Rolls powoli otworzył lewą dłoń. Między kciukiem a palcem wskazującym trzymał łańcuszek tak delikatny, że wydawał się niematerialny, a na nim kołysał się klejnot lśniący wewnętrznym ogniem.

– Tylko na jeden dzień – powiedział, zakładając jej naszyjnik.

– Jak ci się udało? – zaczęła, ale urwała, kiedy jej umysł przetworzył dane i połączył fakty.

A on miał rację. Z klejnotem Penny między piersiami była warta ryzyka.

Eisner wstała. Krzesło zawadzało, dlatego odsunęła je. Twarz zmieniała się jej, a ciało stawało się pełne, kiedy otworzyła czułe na dotyk zapięcie stroju.

Rolls stał, patrząc, ale ciągle nie wierzył, że Eisner nic więcej na sobie nie ma.

Naga spojrzała na niego i zrzuciła książki z biurka, oczyszczając jednym ruchem połowę blatu.

– Chodź do mnie, dryblasie – powiedziała, otwierając ramiona.

Eisner miała postać pulchnej blondynki, młodej, zaledwie nastoletniej. Naszyjnik tańczył i lśnił na jej piersi. Na lewej miała mały pieprzyk.

Wąż zsunął się po prawym ramieniu pancerza na rękawicę, gdzie skurczył się nagle i zaczął znikać. Jego zdrowe oko zalśniło jak diament. Ogon znikał stopniowo, aż kształt węża zagubił się zupełnie i pozostał tylko sam klejnot.

– Załóż zbroję, Hansen – powiedział mechaniczny głos z głębi pancerza. Komisarz ostrożnie wszedł do wnętrza pancerza. Wchodzenie tyłem było niewygodne, ale fizyczny dyskomfort sprawiał, że nie myślał o naprawdę istotnych pytaniach. – Zamknijże go – dodał z irytacją Walker głosem pancerza.

Hansen owinał ostrożnie jasny włos wokół palców. Nie chciał zostawiać go w sypialni. Zimny zamsz wyściółki był wilgotny i pachniał wonią człowieka, który w nim zginął.

Wyświetlacz Hansena rozjaśnił się i ukazał widok sypialni. Pod jego górną krawędzią pojawiły się słowa: ZRÓB DWA KROKI NAPRZÓD, POTEM OBRÓĆ SIĘ W LEWO I ZRÓB JESZCZE JEDEN KROK.

– Łóżko stoi na drodze – zaprotestował Hansen. Z drugiej strony, gdyby musiał, mógłby mebel po prostu roztrzaskać.

WYKONAJ POLECENIE – pojawił się napis na wyświetlaczu; ogromne litery wypełniły całą przestrzeń, reszta obrazu zniknęła.

Cóż, jako żółtodziób wypełniał rozkazy bez wahania i oczekiwał tego samego od swych podwładnych. Nils Hansen, nagle znowu czując się jak młody ochotnik, zrobił dwa kroki naprzód. Jego okryte pancerzem nogi nie natrafiły na żadną przeszkodę.

Szedł zdezorientowany, widząc przed sobą tylko rozkaz, co było gorsze niż całkowita ślepota. Odwrócił się i zrobił następny krok.

Na wyświetlaczu nagle rozbłysły błękitne linie, rozgałęziające się i łączące w fasetkowe wzory. Przestał czuć przyciąganie ziemskie, choć pod jego stopami coś się jednak znajdowało...

– Walker! – powiedział ostro.

Nie ruszał nogami ani rękoma. Czuł się tak, jakby stał pośrodku schematu kryształu... Albo wewnątrz pajęczej sieci.

Małeńki czerwony paciorek zaczął przesuwać się po jednej z błękitnych linii. Ich wzór ciągnął się w nieskończoność, we wszystkie strony. Hansen był sam w zimnym, niezmiennym wszechświecie, w którym poruszała się tylko jedna mała iskierka.

Otworzył znowu usta, aby zawołać Walkera, ale zamknął je i postąpił naprzód, jakby błękitne linie były ścieżkami, a paciorek wskazywał drogę w labiryncie. I tak było faktycznie.

Hansen stał na pustkowiu. Przed sobą widział horyzont, za którym widniała plama czerwonego słońca. Szkielet jakiegoś gigantycznego stworzenia leżał w pobliżu, białe żebra sięgały w stronę światła jak ręce tonącego człowieka w stronę powierzchni.

Stał na pokrytej drobnymi kamykami plaży, utworzonej przez fale w niewyobrażalnie odległej przeszłości, kiedy planeta miała jeszcze morza. Teraz nie było tu nawet atmosfery, a na kamieniach lśnił szron utworzony z resztek zamrożonego tlenu.

Pokrywy systemu wentylacyjnego zbroi zamknęły się z trzaskiem. Ten dźwięk przypomniał Hansenowi, że choć zbroja mogła zamknąć się na wpływy zewnętrzne podczas, na przykład, przekraczania rzek, nie posiadała jednak zapasu tlenu.

Wielki jak dom kryształ na ostrych kolcach toczył się powoli ku Hansenowi. Podstawy

stożkowatych wyrostków obracały się chaotycznie wewnątrz, aż cała... istota... straciła równowagę, upadając na następne rozwidlenia, które z kolei zaczynały się obracać. Efekt przypominał skrzyżowanie jeżozwierza z lawiną.

Kolce i płaszczyzny kryształu odbijały i rozszczepiały światło umierającego słońca, ale wewnątrz krystalicznej masy lśniła iskra oka Walkera, w którym więcej było życia niż dookoła.

– Czy to była Matryca, Walker? – spytał Hansen z pozornym spokojem. – Czy to właśnie widzą kowale, budując zbroje?

Śmiech Walkera odezwał się w słuchawkach pancerza.

– To, co widziałeś, było hologramem, świetlnym wzorcem, niczym więcej – odparł głos. Nie brzmiał jak głos człowieka, ale także nie do końca mechanicznie. – To zaś, co widzą kowale, istnieje tylko w ich umysłach. Dotyczy to również wzorców, odbić absolutu. – Walker zbliżał się. Światło tańczyło na powierzchniach rozszczepiających i na liniach połączeń w centralnej masie. Coś, co załśniło na horyzoncie, mogło być istotą taką jak Walker. – Za ujrzenie Matrycy trzeba zapłacić, komisarzu Hansen – kontynuował. Iskra w rdzeniu kryształu przemieszczała się, kiedy mówił. – A za spojrzanie przez Matrycę cena jest naprawdę bardzo wysoka.

– W tym pancerzu nie ma zbyt wiele tlenu, Walker – powiedział Hansen. Wielka masa kryształu zatrzymała się tuż przed nim. Kilka spośród iglic z mlecznymi skazami wśród blasku zachwiało się tuż nad komisarzem.

– Nie potrzebujesz już tego pancerza – odparł Walker, a kryształ runął naprzód.

Hansen przygotował się na uderzenie, ale żadne nie nastąpiło. Doświadczyl tylko nagłego i kompletnego ustania ruchu, który czuł już wcześniej – kiedy jego kapsuła osiągnęła punkt w przestrzeni kosmicznej, w której powinien był znajdować się Świat Northa.

„Gdzie znajdował się Świat Northa?”

Wyświetlacz zgasł. Jedyнным dźwiękiem, jaki słyszał, było bicie własnego serca. Głos Walkera, nie dochodzący już ze słuchawek, odezwał się:

– Zatrzymasz sztuczną inteligencję i część zestawu sensorów zbroi. Zdobędziesz dla mnie dostęp do pewnych informacji, które znajdują się w posiadaniu androidów w wymiarze, do którego wysłał je North. I otrzymasz obiecaną zbroję.

Hansenowi zdawało się, że dostrzega błyski światła, ale mogły to być tylko odruchy obronne nerwów wzrokowych, starających się osłonić mu mózg przed przyprawiającą o obłąd ciemnością.

– Będę potrzebował broni! – powiedział.

– Masz przecież swój rozum, komisarzu – odparł oschle Walker.

Nagle pojawiło się światło i ciepło, i chluzt brązowej wody, kiedy Hansen wpadł w bagno.

Powietrze było tak wilgotne, że zamazywało światło pochodzące z gorącego słońca. Hansen, mając na sobie kombinezon i twardy hełm – wszystko, co pozostało z pancerza, który mógł powstrzymać ogień artyleryjski – stał po pas w błocie.

Gdyby miał na sobie cały pancerz, właśnie tonąłby, zmierzając nieuchronnie w stronę dna.

Powierzchnia tego miejsca pokryta była błotnistymi pagórkami i stawami. Paprocie i ostre trzciny rosły na metr w górę obficie na całym terenie, ale nie dało się zauważyć stałego ładu. Co kilkanaście metrów widać było kępy czegoś, co mogło być niskimi drzewami – ale prawdopodobnie nimi nie było, bo liście miały taki sam kształt jak paprocie.

Coś powstało z bulgoczącego błota na pobliskim pagórku. Był to stojący na czterech łapach jaszczur długości kilku metrów, z wielkim żaglem rozpiętym między wyrostkami kręgosłupa na grzbiecie i paszczą pełną liści paproci. Na szyi gada zapięta była obroza.

– Ciekawe, kim ty jesteś, przyjacielu – mruknął Hansen, wychodząc z błota, w które wpadł. Zwierzę najwyraźniej należało do roślinożerców, ale podobnie było z bykami, co nie czyniło ich wcale mniej niebezpiecznymi.

– On nie ma imienia – powiedział do niego wyraźnie głos w uszach, należący do SI pozostawionej Hansenowi przez Walkera, o której jak idiota zapomniał. – To edafozaur ze stada androida Strombranda.

Edafozaur przeżuwał liście, kręcąc szczękami. Jego czaszka zdawała się mała w porównaniu z klatką piersiową i brzuchem, ale kępa zieleni natychmiast zniknęła w gardzieli. Zwierzę przechyliło łeb i zerwało pyskiem kolejną kępę paproci, jednym okiem obserwując jednocześnie intruza.

Hansen zmrużył oczy, próbując dostrzec coś w wilgotnej atmosferze. Widział tylko na jakieś sto metrów, a już w połowie tego dystansu mgliste powietrze zacierało wszelkie kolory. Gorące słońce odbijające się w otwartej wodzie i ogromny teren pokryty roślinnością...

Drugi edafozaur wyszedł z mgły, przechodząc przez staw, w którym znalazł się Hansen. Łapy i szeroki brzuch zwierzęcia rozchlapwały wodę we wszystkich kierunkach. W połowie drogi na brzeg bestia zatrzymała się, zaryczała i pazurastą łapą zaczęła drapać obrożę na szyi. Błona pławna między pazurami miała kolor żywej czerwieni. Po chwili drapania, gdy obroża nie otwierając się, przesunęła się tylko na jego szyi, zwierzę podjęło swój niezręczny marsz. Coś wydało gniewny dźwięk z kierunku, z którego nadszedł edafozaur.

– Jakiego koloru... – zaczął Hansen, kiedy dwunożny gad niosący długi kij i nadajnik radiowy wynurzył się z zarośli, z których wyszedł przed chwilą dinozaur. – Co to, u diabła, jest? – zakończył.

Dwunożny gad zauważył Hansena, zatrzymał się w półprzysiadzie, rozchlapując dookoła wodę i umknął pędem w stronę, z której nadszedł. Poza przyrządami trzymanymi w łapach jaszczur miał na sobie krótką, zawiązaną na ramieniu tunikę i obrożę podobną do tej na szyi edafozaura.

– To niewolnik z rasy Lomeri, jeden z pasterzy Strombranda – powiedziała SI. – Jest ich jeszcze dwóch.

Kształty we mgle wspomniały o Lomeri, jaszczuroludziach, kiedy udzieliły Hansenowi audiencji i odprawy przed misją... przed misją, która zmusiła go do misji, która z kolei doprowadziła do tej misji. Ale te wzmianki mówiły, że Lomeri są rasą z przeszłości, która...

– Znowu myślisz kategoriami czasu, komisarzu Hansen – skarcił go głos należący z całą pewnością do Walkera, odpowiadając na pytanie, którego przecież nie zdążył jeszcze głośno zadać. – Ignoruj czas, nie ma on tu znaczenia.

– Czy tutaj Lomeri są niewolnikami androidów? – spytał Hansen. Usłyszał dźwięk, który mógł zostać wydany przez żywe zwierzę lub przez róg sygnałowy. Mógł spróbować ucieczki, ale Lomeri najwyraźniej znali ścieżki na tych bagnach lepiej, niż on zdołałby się kiedykolwiek nauczyć.

– Tych trzech Lomeri to niewolnicy – powiedziała prawdopodobnie SI, nie Walker. – Podobnie jak w wymiarze Lomeri są androidy-niewolnicy. W Otwartych Krainach jest przejście przez Matrycę i nieustannie dochodzi tam do walk.

Dwa inne rogi odpowiedziały sygnałami na zew pierwszego. Sygnały jednak, nie zwierzęta.
– Czy North znajduje się w tym wymiarze? – spytał Hansen. – Czy można do niego dotrzeć?
Stojący niedaleko edafozaur zamknął nagle szczęki ze słyszalnym mlaśnięciem, przeżute w połowie liście posypały się w błoto. Zwierzę odwróciło się i odbiegło we mgłę, silnie kołysząc ciężkim cielskiem na boki.

Hansen zobaczył trzech jaszczuroludzi. Ich odbiorniki radiowe wisiały w pochwach na szerokich pasach. Kije, które nosili, były zastrzone z obu stron.

W słuchawkach Hansena rozległ się elektroniczny chichot.

– Komisarzu, komisarzu – powiedział Walker. – North i Rolls utworzyli przymierze i połączyli swe wymiary. Ale przejście do nich poprzez Matrycę wymaga pozwolenia, które nic nie da, jeśli Lomeri pana zabiją.

Hansen zaśmiał się. Mocnym pociągnięciem wyrwał jedną z grubych trzciny z błota.

– Nie zabiją mnie, Walker – powiedział z pewnością człowieka, który ma do wykonania łatwe zadanie; co byłoby miłą, do cholery, odmianą. „Moi zwierzchnicy przysłali najlepszego”. Machnął zaimprovizowaną włócznią. Kolce na końcu trzciny miały po dwadzieścia centymetrów długości. Wyważenie broni zmieniło się, kiedy z korzeni trzciny opadło błoto. Hansen otrząsał trzcinę, idąc w stronę Lomeri, starając się pozostawać na widoku.

– Komisarzu Hansen, teraz ja jestem pana zwierzchnikiem – powiedział surowo Walker.

– Tłumaczenie – zakomenderował Hansen.

– ...i jeżeli stracimy jeszcze choćby jedno zwierzę – powiedział głos zadziwiająco wyraźnie; w hełmie pancerza oprócz systemu SI znajdował się również doskonały mikrofon paraboliczny. – Strombrand z pewnością każe obłupić nas ze skóry.

Jaszczuroludzie zatrzymali się, rozmawiając. Hansen zbliżał się do nich.

– Gdyby wyposażył nas w porządny sprzęt, byłoby nie mogłoby uciec! – warknął jeden z Lomeri. – To jego wina.

– Ale nasze skóry – odparł pierwszy z jaszczurów.

– Walker – powiedział Hansen. – Czy mógłbym naprawić ich sprzęt narzędziami, które mi pozostały?

– Tak – odrzekła SI. Brzmienie głosu było nieco inne niż głosu Walkera, mimo że obie mechaniczne istoty mówiły za pośrednictwem tych samych obwodów.

Lomeri byli odrobinę wyżsi od Hansena, szczupli. Mieli niebezpieczny wygląd, jakby zbudowani byli z węzłów drutu kolczastego. Czerwone i pomarańczowe wzory na łuskach pod tunikami sprawiały, że wydawali się płonąć.

– Strombrand nas potrzebuje – stwierdził trzeci jaszczur zdecydowanie. – Obije nas tylko... warto zaryzykować, żeby znowu móc najeść się czerwonego mięsa!

Zmierzył wzrokiem odległość dzielącą go od idącego Hansena – pozostało jakieś pięć metrów – i jego zębate szczęki rozdzielił szeroki uśmiech. Hansen również się uśmiechnął.

– Ale czy warto zaryzykować, że ktoś wepchnie ci wszystkie cztery kończyny do gardła, chłopie? – powiedział, słysząc, jak głośnik w hełmie syczy i klekocze w mowie jaszczurów. Machnął trzcina w stronę głodnych Lomeri. Opryskała ich woda.

Zamiast mrugnięcia, ich duże, wyłupiaste oczy przesłoniły poprzeczne membrany. – Albo – ciągnął Hansen – możecie być dla mnie uprzejmi, a ja w zamian naprawię wasz ekwipunek, żeby nikt nie miał powodu was obić. – Wysunął trzcinę kolcem naprzód, jak Lomeri języki. Najbliższy z gadów cofnął się, przyciskając do piersi kij. – Więc jak, chłopcy?

Lomeri skupili się w grupę, stojąc twarzami do intruza. Mikrofon i SI pozwoliły Hansenowi słyszeć ich szepty.

– Jak może...

– Nie może być tak twardy, żeby...

– Czy z jaj złożonych przez twoją matkę wykluło się wielu takich głupców? Nie mamy pojęcia, kim jest! Dobra, więc...

Jeden z Lomeri – ten pierwszy – wyprostował się, wyjął radio z pochwy u pasa i, po chwili wahania, rzucił je Hansenowi.

– Dalej więc – powiedział jaszczur. – Napraw je.

Hansen spojrział na urządzenie. Na czarnej, plastikowej obudowie widniał tylko wyświetlacz i miniaturowy joystick. Z jednej strony czarnego pudełka wystawała krótka antena.

– Podnieś je tak, aby trzymać pod podbródkiem – poleciał głos Walkera. – I nie spuszczaaj oka z Lomeri.

– Nie ma obawy – odparł Hansen, stosując się do instrukcji.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu do jaszczuroludzi. Gdyby któryś z nich zaatakował, Hansen zamierzał wbić mu w pysk ostry koniec trzciny, złapać kij jaszczura i machnąć nim szybko w prawo i w lewo...

Oczywiście, nawet gdyby udało mu się zrobić to, co planował, pozostawał jeszcze trzeci jaszczur, który mógłby rozerwać mu gardło stworzonymi przeciwzłaznami w tym celu zębami.

Pół tuzina wąskich, poznaczonych guzowatymi stawami odnóży wysunęło się z hełmu Hansena. Były wykonane z kryształu, i łatwo było zgadnąć, skąd się wzięły. Lśniące końcówki obmacały obudowę radia. Błysnęło ostre światło laserowej lancy tnącej, potem jedna z pseudomacek odsunęła przód obudowy, a druga zanurzyła się we wnętrzu mechanizmu.

Lomeri odsunęli się o kolejny krok.

– Phi! – zaskrzeczał głos w słuchawkach Hansena. – Złom, zwykły złom.

Umysł Hansena podzielił się, obserwując dwie rzeczywistości jednocześnie. Nadal widział jaszczuroludzi wysuwających raz za razem języki w nerwowych gestach, ale zdawali się oni postaciami wyświetlonymi na powierzchni płaskiego ekranu. Bliższa część jego pola widzenia wypełniła się liniami i cieniami, które Hansen uznał za nie tyle formy, co ich reprezentacje, bliższe koncepcji idei platońskich niż cokolwiek, czego mógłby doświadczyć zmysłami.

– Walker – powiedział Hansen. – Jak to działa?

Obraz w wizjerze wyostrzył się. Smugi cieni zmieniły się w wachlarze wąskich linii, inne znikły zupełnie.

– Wysyła sygnał do obroży edafozaurów – odparł Walker. – Wyświetlacz to kontrolka częstotliwości – nie działa najlepiej, ale coś z tym zrobić. Joystick reguluje amplitudę sygnału, który zwierzę odbiera jako ból, przesłany za pośrednictwem obroży do pnia nerwowego. Coś w rodzaju elektrycznego pastucha, kiepsko zmontowanego i nie dysponującego dostateczną mocą.

Hansen oblizwał wargi. Zabawne, jak bardzo potrafią wyschnąć człowiekowi usta nawet w tak gęstej od pary wodnej atmosferze.

– Walker? – powiedział. – Czy możesz zwiększyć moc i zasięg tego urządzenia?

– Podłączam go do Matrycy jako źródła energii – odparł Walker. – Tak, komisarzu, skoro już nad tym pracuję, zwiększam też moc i zasięg tak, że urządzenie kontroluje teraz także obroże noszone przez Lomeri.

Znowu rozległ się elektronicznie przetworzony chichot. Hansen znowu widział normalnie. Kryształiczne odnóży zamknęły obudowę i zniknęły.

Hansen odrzucił urządzenie właścicielowi.

– Wypróbuj – powiedział. – Ale uważaj na poziom mocy. Jeśli dojdiesz do końca skali, zadziała to też na twoich koleżków.

Jaszczur poruszył joystickiem. Gdzieś na bagnach rozległ się bolesny ryk. Lomeri zwolnił nacisk na manipulator.

Odległe chlapanie nadchodzącego zwierzęcia trwało trzydzieści sekund, a potem zwolniło. Drugi impuls wywołał następny ryk, tym razem bliższy. Edafozaur, ten, którego oddalenie się doprowadziło do spotkania z Hansenem, pojawił się w pobliżu.

– Nigdy dotąd tak nie działało – wymamrotał zachwycony jaszczur.

– Następny? – spytał komisarz.

Lomeri bawił się jednostką nadawczą, kiedy Hansen pracował nad drugą. Edafozaury nie miały chyba żadnego instynktu stadnego, miały za to silną tendencję do włączenia się. Ryki bólu dochodziły ze wszystkich stron, kiedy jaszczuroludzie sprowadzali swe bydło, i kiedy zwierzęta pojawiły się w zasięgu wzroku, torturowali je dalej dla samej przyjemności patrzenia na ich ból.

– Pozostała jedna... – zaczął Hansen, zwracając drugie radio. Dwóch jaszczurów wyciągnęło po nie łapy. Kiedy jeden złapał urządzenie, drugi uderzył kijem w brzuch kamrata. Obaj wyprężyli się, wyjąc z bólu. Trzeci z Lomeri przekreślił joystick i ustawił impuls na maksymalną moc. Jego śmiech miał okrutne brzmienie, jak odgłos cegły tłukącej szkło. Hansen wziął pozostały nadajnik, kiedy jego właściciel podskakiwał na jednej nodze, próbując unieść łeb wyżej, aby pazurzystymi palcami zdjąć z szyi obrozę. Trzeci z jaszczurów wyłączył urządzenie, pozwalając kompanom upaść w błoto, ciężko łapiąc powietrze. – Pozostała jedna rzecz – skończył zdanie komisarz, kiedy kryształowe odnóża o gruzłowatych jak u pająka stawach wysunęły się znowu z hełmu. – Na tych bagnach wasze nadajniki znowu się zepsują. Tutejsza atmosfera... – wskazał ręką na gnijące rośliny i drgające z gorąca i wilgoci powietrze – zabrudzi i zniszczy wszystko, czego nie da się zjeść, dlatego będziecie musieli za jakiś czas dać je komuś, kto znowu je naprawi. – Rzucił trzeci przyrząd właścicielowi. Jaszczuroludzie popatrzyli po sobie. Najbliższy zmienił chwyt na zaostrej lasce. Hansen uśmiechnął się do niego. – Nie kłamałem także, mówiąc, że nakarmię cię twymi własnymi kończynami, chłopie – powiedział. Jaszczur cofnął się. – Tak więc sądzę, że najlepiej będzie, jeśli zostawię to temu z was, który najbardziej tego chce – kontynuował. Zdjął hełm z głowy, ocenił odległość i cisnął go łukiem dokładne pomiędzy trzech Lomeri.

Błoto zamlaskało pod stopami jaszczurów, kiedy rzucili się po cenny przedmiot. Jeden z nich złapał hełm obiema łapami i strząsnął z ramion towarzyszy. Zaskrzeczał, kiedy jeden z kompanów wbił mu zaostrej kij w brzuch tak głęboko, że szpic wyszedł plecami, unosząc łuskowatą skórę, której nie zdołał przebić, niczym namiot.

Zabójca wyrwał broń chwilę za późno. Jego nie zraniony towarzysz skoczył mu do gardła i złapał za nie zębami, które zrobiły wcześniej takie wrażenie na Hansenie. Krew czerwona jak u ssaka siknęła na wszystkie strony. Zabójca wypuścił kij. Próbował rozewrzeć szczeki towarzysza, ale zęby spełniły swe zadanie, stracił siłę w ramionach.

Ostatni jaszczur odrzucił na bok zwłoki kompana, którego zębami niemal nie pozbawił głowy i wyprostował się. Rechotał głośno. Ohydny odgłos zamienił się nagle we wrzask, kiedy Lomeri złapał za obrozę. Ostatnim odgłosem, jaki z siebie wydał, było klekoczące stęknienie, potem zaś padł pyskiem w błoto bagna. Jego nogi przez chwilę drgały, ale z wody zakrywającej nozdrza nie uniosły się nawet bąbelki powietrza.

Jaszczur z kijem wbitym w trzewia upuścił radio. Nachylił się, próbując dosięgnąć hełmu. Dotknął go palcami zaopatrzonymi w pazury, ale nie starczyło mu już siły, aby go podnieść. Rozrzucił ramiona i upadł.

Hansen wydobył hełm spod drgających zwłok. Spojrzał na niego i zobaczył, że na czole hełmu lśnił pojedynczy, błękitny diament.

– Witaj, Walker – powiedział, zakładając hełm z powrotem.

Edafozaur stęknął z zadowoleniem. Stado znowu zaczęło się rozdzielać.

– To nie było konieczne – odparł zrzędlawie Walker. – Mogłeś zabić ich wszystkich pierwszym nadajnikiem.

– Zrobiłem w życiu wiele rzeczy, które nie były konieczne – podsumował Hansen. W jego oczach nie było żadnych emocji, ale dłonie spocily mu się pod wpływem myśli, które przelatywały przez

głowę. – Jedyńi ludzie, których śmierci żałuję, to ci, których zabiłem, chociaż nie musiałem – dodał, starając się ukryć nagłe drżenie głosu. Spojrzał na ciała. Wszystkie nadal się poruszały. Zastanawiał się, czy u Lomeri to normalne. – Skoro chcieli umrzeć, umarli. To był ich wybór.

– Nieważne – powiedział głos w słuchawkach. – Dopóki twoje metody są skuteczne, nie będę się sprzeciwiał.

– Czy możesz pokazać mi drogę do Strombranda? – spytał Hansen,

– Oczywiście.

– To ruszajmy – ponaglił komisarz, wycierając dłonie o kombinezon, jakby starał się pozbyć z nich dotyku śmierci. – Mam przeczucie, że będzie szukał pastuchów do pilnowania trzody.

Hansen spodziewał się nierównej palisady wokół zapadłej wsi i problemów sanitarnych gorszych niż w Kamieniu Pokoju. Zamiast tego ujrzał stojący wśród mgły czarny, gładki mur. Połyskiwał jak plastik albo beton zalany idealnie równą powłoką. Za murem widniała kopuła geodezyjna, także czarna i wyrastająca na sto metrów w niebo. Niskie wieżyczki rozmieszczone w równych odstępach wzdłuż muru zewnętrznego były za małe dla strażników, ale wystarczające dla zestawów sensorów i broni automatycznego systemu obronnego. Zatrzymał się.

– Podejź do bramy i zażądaj prawa wstępu jako samotny podróżny – rozkazał Walker. – Strombrand powinien żywić cię i zapewnić dach nad głową przez trzy dni.

– W porządku – powiedział Hansen, trzymając ręce odsunięte lekko od ciała i dłonie zwrócone wnętrzem do sensorów. Walker nie chciał jego śmierci, była to jedna z niewielu rzeczy, które komisarz wiedział na pewno. Nie znaczyło to jednak, że jego kryształowy zwierznik nie mógł się pomylić. – Proszę o schronienie! – krzyknął w stronę fragmentu muru, w którym zauważył bramę; tym razem bez pomocy Walkera. Mimo że na gładkim plastiku nie było żadnych znaków, do jednego miejsca wiodła wydeptana ścieżka. Małe wieżyczki po bokach zahuczały. – Strombrand ma informacje, których potrzebujesz? – spytał podczas oczekiwania na odpowiedź zza muru.

– To Strelbrand kontroluje bank danych – odparł Walker. – Bracia Strombrand i Strelbrand to dwustronni bliźniacy, lewostronny i prawostronny, i być może uda się nam przez Strombranda uzyskać dostęp do tego, czego strzeże jego brat.

Fragment ściany przesunął się na bok. Dwoje ponurych ludzi w obrożach niewolników stało w środku w towarzystwie dwugłowego androida. Niewolnicy nie byli wiele bardziej czystszy niż Hansen, który przepłynął strumień błotnistej wody, kiedy Walker zapewnił go, że pod powierzchnią nie żyje nic, czego mógłby się obawiać. Android opierał się leniwie o wewnętrzną stronę muru, trzymając w rękach strzelbę o szerokim wylocie lufy podobną do garłacza.

– Witaj wędrowcze w pałacu wielkiego lorda Strombranda – powiedzieli chórem w języku standardowym niewolnicy.

– Wyglądasz na smaczny kąsek, chłopie – powiedziała jedna para ust androida. Druga para zaśmiała się. – Chodź za mną – ciągnęły pierwsze usta. – Mam cię zabrać do mojego ojca.

Wolną ręką wskazał ogromną kopułę. Wylot garłacza nadal skierowany był w brzuch Hansena.

Dziedziniec miał błotnistą nawierzchnię, ale w mur wbudowano od środka sklepienie łukowate obory; a może domy. Tuzin ludzkich robotników pracował na dziedzińcu przy najróżniejszych zajęciach, wszyscy mieli na szyjach niewolnicze obroże. Obserwowali Hansena z ukosa. Wyrazy ich twarzy przypominały pyski Lomeri dyskutujących o następnym posiłku.

– Ojca? – wyszeptał komisarz, idąc w stronę kopuły. – Przecież partie produkcyjne androidów są kontrolowane, a jednostki zdolne do rozmnażania natychmiast niszczone.

– Androidy zdolne do rozplodu są niszczone albo bardzo ściśle kontrolowane, komisarzu – odparł Walker. Hansenowi zdawało się, że usłyszał rozbawienie w jego głosie. – Zdolne do reprodukcji egzemplarze są bardziej inteligentne niż przeciętnie, co jest bardzo użyteczne dla pewnych celów. Celów Konsensusu.

„Solbarth. Czy Solbarth należał do tej samej partii produkcyjnej co Strombrand?”

– Kiedy wyrwą się jednak spod kontroli, bywają bardzo niebezpieczne – mruknął komisarz.

„Ale okazałem się lepszy od Solbartha” – pomyślał. Niewolnicy przy wejściu do wnętrza kopuły

splukali Hansena gumowym węzłem.

– No dalej, dalej – rozkazywał jeden z nich. – Odwróć się.

Hansen nie narzekał, kiedy ściekała po nim woda. Za jego plecami buty androida umyto w ten sam sposób.

Wnętrze kopuły oświetlone było rurowymi lampami wmontowanymi w linie złączeń faset kopuły. Kolory różniły się pomiędzy poszczególnymi łukami, nigdy jednak nie były jasne ani wyraźne, nie sprawiały miłego wrażenia. Mieszanka kolorów rzucała błotnisty cień na setkę lub więcej osób, niewolników i androidów, zebranych w środku sali.

– G'wan – powiedział dwugłowy android do jednego z niewolników, trącając Hansena w plecy łufą garłacza. – Zaprowadź go do mojego ojca i chodźmy znaleźć coś do jedzenia.

„Połkniesz własne zęby, jeśli jeszcze raz dotkniesz mnie tą spluwą” – pomyślał komisarz, ale tylko dla pokrzepienia własnej duszy. Zamieszanie i bójka nie pomogłyby mu w wykonaniu zadania, a wykonywanie powierzonych mu zadań zawsze było dla niego priorytetowe. Charakter zadania nie miał nigdy znaczenia... Przeszedł przez luźny tłum. Kilka spośród androidów było równie idealnie ukształtowanych jak Solbarth – w każdym razie fizycznie. Inni byli ohydnie zdeformowani, mieli dodatkowe kończyny i kilka głów jak przewodnik Hansena.

Androidy ubrane były w luźne szaty, obwieszane złotem i klejnotami. Część ludzkich niewolników naśladowała ten styl. Pulchny człowiek rozmawiający z androidem siedzącym na jedynym krześle w pomieszczeniu miał na szyi złoty tork, który niemal zakrywał obrożę niewolnika.

– Strombrand – powiedział Walker, ale to było oczywiste.

– Pasterze jeszcze nie wrócili, sir – powiedział niewolnik.

– To zwiększ moc sygnału, Donner! – rozkazał Strombrand. – Czy muszę uczyć cię, co masz robić?

Strombrand posiadał jedną głowę i normalną ilość kończyn, ale nikt nie mógłby wziąć go za człowieka. Był ogromny, dosłownie trzy razy szerszy od dorosłego mężczyzny. Jego nagie ramiona pokryte były węzłami mięśni i ścięgien, bransolety, które nosił, pasowałyby na Hansena w charakterze pasa.

– Ale nadajemy już niezwykle mocny sygnał – zaprotestował Donner. – Boję się, że uszkodzimy tych głupców, a sam wiesz, panie, jak trudno zastąpić Lomeri.

– Jeśli mowa o trzech Lomeri, których widziałem w drodze tutaj – wtrącił się komisarz, zbliżając się do tronu – to nikt nie może ich już uszkodzić. Zdaje się, że wdali się w bójkę i pozabijali nawzajem.

– Co? – pisnął Donner.

– Co? – zahuczał Strombrand, zrywając się z krzesła.

Hansen aż zamrugał, bo ruch ten skojarzył mu się z lawiną pędzącą w jego kierunku.

– Jest tak, jak mówię – wyjaśnił. – Powyrzynali się nawzajem dzidami i zębami. – Wzruszył ramionami. – W pobliżu było kilka edafozaurów, dlatego skojarzyłem zwłoki tych trzech, kiedy wspomniano o pasterzach.

– Kiedy to się zdarzyło? – spytał władczo wódz androidów. Pomimo potwornej postaci biała skóra Strombranda była tak gładka, że światło układało się na niej w wyraźne plamy.

– Może ze trzy godziny temu – odpowiedział Hansen. Nawet bez wsparcia SI i Walkera zegar wewnętrzny podawał mu czas z dokładnością do pięciu minut, ale o tym Strombrand nie musiał wiedzieć.

– A stado samo włóczy się po bagnach? – huknął Strombrand. – No nie stójże tak, Donner! Zwołaj niewolników i sprowadź moje stado!

Pot zrosił łysinę Donnera, złożył razem dłonie.

– To się nigdy nie uda – jęknął. – Przeklęte bydło, zawsze się włóczy i zanim dotrzemy tam przez błoto, rozejdzie się zupełnie!

– Czy pytałem cię o zdanie? – spytał android, zwijając dłonie w pięści wielkości głowy Hansena.

– Jeśli martwicie się tylko o sprowadzenie z powrotem stada, mogę je przywołać – powiedział komisarz.

Oczy wszystkich zgromadzonych spoczęły na nim.

– Bardzo sprytnie, Hansen – wyszeptał Walker.

– Oczywiście jest coś, czego potrzebuję, a w czym możesz mi pomóc, lordzie Strombrand – mówił dalej Hansen. – Zawrzemy umowę?

Android usiadł. Prawym palcem wskazującym stukał w poręcz tronu. Odgłos brzmiał jak walenie kafara.

– Jaką umowę? – spytał.

– Jest coś, o co muszę spytać bank danych twego brata – powiedział Hansen. – Czy pomożesz w tej sprawie?

Olbrzymie łuki brwiowe Strombranda ściągnęły się w namyśle.

– Bank danych nie należy do Strelbranda, należy do nas wszystkich. Poza tym on się nigdy nie zgodzi, niezależnie od tego, co bym mu powiedział.

– Nie taka ma być umowa – rzekł Hansen. – Ja sprowadzę twoje bydło, a ty zrobisz wszystko, co w twojej mocy, aby umożliwić mi zadanie bankowi danych jednego pytania. Dasz mi swoje słowo?

– Przysięgi mają swoją wagę w Świecie Northa – powiedział Walker, powtarzając jedną z pierwszych rzeczy, jakie powiedział Hansenowi na zaśnieżonym wzgórzu.

Strombrand potarł palcami szeroką szczękę.

– Zgoda – odpowiedział. Powstał z miejsca, tym razem wolniej, przez co nie sprawiał wcale mniej groźnego wrażenia. – Mnie jednak nie interesuje to, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy, przybyszu. Jeśli nie sprowadzisz z powrotem stada, staniesz się głównym daniem mojej kolacji dziś wieczorem. Rozumiesz?

– Och, tak – odparł komisarz z zimnym uśmiechem. – Rozumiem doskonale, lordzie Strombrand.

„A ty pamiętaj, co mi obiecałeś” – pomyślał jeszcze, i nie była to przechwałka.

Sygnaly Walkera przygnały stado edafozaurów z powrotem, podczas gdy Hansen stał na błotnistym dziedzińcu i pogwizdywał „W wagonie towarowym daleko przede mną”. Później, tego samego popołudnia wsiadając do pojazdu powietrznego, aby udać się do posiadłości brata Strombranda, widział, jak nadzorca niewolników, Donner, nachyla się nad jednym z wielkich zwierząt. Gwizdał zaciekle, mając nadzieję zobaczyć chociaż ślad zainteresowania w oczach gada.

Pałac Strelbranda był identyczny z pałacem jego brata. Sam Strelbrand był zaś lustrzanym odbiciem brata. Jego żona, tak samo szeroka jak każdy z mężczyzn z dodatkowymi parami rąk i nóg, była jednak bardziej ohydna. A reakcja Strelbranda na prośbę Strombranda była dokładnie taka, jaką ten przewidział.

– Co? – huknął siedzący android. – Czyżby w naszej partii produkcyjnej pojawił się błąd szaleństwa, Strombrand, że prosisz mnie o coś takiego? Nie! Oczywiście, że nie!

Strombrand zachowywał się ostrożnie jak pająk w sieci innego pająka. Zgarbił się tak, jakby spadł mu na barki jakiś ciężar.

– Jestem związany przysięgą, aby cię ubłagać, bracie – powiedział. Nie obejrzał się nawet na stojącego za nim Hansena.

– Cóż, ja zaś jestem związany przysięgą, aby powiedzieć ci, że jesteś szalony, bracie – odrzekł Strelbrand. – Wiesz, jak bardzo North i jego zgraja chcieliby dobrać się do naszego banku danych!

– Jestem związany przysięgą – nalegał Strombrand, niemal powtarzając swe wcześniejsze słowa. Strelbrand wstał, opierając się na swych przypominających słupy nogach. Ponieważ tron stał na podwyższeniu, górował teraz nad bratem.

– Powiedz więc temu, komu złożyłeś przysięgę, Strombrand – powiedział – że tylko ja mogę wkraczać do komnaty.

Żona Strelbranda zaszepotała mu coś do ucha.

– Ja i moja córka Acca, oczywiście – dodał wódz androidów. Kiedy się uśmiechnął, wyglądało to tak, jakby rozstępowała się ziemia. – Ale ona nie może do niej wejść, bo nie może z niej wyjść, nieprawdaż?

Śmiech tłumu ścigał Strombranda i Hansena w drodze na dziedziniec.

– Mówiłem ci, że tak będzie – powiedział android do człowieka, kiedy obaj wsiadali do otwartego pojazdu powietrznego.

– To prawda – zgodził się Hansen. – Wrócimy więc dziś w nocy do tunelu, który prowadzi do komnaty banku pamięci.

Strombrand zatrzymał się.

– Wiesz o tunelu? – powiedział z mieszaniną groźby i zdziwienia.

– Dalej, startujmy – odparł Hansen z uśmiechem. – Tak, wiem o wielu rzeczach. Wiem też, że dotrzymasz dziś wieczorem danego słowa.

Strombrand otworzył przepustnicę, aby wznieść się w mgliste powietrze. Monstrualnych rozmiarów android nie wystraszył się chyba wyrazu twarzy komisarza...

Noc była ciepła i wilgotna tak samo jak środek dnia. W gęstym powietrzu rozchodziła się lekka mgielka światła. Strombrand z młaśnięciem posadził pojazd powietrzny na brzegu rzeki. Bąble gazów wydzielanych przez gnijące rośliny uniosły się z błota z beknięciem. Wylądowali obok metalowej płyty o średnicy dwa i pół metra. Za dnia byłaby niemal niewidoczna, ale pokrywając ją błoto fosforyzowało lekko, podkreślając nienaturalnie okrągły kształt. Posiadłość Strelbranda była niedaleko, ale nawet za dnia ukryłaby ich przed jego oczami gęsta mgła.

– To tutaj, tajne wejście – zaszepotał Walker w słuchawkach Hansena.

– Doskonale – powiedział komisarz do ogromnego androida. – Gdybyś zechciał teraz otworzyć pokrywę i wyłączyć system obronny, uznałbym, że jesteśmy kwita.

Strombrand spojrzął na swego pasażera.

– Kim ty jesteś? – warknął.

Mała jaszczurka w korycie zarośniętego trzciniami strumienia uniosła łebek na ten odgłos, a potem zanurkowała pod powierzchnię wody szybkim ruchem przednich łapek.

– Jestem człowiekiem, który sprowadził twoje bydło – odpowiedział Hansen. – Idziemy?

Strombrand zaklął głosem jak grzmot i wyszedł z pojazdu. Kadłub osiadał raz na jedną, raz na drugą burtę, kiedy olbrzym gramolił się z siedzenia. Przesunął pas podtrzymujący wylot lufy laserowego miotacza. Akumulator, który niósł na plecach, wymagałby pojazdu transportowego dla każdego normalnego człowieka.

– Gdybym wiedział, czego ode mnie zażadasz – rzekł android, szukając klamki wśród błota –

nigdy bym się nie zgodził.

Hansen nic nie powiedział.

Owady wpadały na nich w ciemności i znowu odlatywały. Małeńkie osy, które spijały soki roślin na tym pozbawionym kwiatów świetle, i tnące muchy, które przystosowały się do picia krwi stworzeń zinnokrwistych, a które po obwąchaniu obydwu nie zdradzały zainteresowania ofiarami.

Komisarz zobaczył lśnienie skrzydełek na tle panelu zegarów i przyrządów pojazdu i złapał owada lewą ręką. Skrzydełka rozwścieczonego stworzenia uderzały mu o palce i wnętrze dłoni. „Przynajmniej nie straciłem jeszcze refleksu” – pomyślał.

Drzwi otwarły się z okropnym odgłosem ssania. Światło ze środka kończyło się przy wejściu. Strombrand wskazał ręką wejście.

– Proszę.

Hansen wysiadł z pojazdu.

– Ty pierwszy – powiedział, również wskazując tunel ręką. – Musisz jeszcze wyłączyć system ochronny.

– Nie obiecywałem, że za ciebie zginę – krzyknął android.

– Jeśli istnieje jakieś ryzyko, sam je podejmij!

– Ale ty przecież niczym nie ryzykujesz, Strombrand – odparł łagodnie Hansen, wskazując wejście palcem prawej dłoni.

– System obronny myśli, że jesteś swoim bratem, więc możesz go wyłączyć. O czym obaj wiemy.

Jakiś mięsożerca o ogromnej gardzieli wydał z siebie mrukliwy ryk, odpowiadając na głos Strombranda.

Olbrzymi android zaklął i wszedł do tunelu. Z zewnątrz zdawało się, że tunel zmierza wprost do wnętrza ziemi. On szedł jednak jakby po spirali, z każdym następnym krokiem obracając się wzdłuż osi tunelu. Żółtawe światło z przeciwległego końca tunelu zalewało jego wnętrze. Błyszczało na biżuterii androida i na wypolerowanych elementach plecaka z akumulatorem lasera. Ogromne ciało zmniejszało się szybciej, niż wymagała tego odległość. Pomiędzy Hansenem i androidem poczęły rozchodzić się łagodne fale powietrza, jakby olbrzym szedł po gorącym piasku.

Nagle centrum tunelu wypełniły iskry. Strombrand zatrzymał się, otoczony błękitnymi płomieniami. Zrobił następny krok i nacisnął przycisk na ścianie. Iskry zniknęły, kurtyna, która zdawała się zasłaniać tunel, uniosła się i znikła również.

Android szedł dalej. Hansen powoli wypuścił oddech z płuc. Druga struga iskiek uderzyła w androida tak mocno, że czekający na zewnątrz Hansen poczuł, jak jeżą mu się włosy na głowie. Strombrand przeszedł jednak i tę przeszkodę. Jego olbrzymie cielsko zmniejszyło się do rozmiarów myszy idącej wśród złotego blasku. Dotarł do końca tunelu i pomachał małeńką z daleka ręką Hansenowi.

– Idź – powiedział Walker. – Ale bądź ostrożny.

– A ty idź i ucz swą babcie wysysać jajka – powiedział Hansen, wchodząc do tunelu i natychmiast czując wiszące w powietrzu napięcie energii.

Nie czuł zawrotów głowy ani dezorientacji, idąc w stronę Strombranda. Obejrzał się raz, aby stwierdzić, czy rotacja, którą zauważył wcześniej, była widoczna z tunelu, ale wejście do niego tonęło we mgle, a poza tym i tak był to głupi pomysł.

Strombrand urósł do swego rzeczywistego, zniekształconego kształtu. Źródłem złocistego światła były znajdujące się za nim drzwi. Wskazał je ręką wielkości łopaty koparki.

– W porządku, otworzyłem ci przejście. Jesteśmy już kwita.

Hansen otworzył lewą dłoń. Osa, którą cały czas trzymał, odleciała, szukając światła. Dotknęła

powierzchni drzwi i została nagle zdeintegrowana w powodzi złotego blasku.

Hansen uśmiechnął się.

– Otwórz dla mnie drzwi, mój bracie w przysiędze – powiedział.

Ukryte w cieniu oczy Strombranda były jeziorami czarnej furii. Pchnął ręką środek drzwi.

Rozległo się głośne kliknięcie. Blask rozświetlający tunel zgasł, ale drzwi nieco się otworzyły i odrobina światła przenikała do tunelu wokół wejścia.

– Dotrzymałem przysięgi – stwierdził Strombrand. – Acca się teraz tobą zajmie; ale to nie moja sprawa.

Ruszył z powrotem zaciemnionym tunelem, nie czekając na odpowiedź Hansena.

– Jesteś już bezpieczny – usłyszał od Walkera.

Hansen ostrożnie dotknął drzwi. Były ciepłe i masywne jak drzwi do skarbcza, ale dotknięcie androida rozbroiło ich system obronny. Oparł się całym ciężarem o wrota. Przez chwilę inercja wytrzymała jego nacisk, potem zaś krąg światła wokół wejścia zaczął się zwiększać.

– Nieznajomy! – zawołał Strombrand z końca tunelu. – Otworzyłem ci przejście. Dotrzymałem przysięgi!

Hansen obejrzał się przez ramię. Android celował do niego z miotacza laserowego.

– Nie ruszaj się! – powiedział Walker tonem nie znoszącym sprzeciwu. Hansen zamarł. Jego oczy i usta pozostały otwarte. Czekał...

Laserowy strzał był łuną zielonego światła zaginającego się wzdłuż ścian tunelu zamiast podążać prosto w serce Hansena. Ten śledził wzrokiem lot promienia, choć przy prędkości światła powinien jedynie odczuć wstrząs systemu nerwowego, po wyparowaniu środka klatki piersiowej... Smuga skupionego światła uderzyła i odbiła się od drzwi pomiędzy jego prawym ramieniem i klatką piersiową. Para uniosła się z przepoconego materiału rękawa. Ponieważ drzwi były otwarte, promień odbił się tuzin razy od ścian tunelu, mknąc z powrotem w stronę wejścia. Ciało Strombranda zapłonęło skwierczącym zielonym płomieniem. Jego krzyk był głośny, ale bardzo krótki. Hansen mrugnął i potarł skórę policzka, piekącą od wyzwolonej przez laser energii.

– Walker – powiedział. – Jak ona wygląda, ta Acca?

– Czy to ma znaczenie? – odparł głos maszyny.

Hansen wzruszył ramionami.

– Pewnie nie – przyznał.

Śmiech Walkera odezwał się w słuchawkach Hansena.

– Naprzód, komisarzu – powiedział. – Naprzód. Przybyliśmy tu z daleka.

Hansen znalazł się w upstrzonym plamami słonecznego światła lesie. Była późna wiosna i czubki gałęzi świerków były jaskrawozielone od młodych igieł. Wiewiórka zapiszczała głośno, patrząc na intruza zza pnia drzewa. Ten sprawdził ziemię pod stopami palcami dłoni. Napotkał elastyczną powierzchnię, ale nie matę igieł, którą sugerował mu wzrok. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć świerku i nie napotkał na nic poza iluzją świetlną, przez którą przeniknęła jego dłoń.

Wysoka, naga kobieta biegła bosą wśród fałszywych drzew. Jej zaplecione w warkocz rude włosy były tak długie, że musiały opadać do kolan, kiedy stała nieruchomo. Jasno upierzony samiec kardynała zerwał się z obwieszanej szyszkami gałęzi, gdy tylko minęła drzewo, na którym siedział. Potem nagle zniknął i ptak, i kobieta. Zamilkła nawet wiewiórka, żadne z nich tak naprawdę nie istniało.

Drzwi zamknęły się za plecami Hansena. Nie pozostał po nich żaden ślad. Obliznął wargi i ruszył w stronę, w którą pobiegł duch kobiety.

Wszedł na łąkę. Trawy wyrastały wysoko, sięgając mu ponad głowę. Łodygi obsypane były maleńkimi pastelowymi kwiatkami, wśród których fruwały ptaki. Nie wiedział, w którą stronę pobiegła kobieta. Jego ciało nie dotykało niczego, kiedy szedł przez rozświetlone słońcem iluzje.

Kobieta szła w jego kierunku. Trawy rozstępowały się przed nią. Cykada przeskoczyła z zielonej łodyżki na jej ramię i z powrotem, grając dźwięczną melodię. Słońce rozjaśniało jej włosy złotymi odbłaskami, ale skórę miała idealnie białą, androidową.

Hansen zastąpił jej drogę.

– Pani? – zawołał. – Acca? – Fantom przeszedł przez niego, nie dotykając go. Odwrócił się i wybiegł za nim lub za nią na wulkaniczną równinę. Tu i ówdzie rosły zielone porosty, w miejscach, z których wiatr zmiótł śnieg z bazaltowych skał. Po skalistej powierzchni szedł w stronę Hansena złoty pancerz bojowy. Zatrzymał się. Jego ciało krzyczało, aby uciekał, ale nie było dokąd. – Acco – zawołał Hansen. – Przybyłem do ciebie.

Nie tylko słyszał odgłos kroków pancerza, czuł dudnienie realnie na powierzchni iluzyjnej, zastygłej lawy.

Postać znajdowała się dziesięć metrów od niego. Uniosła prawą rękawicę i rozdarła powietrze zabójczą, błękitną strugą swej wiązki; wyższą niż odległość dzielącą pancerz od intruza.

– Muszę cię zabić – powiedział pancerz melodyjnym, kobiecym głosem.

– Niczego nie musisz, Acco – odparł Hansen. Rozłożył ramiona. – Decydujesz o własnym losie. Zostałem do ciebie przysłany.

Wiązka zgasła. Zbroja szła dalej, krok za odmierzonym, pancernym krokiem.

– Mam tutaj wszystko! – powiedziała.

Wulkaniczne pole zamigotało, przechodząc w łąkę, w las, w skaliste wybrzeże, na którym słońce morskie pokrzykiwało wśród przyływu.

– Teraz masz wszystko, Acco – rzekł Hansen. – Przysłano mnie do ciebie.

Złota zbroja zatrzymała się niemal tak blisko, że mógłby jej dotknąć.

– Nie możesz teraz odejść – powiedziała.

Hansen skinął głową.

– Nie chcę odejść, Acco. Przysłano mnie do ciebie. Prawa ręka zbroi sięgnęła do zatrasku napierśnika i nacisnęła go. Hansen ujął krawędź ciężkiej płyty i pomógł ją unieść.

Kobieta wewnątrz zbroi była wzorem obrazów, za którymi Hansen gonił przez obrazy nieistniejących miejsc.

Znowu rósł wokół nich wiosenny las.

Acca ujęła go za dłoń, wychodząc ze złocistego pancerza. Spojrzała mu w oczy.

– Czego chcesz? – spytała.

– Ciebie, Acco – powiedział Hansen. – I zadać jedno pytanie dotyczące wiedzy, której strzeżesz.

– Uśmiechnął się. – Ale najpierw ciebie – zakończył, obejmując ramionami jej nagie, idealne ciało.

Leżeli na plaży, której piasek miał gładką sprężystość gumy. Światło księżyca w pełni zmieniło lśnienie otwartego pancerza na srebrne. Hansen nie rozpoznawał żadnej z konstelacji. Pocałował szyję Accy. Uśmiechnęła się i zamruczała, ale nie otworzyła oczu.

– Kochanie – powiedział. – Teraz muszę zajrzeć do banku danych.

Uniosła dłonie do jego szyi.

– Dlaczego? – Palcami przesunęła po gładkich mięśniach jego ramion i klatki piersiowej.

Światło księżyca zmieniło kolor jej rdzawych włosów łonowych na srebrny. Dotknął jej krocza, bardzo ostrożnie, bo minione godziny musiały spowodować otarcia. Znowu zamknęła mocno oczy. Oddychała coraz szybciej, płycej. Uklęknął i ujął jeden z jej sutków zębami, masując go językiem, póki drzenie jej orgazmu nie przyszło i nie odeszło.

– Teraz, kochanie – wyszeptał. – Bank pamięci. Jedno pytanie.

Acca jęknęła miękko. Wykonała gest w powietrzu. Pojawił się terminal, nagle tak samo realny jak sam Hansen lub pancerz bojowy, stojący w sztywnym majestacie.

– Umieść mnie przed nim – powiedział Walker przez słuchawki. – A sam wejdź do pancerza.

Będzie na ciebie pasował.

Hansen pocałował ją w usta i wstał. Zawsze robił to, czego wymagało zadanie. Położył hełm na ziemi. Powietrze owiewające jego spoconą głowę zdawało się czyste i chłodne. Acca spojrzała na niego zmęczonymi oczyma.

– Nie baw się teraz pancerzem – poprosiła. – Chodź do mnie. Obejmij mnie. – Uśmiechnęła się. Komisarz zamknął płytę napierśnika. Wyświetlacz był przejrzysty jak diament. Acca patrzyła na niego z rodzącym się powoli zdziwieniem. Klejnot lśniący w centrum plastikowego hełmu wypuścił kryształowe nibynóżki do wnętrza terminalu. – Co robisz? – zawołała. Zamachała w stronę terminalu, który zignorował ją, pozostając materialnym. – Wyjdź. Proszę. Proszę, kimkolwiek jesteś... – Walker rósł jak lód na przyspieszonych zdjęciach w nasycionym wilgocią powietrzu. Odblaski lśniły w jego kryształowych odnóżach, ale w centrum postaci biło błękitne serce. Masa rosła nad Hansenem i wokół niego, zniekształcając mu widok otoczenia. Wszechświat zaczął się zmieniać i przesuwać. Bardzo słabo, cicho Hansen usłyszał wołanie Accy: – Proszę, kimkolwiek jesteś. Nie zostawiaj mnie, proszę...

Przez chwilę Hansen stał w złotej zbroi na wysypanej kamieniami plaży pod ogromnym czerwonym słońcem. Otaczający go kryształ zaczął pękać i zachodzić mgłą, jak lód pozostawiony w cieniu w ciepły dzień. Kawałki odrywały się od zewnętrznej powierzchni masy.

– Walker? – powiedział Hansen, pozornie spokojny, ale nie potrafiąc opanować ukłucia adrenaliny, które wprawiało mu kończyny w drzenie.

Postać Walkera rozpadała się na biały piasek, który rozsypywał się wśród żwiru starożytnej plaży. Hansen nadal widział błękitną iskierkę, ale teraz unosiła się ona w pozbawionej powietrza przestrzeni tuż przed nim. Słyszał już ludzką mowę, niemal mógł już rozróżnić słowa...

– ...sen, wzy...

Wszechświat znowu się poruszył. Jasne światło słońca, czerwono-złoty pancerz, błotnista ziemia... Zobaczył plac ćwiczeń w Kamieniu Pokoju. Wszyscy mieszkańcy zgromadzili się wokół kręgu słupów z pni drzew, aby usłyszeć, jak Taddeusz wypowiada formalne wyzwanie:

– Przybądź lub będziesz wygnańcem i tchórzem – wołał wzmocniony głos wodza – którego zgładzić będzie mógł każdy, wolny i niewolnik. Hansen, wzywam cię!

– Wyświetl poziomy energii – wyszeptał komisarz.

Pod opancerzonymi butami zbroi czuł stały grunt. Usłyszał westchnienie tłumu. Taddeusz stał dwadzieścia metrów od niego. Dla sensorów nowego pancerza Hansena nawet królewska zbroja wodza wyglądała na odczytach widma na słabą.

– Tnij – Hansen wydał komendę. Broń zawarczała, kreśląc linię w błocie u stóp Taddeusza. – Powinieneś już się nauczyć, lordzie Taddeuszu – zakrzyknął – aby nie wzywać czegoś, czego nie będziesz mógł odesłać.

– Psi pomocie! – Tadeusz wypluł przekleństwo.

Jego lśniąca wiązka skrzyżowała się z wiązką Hansena w połowie drogi między walczącymi. Swędzenie wyładowania nieoczekiwanie postawiło dęba włosy na przedramieniu wodza. Musiał się wystraszyć, ale był starym wojownikiem. Cofnął broń, pozwolił jej zniknąć w rękawicy i wyrzucił przed siebie lewą rękę.

Hansen widział, jak narasta poziom energii w lewej rękawicy zbroi przeciwnika, ale nie zrobił nic, aby zablokować cios. Stali nadal dwadzieścia metrów od siebie, i o tym, czy zbroja, którą dostał czy kupił od Accy, może wytrzymać taki atak, równie dobrze mógł przekonać się właśnie teraz.

Świat zahuczał. Wyświetlacz Hansena stracił kolor i wyrazistość, i każdy włos na jego ciele – od głowy aż po maleńkie włoski na wierzchach palców u stóp – wyprostował się.

Hansen odwrócił rękawicę. Jego wiązka zetknęła się z wiązką Taddeusza, wyłączając ją. Wódz zmienił rękę. Hansen ciął. SI zbroi Taddeusza przeniosła moc z ataku na obronę, ale szkarłat i złoto powłoki jego pancerza spłonęły na linii od nadgarstka do ramienia. Komisarz pozwolił przeciwnikowi cofnąć się niepewnie o krok.

– Taddeuszu – powiedział. – Widzisz przecież, że nie potrzebuję się ciebie obawiać. Przerwijmy walkę. – Taddeusz skoczył naprzód. Wiązka rozłożona w kształt wachlarza na rękawicy Hansena zaabsorbowała pchnięcie, zanim zdążyło dotknąć złotej zbroi. Hansen odwrócił dłoń i wyładował broń blisko rękawicy wodza. – Taddeuszu! – zawołał. – Nie tknąłem twojej córki! Przysięgam na mój honor.

Przysięgłby, że nie tknął Unn, Accy ani żadnej innej kobiety, gdyby wierzył, że zapobiegnie to bezsensownej śmierci. Ale nawet prawda była tu bezużyteczna...

Taddeusz zrobił krok naprzód. Jego wiązka przesłaskiwała z jednej rękawicy na drugą, kiedy weteran szukał luki w obronie przeciwnika z wprawą wielu lat ćwiczeń. Hansen przesunął tarczę, odczytując zmiany wzorca energii pancerza Taddeusza i blokując każde uderzenie, zanim jeszcze opadło.

Golsingh odziany w rajtuzy i czarny aksamitny dublet patrzył na pojedynek z twarzą bez wyrazu. Po jego obu stronach stały Unn i Krita. Malcolm i Maharg stali po lewej ręce Kriety.

Powietrze było ciepłe i przejrzyste, tylko kilku spośród widzów okryło się futrami.

Taddeusz spróbował wściekle silnego cięcia znad głowy. Hansen złapał cios i zatrzymał go, robiąc krok naprzód, kiedy moc zasilająca broń wodza unieruchomiła mu pancerz. Lewa rękawica Hansena wypuściła drugą wiązkę. Uderzył z chirurgiczną precyzją, celując w kostkę wodza. Farba spłonęła i odpadła płatami. Jego broń zgasła, kiedy jego pancerz wyłączył się. Hansen zrobił krok do tyłu i pozwolił Tadeuszowi upaść twarzą w błoto.

– Słuchajże! – powiedział Hansen. – Nie chcę cię zabić. Przerwijmy ten bezsensowny pojedynek, zdejmij pancerz i porozmawiajmy o przyszłości królestwa.

Taddeusz przetoczył się na plecy. Ziemia osypywała się z jego czerwono-złotej zbroi, kiedy odzyskała moc. Czarne blizny na ramieniu i kostce wioda wskazywały wyraźnie, jak bardzo nierówna jest ta walka. Hansen pozwolił mu wstać.

– W tym królestwie nie nastanie nic dobrego, dopóki ty żyjesz – powiedział Taddeusz. Wyciągnął dłoń prawej ręki w stronę Hansena.

Hansen musnął rękawicę przeciwnika słabą wiązką swej zbroi. Wyładowanie wystrzelone przez pancerz Taddeusza było ogłuszająco głośne, ale dotyk broni Hansena skierował je w ziemię. Błoto, spalone na cegłę i roztrzaskane, pofrunęło we wszystkie strony.

– Taddeuszu! – krzyknął Hansen. Pocił się obficie mimo najdoskonalszego systemu klimatyzującego pancerza. – Nie zmuszaj mnie, abym cię...

Zbroja wioda zadrżała i załśniła, kiedy włączył ją z powrotem. To była dobra zbroja, godna króla. Szybko odzyskiwała moc.

– Jesteś tchórzem i parodią mężczyzny! – krzyknął Taddeusz. – Zabiję...

Wiązka Hansena cięła w szyję Taddeusza. Czerwono-złoty pancerz wytrzymał, wybuchając błękitnym płomieniem. Iskry płonącego metalu zastąpiły wyładowanie elektryczne, białe krople upadały w błoto, wznosząc chmurki pary. Hełm Taddeusza spadł. Przez chwilę pozbawiony głowy pancerz stał. Potem i on upadł.

Hansen odwrócił się do Golsingha.

– Mm...M... – zaczął. Głos uwiązł mu w gardle. W trakcie walki rozbił sobie nos, choć nie wiedział, kiedy i jak. – Mój królu – powiedział. – Lordzie Golsingh, wybacz... żałuję... – Golsingh skinął głową. Twarz Unn była bez wyrazu, ale chusta, którą trzymała w dłoni, skrecona była w cieką linkę. – Żałuję śmierci twego przybranego ojca – kontynuował Hansen z nagłą pewnością w głosie. – Jeśli mi na to pozwolisz, spłacę ci dług krwi w najlepszy możliwy sposób. – Zaczerpnął tchu. – Uczyń mnie, panie, wodzem na miejsce Taddeusza, a rzucę królestwo do twych stóp!

Golsingh skinął głową.

– Zgoda, lordzie Hansen – powiedział. Spojrzał po zebranych twardym wzrokiem, takim samym jak Hansena, zanim dokończył: – I nie sądzę, aby ktokolwiek chciał odmówić ci prawa do tego stanowiska.

North był Matrycą.

Jego umysł płynął przez strzaskane ścieżki jak woda ze stopionego lodowca po skałach podstawy wodospadu. Stanowił całą wiedzę we własnym wszechświecie, i to go przerażało. Z łatwością płynącą z długiego doświadczenia świadomość Northa odsiewała podniecenie zimnych, zabójczych informacji, ale było ich zbyt wiele...

Grupka Lomeri, siedząca na grzbietach triceratopsów i uzbrojona w broń energetyczną, wśród drzew lasu iglastego zaganiała zauropody o długich szyjach. Drzewa przewyższały nawet gigantyczne dinozaury o dziesiątki metrów.

Ludzie w pancerzach zasilanych energią Matrycy ustawiali się w szeregach pod miastem portowym. Zbliżała się wielka bitwa, z setkami wojowników po każdej stronie. Ponad jej polem, niewidoczni dla wojowników, unosili się zwiadowcy Northa. Kobiety o hardych obliczach gotowe były już do przesłania wzorców mózgow umierających wojowników do swych banków pamięci i do zanieśienia ich Northowi.

Kryształowe maszyny toczyły się nieustannie po wypalonych pustkowiach świata tak starego, że jego powierzchnia pozostawała niezmienna pod czerwonym słońcem.

Ekspedycja androidów mającą za zadanie wyszukiwanie i porywanie niewolników, tak samo zróżnicowana z wyglądu jak naszyjnik z pereł i połamanych fragmentów muszli, czekała tuż przy jednej z nieciągłości między wymiarami. Androidy były ciężko uzbrojone. Za zasłoną nieciągłości leżał las karłowatych drzew i sterty gładów i kamieni, które niegdyś były kominami. Najeźdźcy będą musieli wypuścić się daleko, aby znaleźć ludzkich mieszkańców tego świata.

Rao odszedł od Ngoyi. Wyglądał na rozczarowanego i zniechęconego troską, której żona nie mogła ukryć po tym, jak incydent powtórzył się. Był w pełni uzbrojony, a okręt, którym zamierzał ścigać najeźdźców w Otwartych Krainach, był jednostką bojową odpowiadającą potęgą czołgowi. Jedyne ludzki służący, który miał towarzyszyć Rao podczas wyprawy, obserwował swego pana z mieszaniną strachu przed nadchodzącym zadaniem i niecierpliwej chęci, aby mieć je już wreszcie z głowy.

Eisner pod postacią Penny zapierała się o biurko. Oplotła Rollsa nogami, żeby móc wpychać go w siebie jeszcze głębiej.

Ludzie na placu zgromadzeń wioski Diamentu patrzyli w górę w przerażeniu i zaskoczeniu. Dziecko zaczęło płakać, ale ucichło, wzięte na ręce przez matkę. Na placu stał tłum, trzymając się za ręce. Ktoś zaczął śpiewać drżącym głosem, w końcu cały park przyłączył się do hymnu miłości i życia, i słońca, które przychodzi po deszczu.

Cień padający na Diament nie był cieniem chmury. Odbywały się delikatne zmiany energii na poziomie cząsteczkowym, kiedy gdzie indziej w Matrycy wibracje cząsteczek zmieniały fazę; wracały natomiast do stanu wyjściowego, kiedy słońce znowu oświetlało plac, a umundurowana populacja Rubinu ze zmarszczonymi czołami sprawdzała broń i z napięciem obserwowała niebo gotujące się od wyładowań elektromagnetycznych.

Rubin wszedł w fazę wibracji jednoczesnych z Diamentem. Plac zalała czerwień, potem czerń. Żołnierze Rubinu walili się wzajemnie po plecach i pokrzykiwali w tryumfie, ale kiedy czerń wróciła do nicości, nie rozlegał się żaden dźwięk poza zamierającym wspomnieniem hymnu ku czci życia...

North wyszedł z Matrycy, dysząc jak zwykle – z przerażenia jak człowiek, który dotarł na powierzchnię lodowatej wody.

– Martwi – wyszeptał. – Zabici. – Jego twarz była straszna. Ostatnią wizją w Matrycy był dla niego widok czołgu lądującego w chmurze czerwonego pyłu wzbijanego przez silniki pionowe. Malował niebo błyskami artylerii pokładowej.

Kilometr od przedmieść Frekki, pod wpływem nieustannego wypasu mamutów i ciągnących tędy karawan, dawne pastwiska zamieniły się w martwe pustkowia. Latem, jak teraz, pustkowie pełne było pyłu, jesienią i wiosną błotniste, a mniej przygnębiające tylko zimą, bo cały grubo zasłany śniegiem kontynent był zbyt monotony, aby dojrzeć można było jakiegokolwiek różnice.

Część pyłu wzbitego przez kopyta kuca Hansena osiadła na nim jak żółta narzuta, reszta zaś zatkała mu gardło. Posłańcy pomknęli naprzód, kiedy komisarz dojechał do mostu przerzuconego nad fosą okrążającą obozowisko Golsingha. Ucieszył się, widząc, że wśród przyjaciół czekających u wejścia do namiotu króla był też Malcolm, który trzymał bukłak z piwem.

Golsingh podróżował zapewne w królewskich warunkach, ale Maharg i Malcolm musieli mieć pewnie równie trudną podróż co Hansen, zbierając i dowodząc kontyngentami wojsk z odległych stron. Przy odrobinie szczęścia mieli mniej trudności niż on w przekonywaniu władców, aby przysłali wojsko, którego wymaga od nich przysięga składana niegdyś królowi.

Golsingh pomógł Hansenowi zsiąść z kuca i podjął próbę objęcia go, kiedy ten siorbał piwo z bukłaka Malcolma.

– Jakies kłopoty? – spytał Malcolm, jak gdyby wódz przyjeżdżał sam i spóźniony o dwa dni bez poważnego powodu.

– Posłaniec dostarczył oczywiście wiadomość, że się spóźnisz – powiedział Golsingh. Podczas kiedy nowy lord Thrasey silił się na nonszalancję, król udawał rozsądny spokój.

Hansen zerknął na obniżające się słońce.

– Reszta jest dwie godziny drogi za mną – powiedział. – Dotrą tu przed zachodem słońca. – Przełknął pierwszy łyk piwa. Drugim wypłukał tylko usta, splunął na ziemię. Lepiej późno niż wcale. – Glockner nas zatrzymał – dodał.

– Powiedział, że nie da nam ludzi? – spytał Maharg.

– Nic tak bezpośredniego – wyjaśnił Hansen. – Znasz go przecież. Cały dzień zabrało mu zgromadzenie mamutów jucznych, po czym okazało się, że część z nich jest kulawa. Trzeciego dnia Glockner wraz z połową ludzi, których wybrałem do musztry, melduje, że ma grypę.

Malcolm potrząsnął gniewnie głową.

– Cóż, prawdopodobnie lepiej nam będzie bez tego podstępnego gnojka – powiedział. – Ale jak już tutaj skończymy, pojedę tam i...

– Och, on przybędzie – uspokajał króla Hansen, nadal popijając piwo. – Jest z resztą oddziałów. Wszyscy wyzdrowieli szybciej, niż przypuszczasz, kiedy tylko założyłem zbroję i spaliłem ratusz Glocknera.

Maharg i Malcolm zaśmiali się. Twarz Golsingha pozbawiona była przez chwilę wyrazu.

– Dość surowe rozwiązanie sprawy, lordzie Hansen.

– Nie aż tak surowe jak powieszenie Glocknera na jego własnych wnętrznościach, co było następnym punktem programu w razie, gdyby nie zrozumiał aluzji – rzucił Hansen i spojrzał królowi w oczy. – Pokój jest upragnionym celem, milordzie, ale póki co jestem wodzem twoich wojsk.

Golsingh nic nie powiedział, potem znowu klepnął go w ramię.

– Tak, rozumiem. To kwestia tego, żeby wiedzieć, co zrobić w danej sytuacji. A dowiodłeś już wielokrotnie, że wiesz to lepiej niż... – król uśmiechnął się – ...niż ja wiedziałem, zanim cię poznałem.

– Przypuszczałem, że knujesz coś takiego, chcąc samemu zająć się Glocknerem – powiedział Maharg. – Ja mogłem się tym zająć.

Hansen uśmiechnął się.

– Taaa – potwierdził. – Ale ty upewniłbyś się najpierw, czy wszyscy jego ludzie siedzą w ratuszu, a mnie zależało tym razem bardziej na jego ludziach niż na daniu przykładu reszcie baronów. Chodziło o udowodnienie punktu widzenia.

– To nie są prawdziwi wojownicy, ci z Frekki – powiedział nagle Golsingh.

Wskazał na zachód, choć mury Frekki były niemal kilometr dalej.

– Nie chcieli przyjąć bitwy w połowie drogi między naszym a ich obozowiskiem.

– Mieli też łajdaków w pancerzach na murach, strzelających w nas wyładowaniami wiązek – dodał Maharg. – Dla mnie to nie są prawdziwi wojownicy.

Twarz Hansena zeszywniała.

– Taka zabawa może się okazać naprawdę kosztowna – stwierdził.

– Potrzebujemy Frekki – odparł ostro Golsingh. Spróbował złagodzić swe słowa uśmiechem. – Sam mnie do tego przekonałeś, lordzie Hansen. Spalenie miasta nie przyniesie nam żadnych korzyści. A poza tym, póki nie przybyłeś, odsuwaliśmy się po prostu poza zasięg wyładowań. – Odchrząknął i znowu się uśmiechnął. – W każdym razie dopóki nie zbierzemy naszych wojsk.

– Wojownicy pełnią nocami strażę – relacjonował Malcolm. – Ale pomyślałem też, żeby wprowadzić obyczaj, aby każdy zwiadowca czy nawet niewolnik, który zabije zwiadowcę z Frekki, otrzymywał zbroję i prawo zasiadania przy stole biesiadnym.

– Na dowód – uzupełnił Maharg – przynoszą nam ich uszy.

Golsingh skinął głową.

– To z kolei był pomysł marszałka Maharga. Oba przyjąłem i zatwierdziłem.

Hansen oddał buklak Malcolmowi. Zaczął rozmasowywać sobie pośladki i uda. Trudno mu było stwierdzić, jaka część ciała bolała go najbardziej po trzech tygodniach spędzonych w większości w siodle, ale jazda na kucu była w końcu lepsza niż chodzenie pieszo. Gdyby tak mieć palankin na mamucie... Ale nie, nie było takiego obyczaju, a poza tym nie czuł się bezpiecznie w pobliżu tych olbrzymich zwierząt nawet wtedy, kiedy był w pancerzu.

– Może wejdziemy do środka? – zaproponował król. – Każę przygotować posiłek.

– Dobry pomysł – odpowiedział Hansen, uznając gest króla za rozkaz i wślizgując się do namiotu.

Martwił się czasem, że tak bardzo przyzwyczał przyjaciół do swej nieomyślności, że nie potrafili podejmować decyzji, kiedy był w pobliżu. Oni trzej – marszałkowie i król, a także grupa innych wojowników, których przeszkolił w Kamieniu Pokoju i Thrasey w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, potrafili już bez trudu prowadzić wojnę na nowy sposób. Potrafili i robili to, czego obóz był dostatecznym dowodem. Ale kiedy pojawiał się, wszyscy nagle stawali się bierni.

Hansen usiadł ostrożnie na składanym krześle, podczas gdy niewolnicy przygotowywali posiłek złożony z gotowanego kurczaka na zimno z warzywami.

Nie było co odwlekać najważniejszego pytania, bo wszyscy ludzie króla byli już na miejscu. Cała pomoc, na jaką Golsingh mógł liczyć, była już w obozie.

– Jakiej liczby wrogów powinniśmy się spodziewać? – spytał Hansen.

Król oblizał wargi.

– Wielu. Myślę, że... około tysiąca – powiedział.

– Do diabła – zaklął cicho Hansen.

Trzymał w ręku nogę kurczaka, próbując jednocześnie przeciąć staw nożem. Nóż za cholerę nie

chciał ciąć ostro po krawędzi.

– Skąd oni się wzięli?

– W porcie stoją okręty – powiedział Maharg. – To piraci.

– Dogadali się z trzema czy czterema morskimi królami – zgodził się Malcolm. – Syndykat ofiarował piratom lepsze zbroje w zamian za pomoc w obronie miasta.

– To znaczy, że do reszty powariowali – powiedział Hansen z ustami pełnymi mięsa. – Ludzie, którzy mają pieniądze, zawsze myślą, że mogą kupić ludzi, którzy mają broń. W rzeczywistości jednak kupują sobie w ten sposób panów nad głowami, chyba że wyjątkowo trafiają na ludzi honoru.

Nikt z pozostałej trójki nie dotknął nawet jedzenia. Albo już jedli, albo też Hansen powiedział coś, co odebrało im apetyty. Liczebność sił wroga zepsuła też apetyt komisarzowi, ale nie mógł dać tego po sobie poznać. Przy odrobinie szczęścia siły królewskie składały się z dwóch i pół, może trzech, setek wojowników.

– Mają też oddziały żeglarzy i rzemieślników, jak przypuszczam, noszących pancerze częściowe – dodał Golsingh. – Zbroja taka zakrywa tylko tors i jedno ramię, więc tak naprawdę nie chroni najlepiej, ale dysponuje bronią energetyczną i można ją włączać i wyłączać znacznie szybciej.

Hansen wzruszył ramionami.

– Nie spodziewaliśmy się, że będzie łatwo – powiedział. – Muszą być chyba szaleni, żeby dawać broń do ręki piratom, którzy wcześniej na nich napadali, żyjąc z ich krwawicy, albo też rzemieślnikom, z których krwawicy żyją sami. – Cisnął kością z kurczaka w stronę wyjścia z namiotu. – Jakby jednak nie było, szaleni czy nie, muszą przegrać.

Powiedział tak, bo sądził, że to pomoże jego przyjaciołom odzyskać humor. Zaskoczony zorientował się jednak, że sam tak myśli.

– Sir? – zawołał posłaniec zza płachty wejściowej namiotu, w którym samotnie spał Hansen. – Marszałek Malcolm kazał przekazać, że od strony miasta zbliża się wojsko.

Hansen wstał natychmiast, upuszczając łom na pryczę.

– Dziękuję – wymamrotał, zakładając złotą zbroję.

Bolały go mięśnie, usta były jak ścierka, a zatoki pełne żółtego pyłu i flegmy. Wszystko to jednak zanikało już, przegnane przez znane uczucie przyływu adrenaliny. Później będzie miał mnóstwo czasu, aby być obolałym. Jeśli przeżyje. Zamknął pancerz, świat dookoła wyostrzył się. Ustawił jasność wyświetlacza na maksymalną wartość światła dziennego. Księżycowa noc zapewniała dość światła, aby dało się przy nim walczyć i zabijać, ale wzmocniony, wyostrzony obraz był o kilka rzędów wielkości lepszy. Zastanawiał się, czy syndykat z Frekki odkrył pełne możliwości pancerzy. Nic nie wskazywało na to podczas ostatnich potyczek z najemnikami.

Kupcy gotowi byli ignorować starożytny zakaz atakowania w nocy, ale wymagało to nie tyle inteligencji, co gotowości do zmiany zasad, kiedy te im nie odpowiadały. Syndykat nie posługiwał się moralnością sklepikarza, który zna swych klientów i wie, że jutro będzie mieć do czynienia z tymi samymi klientami. Przywódcy Frekki doszli bowiem do poziomu, który zawsze był powszechny wśród wyższych sfer finansowych i kupieckich, kiedy to kupcy widzieli swą drogę do nieba w monopolu na handel i usługi.

Na drodze tej filozofii stał jednak Golsingh i nowy wódz jego wojowników.

– Górny prawy róg, mapa – rozkazał Hansen SI hełmu. – Oznacz wszystkie pancerze wspomagane.

W skalowanym oknie mapy atakujący stanowili ciąg czerwonych kuleczek, nadciągających od strony miasta. Obóz królewski wyglądał jak błękitne morze, gęstniejące z każdą chwilą, gdy kolejni

wojownicy zakładali swe pancerze.

– Obóz, zabezpieczona komunikacja – komisarz wydawał dalsze polecenia. – Siły królewskie, nie opuszczać pozycji, powtarzam, pod żadnym pozorem nie opuszczać pozycji. Panowie marszałkowie, proszę wprowadzać mój rozkaz w życie wszelkimi dostępnymi środkami. – Pół roku wojowania to za mało, aby nauczyć ludzi, jak być prawdziwymi, zdyscyplinowanymi żołnierzami. Malcolm mógł mieć swoje wątpliwości co do stawania na drodze młodym, nadmiernie gorliwym bojownikom, którzy mogliby zechcieć złamać rozkazy wodza. Maharg z kolei nie zawaha się nawet chwili przed użyciem swej nowej zbroi i rangi przeciw wojownikom, którzy pół roku wcześniej znęcali się nad nim. – Rodzaj pancerza, ranga i liczba atakujących – kontynuował.

Czerwone holograficzne cyfry nałożone zostały na okno mapy, wskazując klasy zbroi od trzeciej do dwunastej – zatrważająco niskiej klasy, wskazującej prawdopodobnie półpancerze, o których mówił król. Atakujący rozdział liczył pięćdziesięciu siedmiu wojowników, przeważnie z ekwipunkiem należącym do klasy dwunastej. Zimne trupy w starciu z wojownikami, którzy wiedzą, co robią. Większość armii królewskiej nie wiedziała, ale Hansen nie potrzebował większości armii.

Myślał o nazwaniu dwudziestoosobowej jednostki, którą zorganizował pod dowództwem Maharga, „strażą” albo „siłami specjalnymi”, albo jakoś podobnie, ale to byłaby metoda, żeby uczynić z jednostki elitarny oddział, do którego przynależność byłaby szczególnym przywilejem. To z kolei zwabiałoby upartych, doświadczonych wojowników, którzy nie mieli jednak ani zdolności, ani zainteresowania możliwościami, jakie dawał ich pancerz. Zamiast tego więc...

– Do wszystkich oddziałów – powiedział Hansen. – Marszałek Maharg i Jednostka Czwarta powstrzymają natarcie. Będę im towarzyszył. Marszałek Malcolm... eee... pod dowództwem króla obejmie zarządzanie obozem aż do mojego powrotu.

– Hansen, nie możesz mnie tu zostawić – warknął Malcolm, którego rozpoznał po głosie, małej fioletowej cyfrze na wyświetlaczu i po fackie, że mówił na kanale, do którego dostęp miał tylko on sam, marszałkowie i król.

– Dobra! – powiedział Maharg z zadowoleniem; słówko to załapał od Hansena.

– Lordzie Hansen – powiedział Golsingh. – Muszę zabronić ci wyjścia w pole. To nie jest konieczne, a nie powinieneś narażać się w ciemności.

– Malcolm – odparł Hansen. – Zamknij się i rób, co do ciebie należy! Lordzie Golsingh, z całym szacunkiem – zamknij się i pozwól mi robić, co do mnie należy. – Dyszał ciężko, nogi mu drżały. Nie poruszał się w zbroi, odkąd zdjął ją i zajął się organizowaniem obrony. Jeśli uda mu się przeżyć, być może przeprosi przyjaciół, których przed chwilą znieważył. Bardziej jednak prawdopodobne było, że sam uzna, iż zrobił to, co należało w tym momencie zrobić, a to nie było coś, za co zamierzał przeproszać. – Maharg – zawołał jeszcze, wychodząc z namiotu. – Zbierz ludzi. Już idę.

Zapomniał przy przechodzeniu pod płachtą wejściową namiotu o hełmie. W rezultacie zawałił za sobą cały namiot. Wokół zaroilo się od służących, popiskujących ze zmartwienia.

Dwudziestoosobowy zespół i jego dowódca czekał tuż za północną bramą obozu.

– SI, oznacz Jednostkę Czwartą na biało na wszystkich wyświetlaczach w ramach jednostki – powiedział Maharg, kiedy Hansen się zbliżył.

Świetnie, chłopak się uczy.

– Jednostka, kanał komunikacyjny zabezpieczony – powiedział Hansen, klepiąc pancerną rękawicą zbroi w opancerzone ramię Maharga. Kwadrant wyświetlacza Hansena pokazujący mapę wskazywał, że atakujący są jeszcze dobre kilkadziesiąt metrów na zachód od obozu Golsingha, i że biegną w tej chwili, potykając się w trudnym terenie. Z całą pewnością nie wiedzieli, jak używać wzmacniaczy światła wewnątrz zbroi. – Dobra – dodał. – Zaatakujemy środek ich linii. Tam są

najlepiej wyposażeni ludzie. Maharg, weźmiesz Zespół Czerwony i spróbujesz zepchnąć dowódców do fosy wokół obozu. Ja pogonię resztę z powrotem do Frekki razem z Zespołem Błękitnym. Wszystko jasne?

Odpowiedzi rozległy się jako szum w słuchawkach, ale SI pokazała mu na wyświetlaczu osiemnaście na dwadzieścia jeden twierdzących odpowiedzi.

– Wszyscy mają ustawione maksimum dziennej wartości światła?

– Roger – rozległo się szesnaście razy, a potem jeszcze raz, mrukiwie i jakby ze wstydem.

– Pamiętajcie, to zupełnie jak na treningu – dodał Hansen. – Poza tym, że ci faceci nie mogliby ludziom, z którymi wy trenujecie, nawet tyłków wycierać. Jasne?

– Rogerrogerroger.

– Ruszamy!

Jednostka Czwarta poruszała się szybko pośród nocy, mieli jednak do przejścia spory odcinek, żeby zaatakować linie wroga pod kątem. Wojownicy z Frekki zatrzymali się w zagajniku wierzbowym w odległości dwustu metrów od obozu królewskiego. Zbili się w grupę, zwykli wojownicy przemieszczali się z dowódcami.

Naprawdę nie zdążyli nawet zobaczyć śmierci nacierającej z lewej flanki, dopóki Hansen, z odległości dwudziestu metrów, nie zawołał: „Tnij” i warkot jasno lśniącej wiązki nie zmusił Jednostki Czwartej do jeszcze szybszego biegu.

Pierwsze dwa cele nie wymagały większych umiejętności, padły jak podcięte piłą deski. Wojownicy z Frekki nosili tylko półpancerze. Ich nogi zapłonęły jak pochodnie, kiedy żar wiązki Hansena wypalił z nich całą wodę.

Wzdłuż linii Jednostki Czwartej rozległ się trzask włączanych wiązek. Najgorzej uzbrojony wojownik w oddziale nosił broję równie dobrą, co najlepsi wojownicy z Frekki, a praca zespołowa miała teraz dokończyć dzieła rozpoczętego przez szok błyskawicznego ataku.

Drzewa po lewej błysnęły płomieniami. Ze względu na sposób, w jaki ustawili się najemnicy syndykatu, Zespół Czerwony Maharga miał więcej niż dosyć celów. Sam Hansen stał z prawej strony, ale nie zamierzał psuć doskonale jak dotąd prowadzonego ataku, byle tylko zabić paru wrogów.

Tuzin wojowników Frekki zawahało się po obu stronach fosy, którą właśnie przekraczali, kiedy Jednostka Czwarta wyrznęła maszerujący przed nimi oddział. Kiedy komisarz stanął przed nimi, po prostu odwrócili się i uciekli.

– Zespół Błękitny! – krzyknął Hansen, ruszając w pościg. Złota broja miała dość mocy, aby przeskoczyć nad rowem, zamiast mozolnie go przekraczać. – Za mną...

W fosie było dwóch wojowników z Frekki, kiedy Hansen postanowił przeskoczyć. Ich broje były takiej samej jakości jak ta, którą przydzielił mu Golsingh na samym początku. Kiedy Hansen zrywał się do skoku, wiązka jednego z najemników chlasnęła go po osłonie krocza.

Zamiast gładko przeskoczyć przeszkodę, upadł twarzą w piach na przeciwległym brzegu fosy, niczym usiłujący latać żółw.

Zadzwońnię mu w uszach. Niespodziewany ból nosa był tak samo oślepiający jak uderzenie pioruna. Wokół niego wszędzie rozlegał się ryk, zamieniający błoto w bulgoczące szkło wśród błękitnego blasku. Nad odgłosami wyładowań własnej wiązki słyszał krzyki ludzi. Wyświetlacz stracił ostrość. W prawym górnym rogu nadal widoczna była mapa, a na niej widać było czerwone kropczki przeciwników, ciągnące w stronę białej kropki Hansena jak muchy zwabione zapachem świeżej padliny.

Ból niemal całkowicie zatrzymanych wyładowań elektrycznych ustał nagle. Hansen czuł zapach

włosków przypalonych prądem na całym ciele, ale teraz chłuszczące na wszystkie strony; łuki elektryczne otaczały go w pewnej odległości. Uczucie było I takie, jakby zamknięty w butelce znalazł się w oku tornada. Czerwone kropki zniknęły. Obraz na wyświetlaczu wyostrzył się, ale on sam z bólu nie mógł skupić wzroku.

– Sir? – zawołał jeden z dwójki jego ludzi, którzy próbowali właśnie podnieść Hansena do pionu. – Czy nic się panu nie stało? Wszystko w porządku?

Hansen zdołał poklepać jednego z mężczyzn po plecach, ale odezwać się mógł dopiero po minucie.

Hansen był pewien, że następna postać wchodząca do jego namiotu jest kolejnym sługą. W dalszym ciągu przytykał zimny okład do twarzy, póki nie usłyszał głosu Golsingha.

– Możecie już wyjść. Zajmę się wozem osobiście.

Hansen otworzył oczy. Niewolnicy wycofywali się, wprawiając w drżenie płomień lampy oliwnej.

Król miał na sobie wyszywany cekinami szal na jednoczęściowym kombinezonie i powagę na czole. Komisarz ponownie dotknął twarzy mokrym ręcznikiem. Nos bolał go upiornie, ale chyba nie był złamany.

– Nic mi nie jest – powiedział. Uderzył go fakt, że kombinezon króla wzorowany jest na jego własnym, przywiezionym przecież jeszcze ze Zwiastowania.

Golsingh zanurzył palec w misce z wodą.

– Może kazać ją podgrzać? – spytał.

– Tak jest lepiej.

Hansen wykręcił szmatkę i spojrzał w oczy króla ponad własnym opuchniętym nosem.

– Lordzie Golsingh – powiedział. – Spieprzyłem. Przepraszam.

Golsingh skinął głową.

– Owszem, nie da się ukryć. – Król usiadł na pryczy, zamrugał, po czym uniósł się nieco i wyjął spod swego siedzenia łom. – Pokój jest dla mnie bardzo ważny, lordzie Hansen – stwierdził. Hansen wrócił do chłodzenia posiniaczonej twarzy, aby nie musieć patrzeć Golsinghowi w oczy. – To najważniejsza rzecz w moim życiu. – Król odchrząknął. – Moje marzenie o tym, że pewnego dnia każdy człowiek na tym kontynencie zwolniony będzie z obowiązku walki w tych nie kończących się, bezużytecznych wojnach. Przypuszczam, że dla człowieka wojny jak ty taka myśl musi być tak samo nieprzyjemna jak dla... dla Taddeusza? – ciągnął takim tonem, jakby w istocie nie podejrzewał Hansena o nic takiego.

Ten spojrzał na króla kątem oka.

– Nie, nieprawda – powiedział. – Jeśli wykonam tu moje zadanie i w rezultacie stracę zajęcie, przynajmniej coś osiągnę. – Wzruszył ramionami, a potem zaśmiał się. – Poza tym – dodał, zastanawiając się, czy Golsingh rozumie, o czym mówi – zadanie, które teraz wykonuję, zawsze było dla mnie najważniejsze. Nic się nie zmieniło. Cóż... – powiedział do odwróconego plecami wodza.

– W pojedynku umiejętności i jakość zbroi są najważniejsze, ale w bitwie, w walce... zdarza się, że lepszy pada ofiarą gorszego.

– Powiedziałem już, że spieprzyłem – powiedział Hansen.

– To nie znaczy, że nie powinienem być tam dzisiaj być. To znaczy jedynie, że nie wszystko jeszcze wiem i umiem. Jeszcze.

– Doskonale wytrenowałeś ludzi – stwierdził Golsingh – i kontyngent Thrasey, oczywiście. Brakuje nam twego towarzysztwa, kiedy mieszkasz w Thrasey, lordzie. – Znowu odchrząknął. – Unn

często pyta, kiedy wrócisz. Kiedy jesteś w Thrasey i w ogóle, kiedy opuszczasz Kamień Pokoju.

Hansen spojrzął na króla.

– Nadal nie znaleziono Kryty? – spytał.

Golsingh skinął głową.

– Niestety, nikomu się to nie udało. Nie wiemy więcej niż w zeszłym miesiącu. Nic. – Skubał przez chwilę wąs, potem podjął watek: – Unn...My... Bylibyśmy bardzo zasmuceni, gdyby coś ci się stało tylko dlatego, że uparłeś się zrobić coś, co nie należy do twoich obowiązków. – Hansen przytrzymał szmatkę z zimną wodą nad swoimi oczyma i twarzą. Zastanawiał się, czy piekący rumieniec, który czuł na twarzy, był widoczny dla siedzącego naprzeciw króla. – Widzisz – zaczął Golsingh.

– Potrzebuję cię, jeśli moje marzenia o pokoju mają się spełnić. A to jest dla mnie ważniejsze niż wszystko inne.

– Nie potrzebujesz mnie – odparł komisarz nabrzmiałym z emocji głosem. Upuścił szmatkę do misy i odwrócił się do króla. – Nauczyłeś się już najważniejszej rzeczy – powiedział. – Zetnij głowę i nie zwracaj uwagi na resztę, która i tak upadnie w ślad za nią. – Golsingh otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale Hansen nie dopuścił go od głosu, uciszając nagłym ruchem ręki.

– Taktyka? – ciągnął. – Malcolm i Maharg świetnie sobie z tym teraz radzą. Może są jeszcze jakieś sztuczki, których nie znają, ale przynajmniej nauczyli się, jak się uczyć, a to jest najważniejsze. Nie jestem ci już potrzebny.

Król wstał. Na jego twarzy był spokojny uśmiech

– Uważaj na siebie jutro – rzekł. – Tylko o to proszę. Prosimy. – Podeszedł do kłapy w płóciennym ścianie namiotu, spojrzął raz jeszcze na Hansena przez ramię. – W końcu jesteś również moim przyjacielem.

Hansen gapił się na wejście do namiotu długo po tym, jak zamknęło się za Golsinghiem.

– Musimy ich zniszczyć! – warczał Rao, bardziej do siebie niż do swych pobratymców zgromadzonych w ratuszu Northa. – Rubin zniszczył Diament, dlatego my musimy zniszczyć Rubin.

– Nie możemy pozwolić, aby rządził nami gniew – powiedziała Miyoko. Patrzyła na swe złożone razem palce, a jej słowa, podobnie jak słowa Rao, były osobistą litanią.

– Zniszczymy Rubin – postanowił North ze swego wysokiego krzesła. Jeśli gniew Rao był jak wulkan, to twarz Northa była jak burzowa chmura, a każde jego słowo jak toczący się grom.

Za zasłony światła wtrąciła się Penny:

– Nie możemy tego zrobić, jesteśmy połączeni. Poza tym, to po prostu się zdarzyło, nie sędzę, że powinniśmy aż tak się tym przejmować.

Dowson celowo opuścił zasłonę światła, za którą zwykle skrywał bezcielesną postać, aby oszczędzić przykrych wrażeń pobratymcom. Unosił się przed nimi mózg w kadzi natlenionego płynu. Zewnętrzna powierzchnia stożka kolorowego lodu obok niego znikła. Słowa Dowsona potoczyły się wśród zebranych:

– Nasze przysięgi i samo nasze istnienie stanowią gwarancję dla istnienia Rubinu.

– Zapomnij o tym! – powiedział gwałtownie Rao, a żona ujęła go za ramię ze łzami troski w oczach. Wszyscy wiedzieli, jak bardzo jednotorowo potrafił myśleć Rao, ale tylko Ngoya знаła swego męża najlepiej.

– Gwarantowaliśmy to samo Diamentowi, czyż nie? A oni go zniszczyli. Rubin musi wymrzeć! Cały ten świat!

Zaczął się podnosić. North skupił na nim spojrzenie prawego oka, ostre jak grot włóczni.

– Siadaj – powiedział.

Rao spojrzał w oko Northa bez lęku, ale pozwolił, aby Ngoya usadziła go z powrotem na miejscu.

– Eisner – mówił dalej North. – Jakieś sugestie?

Ta, z surowym i chłodnym wyrazem twarzy, patrzyła cały czas przed siebie.

– Dowson ma rację – powiedziała bez emocji. – Matryca rządzi się własną logiką. Jeśli zniszczymy Rubin, zniszczymy też samych siebie. – Umilkła. Jej dłonie leżały na kolanach idealnie płasko, oczy nie mrugały. Nikt więcej się nie odezwał.

– Rolls? – ciągnął North z zabójczą lekkością i wdziękiem kota, bawiącego się z ofiarą zbyt przerażoną, aby pomyśleć o ucieczce. – Czy chcesz coś dodać?

Ten spojrzał na niego.

– Nie boję się ciebie, North.

Ale North tylko się uśmiechnął.

– Gdyby to była prawda, musiałbyś być głupcem – stwierdził. – A przecież ty nim nie jesteś.

Rolls przełknął ślinę.

– W porządku – powiedział. – Pozostali mają oczywiście rację. Ale musimy przecież pomścić Diament!

– Rubin nie jest tu za nic odpowiedzialny! – jęknęła Penny. – Oni... po prostu to robią. Po to ich takimi stworzyliśmy, żeby to właśnie robili. Dlaczego się teraz tak denerwujemy?

– Nie mówimy tu o sprawiedliwości, Penny – powiedział North jedwabistym, przerażającym głosem, którym posługiwał się od początku narady. – Tylko o przyczynie i skutku, o tym, co się stało

i co w związku z tym stać się musi. Czy nie tak... – Obrócił głowę jak wieżyczkę działka czołgu. – ...Fortin?

Biała twarz androida odwróciła się od Northa.

– Cokolwiek powiesz, drogi ojczy – odparł Fortin, mówiąc w stronę drzwi. W jego głosie brzmiał lęk i oczekiwanie. – Powiedziałeś nam, że Rubin musi zostać zniszczony, więc bez wątpienia zniszczysz go. Rao znowu powstał.

– Nie ma sprawy – rzekł. – Ja to zrobię. Ten masowy mord to robota Chaosu, nie możemy tolerować sprawek Chaosu.

– Idioto! – krzyknął Saburo, pod powierzchnią jego strachu czaiła się zniewaga. – Ty sam jesteś Chaosem z tym swoim podejściem! Zgubisz samego siebie i być może nas także, jeśli to zrobisz!

– To nie będzie konieczne, Rao – powiedział North bez widocznego gniewu. Wstał z miejsca, szary i surowy jak zmatowiałe ostrze noża mordercy. – Fortin ma rację. Ja się tym zajmę.

Uniósł dłoń. Z zewnątrz sali dobiegł odgłos uderzeń czarnych skrzydeł.

Pozostali również wstali, w tak różnym tempie jak różnymi byli osobowościami, i ruszyli w stronę wyjścia.

Rolls obejrzał się przez ramię i zawołał do budzącego grozę człowieka stojącego przed tronem.

– Nie możesz wysłać zwiadowców, sam o tym wiesz. Oni nie dostaną się na Rubin. Tylko my, bogowie, to potrafimy. – North uśmiechnął się znowu. Jego twarz była jednak pozbawiona emocji. – A jeśli myślisz o otwarciu przejścia dla swych wojowniczych maszyn – dodał Rolls, stojąc w wejściu, kiedy inni go mijali. – Nie uda ci się to bez zakłócenia równowagi Matrycy! Nawet tobie się nie uda!

– Odejdź, Rolls – uciał North. – Teraz ja się tym zajmę.

– Rubin pokona twoje maszyny! – krzyknął Rolls. – Wszystkie! A Matryca...

North wyciągnął rękę i wskazał go palcem.

– Idź już, Rolls – nakazał.

Ten wypadł z kryształowego blasku sali. Światło słoneczne na łące przed pałacem było ciepłe i bardzo piękne, ale lód w jego szpiku kostnym nie chciał jakoś się rozpuścić.

Zwierzęta, na których zjechali na naradę, były podniecone obecnością właścicieli. Penny spojrzała na idealnie umięśnionego mężczyznę, który prowadził jelenia ciągnącego jej rydwan.

– Jeśli chcecie usłyszeć naprawdę złe wiadomości, to proszę: Nie mogę znaleźć mojego naszyjnika.

Ngoya odwróciła się do niej gwałtownie.

– Nie wierzę, że nawet ty mogłabyś być tak pusta, żeby sądzić, że twoja błyskotka jest równie istotna co horror, jakiego doświadczył cały świat!

– Łatwo ci mówić – odparła Penny, a jej twarz stwardniała nagle. – Gdyby twój drogi Rao wrócił do domu w dwóch kawałkach zamiast w jednym, czy uważałabyś, że to nic w porównaniu z horrorem, jakiego doświadczył cały świat? – złośliwie zajęczała przy ostatnich słowach.

Ngoya zaczerwieniła się.

Rao usłyszał, jak ktoś wypowiada jego imię.

– Co? – spytał. – Ngoya, na co czekasz?

– Jestem dobry w poszukiwaniu i znajdowaniu różnych rzeczy, Penny – powiedział Fortin. Podszedł do niej. – Czy chciałabyś, żebym spróbował?

– Jesteś też dobry w gubieniu różnych rzeczy – pociągnęła nosem Penny.

Android splótł palce wskazujące i kciuki obu dłoni w kształt kwadratu. W ich bladym obramowaniu pojawił się obraz: gronostajowe futro, lustrzana toaletka, za nią zaś coś czerwonego

i lśniącego. Dokładnie tam, gdzie go odłożył.

– Wygląda znajomo? – spytał nonszalancko.

– To niemożliwe, przecież sprawdzałam tam zaraz na początku... – stwierdziła Penny.

Fortin potrząsnął głową, złożył dłonie razem. Obraz znikł.

– Sprawdź raz jeszcze. Albo nie, mnie wszystko jedno.

Penny pobiegła do rydwanu, wykrzykując rozkazy w stronę woźnicy. Fortin złowił spojrzenie Rollsa i uśmiechnął się.

– Każdemu to, na co zasługuje – powiedział mieszaniec. – Prawda, partnerze?

Rolls dosiadł swego łosia. Jego twarz była jak z kamienia, ale śmiech Fortina uwiązał mu w umyśle tak jak obraz niszczonego Diamentu.

North patrzył, jak światło rozpraszało się pryzmatycznie w centrum sali. Czarne plamy, jak naprężenia przejrzystego lodu, powstawały i znikaly, aby pojawić się znowu, całkowicie realne.

Maszyna i siedząca na niej kobieta pojawiły się nagle. Fizyczna rzeczywistość pozbawiona była skrzydeł. Długi kadłub maszyny stał na zbyt dużych, wygiętych jak u świerszcza nogach. Kadłub z metalu i kryształu był smukły i ledwie wystarczało na nim miejsca, aby stworzyć wygodne siedzenie dla kobiety o hardej twarzy, która jej dosiadała.

Zsiadła i skłoniła się Northowi, stojąc przed jego wysokim krzesłem.

– Panie – powiedziała. – Wezwałeś mnie specjalnie, a więc... – Uniosła ku niemu twarz pozbawioną wyrazu. – ...a więc jest ktoś w Otwartych Krainach, kogo pragniesz zabić. Czy mam wrócić po zbroję?

North uśmiechnął się do zwiadowczyni.

– Jesteś niecierpliwa, moje dziecko – rzekł z aprobatą w głosie – ale nie, nie zabić, tylko zabójca mi teraz potrzebny.

Znowu skinęła głową, kładąc dłoń na łuku siodła, gotowa do odlotu.

– Czy wierzysz w boga, moje dziecko? – spytał lekko.

Zamrugła powiekami.

– Ty jesteś bogiem, panie – odparła.

Potrząsnął głową.

– Niestety, jedynym obecnym tutaj bogiem jest równowaga – powiedział, nagle poważny. – Potrzebny jest człowiek, który utrzyma równowagę w całej Matrycy.

Kobieta skinęła głową, ale bez szczególnego zainteresowania. Wzrokiem odruchowo sprawdziła stan maszyny; ważki, która przenosiła ją przez bąbel w czasie i przestrzeni pomiędzy wymiarami świata na polecenie i zgodnie z wolą Northa.

– Tak, panie – powiedziała. – Przyniosę ci jego duszę.

Promień wpadającego przez sklepienie światła dotknął jej włosów. Wyzwolił rdzawe błyski na ich powierzchni, tak czarnej jak serce hebanu.

North pokręcił głową, uśmiechnął się.

– Nie tym razem – rzekł. – Nie tylko duszę.

Oczy kobiety rozszerzyły się w zdumieniu.

– Umysł i ciało – ciągnął North. – Umysł, ciało i duszę, jak sądzę, jeśli ludzie posiadają dusze.

Przez chwilę North wyglądał tak strasznie jak zbliżający się front lodowca. Zimna furia nie była skierowana na kobietę, ale i tak poczuła, że mimo całej swej odwagi kurczy się wewnątrz. Potem, równie nagle, cicha burza minęła, a bóg nadal uśmiechając się, dodał:

– Wybrałem akurat ciebie, Krito, bo jest to ktoś, kogo niegdyś znałaś...

Golsingh rzadko pozwalał sobie na utratę cierpliwości. Kiedy więc jego słowa, wyważone i precyzyjnie wypowiedane, zabrzmiały przez radio na częstotliwości dowodzenia, Hansen nie i był nawet pewien, czy król tym razem postanowił zrobić wyjątek.

– Jeżeli szybko stamtąd nie wyjdą, my wejdziemy do środka. Każę zbudować nowy port na ruinach Frekki.

– Wychodzą – zameldował Malcolm z prawej flanki.

Promienie porannego słońca padały na szare kamienie murów Frekki, pół kilometra od miejsca, w którym Hansen rozlokował królewską armię. Teren pomiędzy twierdzą i wojskiem opadał nieco, jakiś metr na każde dwadzieścia, co nie miało żadnego znaczenia w sensie taktycznym. Z psychologicznego jednak punktu widzenia było dość interesujące.

Malowany i wypolerowany metal pancerzy zaśnił w słońcu, kiedy armia syndykatu Frekki wyłoniła się z siedmiu bram twierdzy. Hansen odruchowo spojrział na mapę w wizjerze hełmu, zamiast skontrolować pozycję żołnierzy, rozglądając się na boki. Nie było ich wielu, tych królewskich wojowników: trzystu dziewięciu pancernych i około tysiąca kuszników, lansjerów i niewolników. Gdyby jednak myśleć o opancerzonych wojownikach w kategoriach oddziału czołgów, byłoby to bardzo dużo. A każdy z pancernych zdolny był w otwartym terenie stawić czoło czołgowi...

– Niech ich piekło – wymamrotał Maharg, stojący na lewej flance. – Dużo sukinsynów.

Golsingh stał na czele wojska, oddzielony od Hansena tylko kilkunastoma doborowymi wojownikami.

– Większość z nich nosi tylko częściowe pancerze. Chodzące trupy, jak przekonaliśmy się zeszłej nocy.

Hansen spojrział na cyfrowy wyświetlacz hełmu. Ściągnął wargi, mimo że wielkość armii wroga nie stanowiła dla niego zaskoczenia.

– Mimo to mają więcej wojowników w dobrych zbrojach niż my wszystkich razem wziętych – stwierdził przytomnie.

– Tak, chłopie – potwierdził Malcolm. – Ale nie mają dusz wojowników.

I tu miał rację.

Hansen nagle uświadomił sobie, że cały czas, jaki spędził w Świecie Northa, poświęcił na uczenie ludzi, którzy żyli z wojny, na czym polega różnica między żołnierzem i zwykłym wojownikiem. Wojownicy byli niezdyscyplinowaną zgrają, która nadawała się tylko do tego, aby umrzeć w spotkaniu z wytrenowanymi oddziałami. To była istotna różnica, ale...

Pomiędzy żołnierzem i kupcem też istniała różnica. Nie można tak po prostu kupić sobie drogi do zwycięstwa, a przewaga liczebna nie zawsze decydowała w bitwach. Z drugiej jednak strony, niektóre spośród zwycięskich armii w historii składały się z byłych sklepikarzy i kupczyków... jeśli tylko byli odpowiednio wyszkoleni.

Golsingh miał Nilsa Hansena. Syndykat Frekki był sam i bez żadnych szans. Mimo wszystko udało im się wynająć piekielnie dużo wojska.

Oba skrzydła armii Frekki zaczęły schodzić w dół zbocza. Kilkudziesięciu wojowników syndykatu nosiło dziko udekorowane pancerze. Byli to piraci, brutale nawykli do widoku nagłej

śmierci, ale nie przyzwyczajeni do starć z siłami nie tylko przygotowanymi do walki, ale też spodziewającymi się jej.

Większa część wojowników na obu flankach stąpała powoli, pod ciężarem napierśników i pancerzy częściowych, które nie mogły uchronić ich przed działaniem wiązek energetycznych.

Stanowili podobne zagrożenie co gzy, kłuszące zady kawaleryjskich koni. Wprowadzali tylko zamieszanie.

Nadciągające wojsko starało się zachowywać bezpieczny dystans od skrzydeł armii królewskiej. Główne siły Frekki zatrzymały się na pozycjach pod murami twierdzy. Kupiecka mentalność.

– Sądzą, że zmęczymy się, idąc do nich – powiedział Hansen. – Głupcy. Posrają się ze strachu, kiedy spadniemy na nich jak lawina.

– Czekamy na rozkazy, lordzie Hansen – rzucił Golsingh na pół zniecierpliwionym tonem.

– SI, zabezpieczyć kanał komunikacji ogólnej – rozkazał j komisarz. – Dobra. Pamiętajcie, czego się nauczyliście. Macie iść równo z całą resztą swego oddziału i zabić każdego, kogo wyznaczy wasz dowódca. Nie martwcie się o swoje plecy, są i osłonięte. Idźcie spokojnie, nie spieszcie się. Mamy mnóstwo czasu. – Usta mu wyschły. Na pewno powinien powiedzieć coś, co doda ludziom otuchy, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Kolana mu drżały i czuł, że chce przestać w końcu gadać i zabić wreszcie kogoś. – Ruszamy, chłopcy – zawołał. – I zabijmy ich wszystkich.

Królewscy żołnierze wydali chóralny okrzyk, łomocąc setkami opancerzonych stóp w podłoże. Jeżeli ten dźwięk nie wystraszył dowódców wojsk Frekki, to biedne bękarty musiały być wyjątkowymi głupcami.

Kiedy jego oddziały ruszyły, Hansen przełączył swój wizjer na widok wokół siebie i zmniejszył pole mapy. Przez następnych kilka minut ostrość widzenia nie była mu potrzebna, ważniejszy był dokładny ogląd pola bitwy.

Grupa wojowników wysforowała się przed linię Frekki, słuchając swych instynktów zamiast rozkazów. Kiedy zorientowali się, że ich towarzysze zostali na miejscach, zatrzymali się – kilkudziesięciu przeciw nacierającym kilku setkom – i wrócili do linii, właśnie w momencie, kiedy trzydziestu czy czterdziestu innych postanowiło przyłączyć się do ich szarży. Formacja wojsk syndykatu rozpadała się, zanim jeszcze królewska armia zdążyła zaatakować.

Największym zmartwieniem Hansena były flanki. Lekko opancerzeni wojownicy mogli okrążyć mu wojsko jak lekka kawaleria, jak numidyjska jazda Hannibala, która atakiem z prawej flanki przekreśliła ostatnie nadzieje Rzymian na zwycięstwo pod Kannami...

Hansen obawiał się tego, na co przeciwnicy mieli nadzieję. Oba uczucia okazały się bezpodstawne. Lekko opancerzeni wojownicy byli wolniejsi i bardziej niezgrabni od tych w pełnych zbrojach, które zamiast siłą mięśni zasilane były energią samej Matrycy.

Awangarda sił armii królewskiej, poruszając się z szybkością dwóch kroków na sekundę, ominęła zamykające się szczęki pułapki syndykatu. Obciążeni pancerzami kupcy i rzemieślnicy pociągnęli za atakującymi, starając się nadążyć... Dopóki nie napotkali nagłych błysków wiązek błękitnego światła broni armii królewskiej. A dokładnie Jednostki Czwartej na lewej flance, z prawej zaś – dwudziestu ludzi Malcolma, którzy przeszli morderczy trening w Thrasey. Wiązki generowane przez ich pancerze zdolne były przeciąć drzewo lub nieosłoniętą ludzką nogę z trzydziestu metrów... I właśnie zaczęły.

Lepiej uzbrojeni piraci zaatakowali z obydwu stron, poddając się instynktownej reakcji człowieka – nawet najgorszego z ludzi – aby zrobić cokolwiek na widok śmierci towarzyszy. Część z nich miała doskonałe zbroje, a wszyscy byli doświadczonymi mordercami. Nie stawili jednak oporu królewskim żołnierzom.

Jeden z ludzi Maharga upadł wśród deszczu iskier, ugodzony przez wodza piratów z wielkimi skrzydłami z brązu na hełmie. Sam pirat zginął chwilę później, kiedy spadły na niego uderzenia trzech wiązek, trwające nawet po tym, kiedy jego pancerz dymił w kawałkach na ziemi.

Wojownik Maharga był jedyną ofiarą na lewej flance. Kilku ludzi padło po prawej stronie, ale ich los natychmiast podzieliło kilkudziesięciu piratów i niemal setka lekko opancerzonych mieszczan. Reszta zerwała się do ucieczki, a kusznicy Golsingha spokojnie posyłali za nimi bełty. Hansen widział też kilka grup niewolników, jednych przytrzymujących ofiary, a innych dożynających je nożami. Wrzaski konających towarzyszyły atakowi królewskiej armii na twierdzę.

Hansen przełączył swój wyświetlacz na widok standardowy i włączył swój łuk energetyczny. Wcześniej rozstawił lewą i środkową część armii z dwumetrowymi odstępami pomiędzy wojownikami. Wojownicy Frekki rozstawieni byli na tej samej długości linii, ale było ich tam dwukrotnie więcej. Żaden trening nie mógł zmienić faktu, że w starciu wielu żołnierzy króla stawi czoło wiązkom dwóch lub trzech przeciwników, co oznaczało niechybną śmierć.

Czarne skrzydła unosiły się nad polem bitwy, choć na niebie dostrzec można było tylko lekkie drżenie rozgrzanego powietrza.

Przed Hansenem pojawił się wojownik w zbroi złotej jak jego własna, ale złobionej i ozdobionej jak fryz świątynny. Syndyk. Wojownicy po obu jego stronach byli weteranami w pancerzach poznaczonych śladami wygranych bitew. Przygotowali się do starcia, mężczyzna w ozdobnej zbroi zaś zawahał się, jakby chcąc uciec przez bramę.

Kiedy linie wojsk znalazły się w odległości dwudziestu metrów, Hansen zwrócił się do swego wojska:

– Lewa i środkowa formacja, utrzymać pozycje! Pamiętajcie o rozkazach! Utrzymać pozycje. Malcolm, na nich!

Prawe skrzydło, prowadzone przez kontyngent z Thrasey, najlepiej uzbrojonych wojowników w całej armii, zwinęło się w ciasną formację i wbiło w środek linii wroga. Wojownicy Frekki, uwięzieni pomiędzy kamiennymi murami twierdzy i ścianą wiązek energetycznych, nie mogli ani walczyć, ani uciec. Kilku zdążyło zbiec przez najbliższą bramę. Reszta zginęła.

Malcolm zawrócił jednostkę, skręcając w lewo i poprowadził ją dwudziestometrowym korytarzem pomiędzy murami miasta a resztą armii królewskiej, atakując wojowników syndykatu z flanki. Część zbrojnych z ariergardy Malcolma zwróciła się do tyłu i samym tylko pozorowanym atakiem rozproszyła niedobitki lekkozbrojnych Frekki. Siły Malcolma były jak kula do kręgli tocząca się wypolerowanym torem.

Wykonanie planu Hansena nie było doskonałe, ale i tak posłuszeństwo żołnierzy, których uważał za w połowie wytrenowanych, było bardzo dobre. Ludzie zmuszeni do zabijania pod groźbą utraty życia potrafią niekiedy skupić się tylko na celu przed nimi, zapominając o szkoleniu, o rozkazach, zapominając nawet własnych imion.

Część armii królewskiej atakowała, wzbijając deszcze iskier. W innej części pola bitwy żołnierze Frekki rozbiegali się, opuszczając stanowiska, tylko po to, aby napotkać nadciągające oddziały przeciwnika. Zaciekły bój przyciągał coraz więcej zbrojnych z obu stron pola.

Plan Hansena sprawdzał się. Kiedy dowódcy syndykatu spostrzegli, że ich lewa flanką przestała istnieć, a środek formacji zamienia się powoli w ognistą maszynkę do mielenia ludzkiego mięsa, królewscy żołnierze nadal nieporuszenie utrzymywali pozycje.

Syndyk w złotej zbroi odwrócił się od Hansena i uciekł przez bramę. Wzdłuż całej linii wojsk Frekki ludzie w pięknie zdobionych pancerzach dezercerowali z pola bitwy.

– Na nich! – ryknął Hansen pośród zamieszania, ale i tak nic już nie mogłoby zatrzymać natarcia

jego wojowników.

Weterani, którzy dotąd bronili zbiegłego Syndyka, zbliżyli się o pół kroku. Hansen ciał pierwszego z nich. Wojownik zablokował cięcie własną wiązką, ale wyładowanie otoczyło cały jego pancerz błękitną poświatą, aż farba na prawym przedramieniu pancerza zaczęła topić się i łuszczyć.

Drugi z ochroniarzy zbliżył się i uderzył Hansena na wysokości pasa. Ten był jednak gotowy na atak i sparował cięcie, przełączając wiązkę na lewą rękawicę.

Pierwszy wojownik przyjął zmianę sytuacji jak dar opatrności i ruszył w stronę bramy. Hansen rozrąbał pancerz drugiego napastnika na wysokości bioder i trafił uciekającego w plecy, kiedy ten znalazł się już między wieżyczkami bram. Pancerz uciekającego był niemal królewskiej jakości. Stracił moc konieczną do poruszania, ale zatrzymał wiązkę, póki Hansen nie uderzył z minimalnej odległości.

– Naprzód! – krzyknął komisarz, prowadząc oddziały królewskie przez najbliższą bramę. – Nie oszczędzajcie nikogo z bronią! – To, jak podpowiedziała mu jakaś rozbawiona część umysłu, wcale nie było koniecznym rozkazem.

Korytarz głównej bramy zakręcał nagle. Domy Frekki pochylały się nad brukowanymi ulicami. Większość budynków miała dwa piętra, do których później dobudowano trzecie, kiedy rozwijające się interesy stworzyły konieczność zakwaterowania nowych mieszkańców wewnątrz murów miasta. A skoro mowa o murach...

Armia syndykatu została rozbita, w rozsypkę poszło nawet nie związane walką prawe skrzydło. Wojownicy Frekki gromadzili się przy jednej z bram, której nie zdobyły jeszcze wojska króla. Wielu wojowników próbowało uciekać, wspinając się na trzymetrowe mury.

Kiedy kontrola dowództwa rozluźniła się, ludzie Golsingha nie czekali już na swą kolej, aby dostać się do miasta przez bramy.

Za Hansenem rozlegały się trzaski, kiedy wiązki wgrzyzały się w podstawy ciężkich murów. Kwarc pryskał wkoło, kamienie obracały się w żużel, na powierzchni największych nawet bloków pojawiały się pęknięcia wywołane przez wyładowania wiązek. Fragmenty murów waliły się. Nieuszkodzone głązy, spadające z wyższych poziomów przewracały wojowników, którzy nie zdążyli przed nimi uskoczyć.

Dachówka roztrzaskała się na hełmie Hansena. Spojrzał w górę. Stara kobieta ubrana w okrytą chustą suknię wyszywaną perłami stała na krawędzi dachu, unosząc do rzutu kolejną dachówkę. Upuściła bezużyteczny pocisk, widząc odwracającą się ku niej, pozbawioną rysów twarz opancerzonego boga.

Hansen opuścił rękawicę i roztrzaskał drzwi domu. Ościeżnica była drewniana, miała piętnaście centymetrów grubości. Hełm Hansena walnął w nią, nie tyle łamiąc, co wrywając ją ze ściany wśród okruchów tynku.

Klatka schodowa znajdowała się po lewej stronie. Hansen powoli wszedł na schody, ostrożnie stawiając stalowe buty na kolejnych stopniach. Nie był pewien, czy konstrukcja wytrzyma ciężar pancerza. Do wejścia na strych dostawiona była drabina.

Stara kobieta stała właśnie na środkowych szczeblach, schodząc tyłem na drugie piętro. Zobaczyła wchodzącego Hansena i wrzasnęła, próbując wspiąć się z powrotem. Komisarz dotarł do podstawy drabiny, kiedy kobieta była już na jej szczycie. Szarpnął, odrywając drabinę od ściany. Kobieta zawisła na krawędzi wejścia na strych, piszcząc ze strachu. Zgubiła gdzieś buty, jej chude nogi majtały gwałtownie jak u tonącego pływaka. Miała na nich czarne pończochy na wyszywanych w kwiaty podwiązkach. Roześmiał się. Odrzucił drabinę i złapał kobietę z łatwością kiedy jej osłabłe ręce w końcu puściły krawędź progu.

– Słuchaj, kobieto – powiedział przez wzmacniające głośniki hełmu, zagłuszając jej przerażone wrzaski. – Wiesz, gdzie jest... ratusz, kwatera dowódców...

Kobieta zamknęła gwałtownie usta i oczy, jakby pod naporem jego słów.

– Pałac Handlu? – spytała w końcu.

– Tak – potwierdził Hansen, zawracając w stronę klatki schodowej z kobietą zamkniętą w uścisku lewego ramienia. – Zaprowadzisz mnie tam. – Nie sądził, aby potrzebne były jakiekolwiek groźby. Poza tym, nie mógłby tego zrobić, bo zdawało mu się, że to ta staruszka miała największego ducha bojowego ze wszystkich mieszkańców Frekki.

Ulica, na którą wyszedł Hansen, pogrążona był w chaosie. Żołnierze króla pojawiali się to tu, to tam. Część z nich niosła już naręcza łupów. Kilka domów stało w płomieniach, zasnuwając uliczkę smugami białego dymu.

– Zbroja – odezwał się Hansen, oszczędzając sztucznej inteligencji wysiłku zgadywania, czy następne zdanie będzie skierowane do niej. – Do wszystkich sprzymierzeńców w zasięgu wzroku. – A następnie: – Słuchajcie mnie, wy małe kutasy! – Wszyscy wojownicy w zasięgu wzroku Hansena zeszywnieli, słysząc komendę. – Mówi dowódca – ciągnął. – Pójdziecie za mną do kwatery dowódców wroga, gdzie przyjmiemy ich kapitulację – przerwał na chwilę, a potem odezwał się znowu: – I każdy łajdak, jakiego zobaczę z łupem w ciągu następnych trzydziestu sekund, spędzi godzinę zanurzony po szyję w dole latryny! – Spojrzał na staruszkę, którą trzymał na rękach. Przywarła do niego, jakby szukając obrony. – A teraz, madame – powiedział najciszej, jak mógł pośród odgłosów bitwy. – Teraz pójdziemy do Pałacu Handlu. I im szybciej tam dojdziemy, tym mniej ludzi dziś zginie.

Opancerzony robak kolumny ludzi Hansena przeciskał się w stronę centrum Frekki, kierując się wskazaniem staruszki. Początkowo komisarz dowodził dwudziestoma wojownikami i garścią lekkobrojnnych kuszników, przemieszanych z niewolnikami, ale na każdym skrzyżowaniu przyłączało się do nich coraz więcej ludzi. Dookoła wiele było porzuconych pancerzy bojowych, które żołnierze Hansena szybko przejmowali.

Cywile w większości pozostawali w ukryciu. Od czasu do czasu jakaś postać kryła się w alejce, przestraszona łomotem ich kroków. Nie napotkali żadnego oporu, choć natknęli się na kilku najemników syndykatu, szybko zresztą zabijanych.

Pasażerka Hansena spluwała na widok dymiących zwłok najemników.

– Tchórze! – warczała. – Gdyby byli prawdziwymi mężczyznami, stawiliby wam czoło w polu!

– Lordzie Hansen – powiedział Golsingh na kanale łączności dowodzenia. – Jestem w wieży bramnej, tak jak brzmiała twoja sugestia... – „rozkaz” byłby tu lepszym określeniem tonu Hansena przed bitwą, ale zawsze był popędliwy przed akcją – ...i obserwuję grupy wojowników wsiadających na statki w porcie.

– Dobra – rzucił Hansen. Labirynt krętych uliczek i ciasno pobudowanych domów sprawił, że zupełnie się zgubił. „Czy Pałac Handlu był w pobliżu portu? A może nie?”. – Dobra – powtórzył. – Nadajcie na częstotliwości ogólnej wiadomość, że nie skrzywdzimy żadnego z wojowników, jeśli zdecydują się zdejść pancerze. I jeszcze... czy w wieży jest więcej ludzi?

– Roger, lordzie Hansen.

– Dobra. Jeżeli któryś ze statków spróbuje odbić od brzegu, rozkażcie jednemu z naszych odpalić w ich kierunku cały ładunek wiązeki.

– Nie uda się nam na tę odległość zranić opancerzonych wojowników, lordzie – zaprotestował król. – Nawet moja zbroja nie dysponuje taką energią.

– Nie ty! – odparł Hansen. – Nie chcę, żebyś to ty właśnie wystawiał nos z wieży! – Odetchnął

głęboko. Zaschło mu w ustach, gardło i zatoki miał poparzone ozonem wydzielanym przez wszechobecne wiązki energetyczne. – Milordzie – odezwał się, tym razem spokojniej. Zdawało mu się, że dostrzegął rynek na końcu uliczki, którą właśnie szedł. – Milordzie, nie uszkodzicie pancerzy, ale kadłuby statków spłoną jak suchy chrust... a jedyna rzecz, której nie da się robić w pancerzu, to pływać. Zaufaj mi.

To faktycznie był rynek. Po jego przeciwnej stronie stał wysoki, czteropiętrowy budynek, ozdobiony na narożnikach dwudziestometrowymi iglicami. Skrzydła łukowo sklepionych, umieszczonych pośrodku wrót były otwarte. W wejściu stał Syndyk w świetnej zbroi, ten, którego Hansen na krótko spotkał w bitwie. Zniknął wewnątrz budynku. Pokryte brązem wrota zatrzasnęły się.

– Za mną! – krzyknął komisarz, zrywając się do biegu. – Nie zabijajcie nikogo wewnątrz bez rozkazu!

Wiązka Hansena smagneła wrota przez całą szerokość rynku. Brązowe okucia pokryły się natychmiast zieloną patyną. Znajdujące się pod nimi drewno zapaliło się, ale okucia wytrzymałyby może, gdyby Hansen nie wpadł na drzwi całym ciężarem pancerza, i gdyby dwudziestu z jego ludzi nie potraktowało zawiasów bronią energetyczną. Wrota rozpadły się w drzazgi.

Hansen, nadal niosąc w ramionach staruszkę – zapomnianą w zamieszaniu i zbyt przerażoną, aby krzyczeć – jako pierwszy wpadł do środka przez ich płonące szczątki. Lampy olejowe zwisały z wysokiego sufitu, ale ich migotanie bledło przy nieustannym blasku drżących na rękawicach pancerzy wiązek energetycznych.

Człowiek, który umknął przed Hansenem do ratusza, właśnie wydobywał się ze swej zbroi. Był stary i tłusty, w jego szeroko otwartych, wpatrzonych w prześladowców oczach czaiło się przerażenie.

– Nie! Nie! Nie! – zajęczał i zacisnął powieki.

Nosił jedwabie wyszywane złotem. Podobnie odzianych było trzydzieści czy czterdzieści innych zgromadzonych w budynku osób, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Kilka następnych pancerzy, generalnie dobrej jakości, choć pokrytych rokokowymi zdobieniami, odbijało blask wiązek królewskich żołnierzy. Wszystkie zbroje były otwarte i puste.

Syndycy i ich świta zaczęli przepychać się w stronę tylnego wyjścia, kiedy pod ciosami Hansena padły frontowe wrota. Gdy znalazł się w środku, równie szybko wrócili na miejsca. Uniósł broń, ze zdziwieniem spodziewając się ataku nieuzbrojonych ludzi, którzy nie śmieli stawić mu czoła w pancerzach.

Następna grupa wojowników wparowała przez tylne wejście. Prowadził ich Maharg w karmazynowej zbroi.

– Dobra – ryknął. – Kto tu dowodzi?

– Ja, marszałku – odparł Hansen.

– Och. Przepraszam, sir – powiedział zaskoczony młodzieniec na kanale dowodzenia. – Nie wiedziałem... Malcolm! Już tutaj?

Malcolm dotknął ramienia wodza.

– Moi ludzie otaczają budynek – powiedział. – Będziemy mieli rezerwę żołnierzy, gdybyśmy ich potrzebowali... Choć wątpię, aby tak się stało.

– Dobra – powiedział komisarz. Wskazał palcem Syndyka, który zastygł do połowy uwolniony ze zbroi jak ostryga wydobyta ze skorupy przez ptaka. – Ty – rzekł. – Jesteś Głównym Syndykiem, czy jak tam zwiecie tu przełożonego? Grubas otworzył oczy, a potem znów je zamknął.

– Nie ma przełożonego. Ja... nazywam się Bennet.

Powietrze dookoła zadrżało. Hansen pomyślał, że musiał to być skutek walących się dookoła

budynków, ale nikt poza nim najwyraźniej niczego nie zauważył.

– Czy masz prawo podjąć decyzję o poddaniu miasta? – dopytywał się Hansen. – Czy ktokolwiek ma taką władzę?

Jakiś człowiek z grupy, którą Maharg ze swymi ludźmi zapędził z powrotem do ratusza, rzucił się do stóp Hansena. Był jeszcze młody, ale już tłusty i łysy jak Shill w dniu śmierci.

– Poddajemy się, lordzie Golsingh! – bełkotał. – Decyzja jest jednogłówna! Poddajemy się! O najłaskawszy królu...

Hansen poczuł chęć, aby kopnąć nędznika. Zamiast tego uwolnił się od niego, poruszając pancernym butem; co wywołało zresztą podobny skutek, bo gruby młodzian odskoczył z jękiem przestrawu.

– Króla tu nie ma – powiedział Hansen, podnosząc głos, aby być słyszany ponad narastającym hałasem dochodzącym już zewsząd, nawet od strony kamiennej posadzki. – Jako wódz wojska Kamienia Pokoju, przyjmuję waszą kapitulację w imieniu...

– Król przybył! – zakrzyknął ktoś od strony drzwi. – Sam król!

Hansen odwrócił się. Wspaniała błękitna zbroja Golsingha widoczna była w sklepionym przejściu. „Poddani, nieważne jakim szacunkiem by się cieszyli, nie wydają poleceń monarchom...”.

– Ekscelencjo... – zaczął komisarz, ale odgłos szumu czarnych skrzydeł stał się już zbyt głośny.

Stara kobieta, którą trzymał na rękach pancerza wspomaganego, zakrzyknęła i wskazała w górę. Punkt widzenia Hansena zmienił się nagle, w tej chwili znajdował się gdzieś pod kamiennym sklepieniem, pomiędzy żyrandolami.

Widział swą pustą zbroję, a dalej piwnicę, w której pośród beczek z winem i zgromadzonych skarbów ukryły się dziesiątki służących. Białe jądro planety zbliżyło się do niego... I zniknęło pośród przenikających się obrazów lodu, ogromnych bestii i gigantycznego czerwonego słońca, a potem w widoku rozświetlonej sali nieskończenie większej niż komnata, z której został wyrwany bezczasową chwilę temu.

Stopy Hansena spoczęły na czarnej posadzce, równie gładkiej i pozbawionej skazy jak powierzchnia diamentu. Wzdłuż ścian widział dwadzieścia kilka zasłon uczynionych ze światła...

– Witaj, Hansen, niegdyś komisarzu – powiedział świetlny błysk po drugiej stronie sali. – Mamy dla ciebie zadanie.

Miejsce, w którym się znalazł, przypominało Hansenowi wymiar, w którym władcy Konsensusu przygotowali go do misji. Podobieństwo nie było fizyczne. Znajdował się w sali, której ściany i sklepienie były tak nieskazitelne, że odbijały światło bez zaciemniania go. Posadzka pod stopami była czarna, lecz tak gładka, że czuł się tak, jakby stał na samym rdzeniu nicości, na powierzchni eteru, którego istnienie nawet jako teorii nauka odrzuciła już dawno.

Pałac Handlu zniknął. Syndycy, zwycięscy wojownicy w pancerzach... wszystko poza Hansenem rozplynęło się w powietrzu.

Władcy Konsensusu mieli postać potężnych istot o kształtach przywodzących na myśl wieloryby, lecz zbyt wielkich, żeby zamieszkiwać nawet głębie oceanów. Tu widział tylko rozbłyśki światła na ścianach empirycznie doskonałej sali... i instynktownie wiedział, że to te same istoty.

– Fortin – odezwał się głos zza świetlistej zasłony na końcu pomieszczenia. – Wyjaśnisz Hansenowi naturę jego zadania. Jeżeli chodzi o was pozostałych... widzicie, że mam sytuację pod kontrolą. Odejdźcie więc.

Hansen słyszał już ten głos, a właściwie taki głos; chociaż podobieństwo było głębsze i wielopoziomowe. Istota, która objaśniała mu szczegóły misji w Świecie Northa, przemawiająca pewnie, głosem nawykłym do wydawania poleceń, mówiąca pozostałym, co wolno im zrobić, a czego nie. Zawsze zdawało się mu, że sam jest taką osobą, w każdym razie pośród swych ludzi, ale mylił się. Kiedy komisarz Hansen mówił, ludzie wykonywali polecenia, jednak nigdy nie był pewien niczego poza sobą, i nie potrafił wydać rozkazu tak, aby zabrzmiała w nim pewność jego wykonania. Posłuszeństwo lub konsekwencje nieposłuszeństwa, gdyby do niego doszło; ale owe konsekwencje były tym, w co Nils Hansen wierzył, a to było całkiem co innego...

Lśniące zasłony poruszały się, przesuwały w stronę wyjścia szybciej, niż na taką odległość mógłby to uczynić człowiek... jeśli odległość była rzeczywiście tak wielka, jak się zdawało, a instynkt podpowiadał komisarzowi, że tak nie jest.

– Penny? – powiedział głos niedbale. – Znalazłaś swój naszyjnik, jak mniemam?

– A jeśli nawet? – odezwał się dziewczęcy głos z nutką znudzenia. Hansenowi zdawało się, że mógłby dotknąć mówiącej, choć najbliższa kurtyna jasności znajdowała się pozornie kilkaset metrów dalej. Potem głos znów się odezwał, tym razem urażony, ponury: – Tak, Fortin go znalazł. Dlaczego?

– Musimy go pożyczyć, jak wiesz. Z powodu Diamentu. Konieczne jest przywrócenie równowagi.

Mimo wielkiej pewności bijącej ze słów mężczyzny Hansen słyszał w nich leciutki ton wątpliwości. „Proszę o to – mówił głos wątpliwości – bo choć chciałbym rozkazać, nie mogę...”. Ton głosu człowieka, który musi polegać na innych, i ma nadzieję, że nikt się tego nie domyśla. Uśmiechnął się lekko.

Tęczowe całuny zniknęły z sali, jak znika rozświetlona słońcem mroźna mgła, rozwiana przez bryzę. Spomiędzy nich wyszedł potężny mężczyzna i podszedł do Hansena z jakimś lśniącym przedmiotem w palcach prawej dłoni. Zbliżając się, malał, aż stanął przed byłym komisarzem jako ktoś niewiele wyższy... Ale nie to go zaskoczyło.

– Solbarth – powiedział Hansen. – Co ty tu robisz?

Blady, piękny android stracił na moment pełen lekceważącej wyższości wyraz twarzy. Zerknął w stronę jedynej pozostałej w sali zasłony światła, tej na końcu pomieszczenia, zza której dobiegał wcześniej władczy głos.

– Co takiego? – spytał android. – Nie nazywam się Solbarth.

– Nazywasz się Solbarth – odparł Hansen. Jego pewność stała się nagle narzędziem podarowanym przez los, aby ułatwić zebranie większej ilości informacji. – Jesteś przestępcą. Schwytałem cię na Zwiastowaniu. – Uśmiechnął się drapieżnie. – Chyba mnie nie zapomniałeś?

Android zamrugał.

– Nazywam się Fortin – odparł. – Mówisz, że jestem przestępcą? Ja jestem bogiem. – Śmiech Fortina był wymuszony, fałszywy. – Mogłeś spotkać egzemplarz z partii produkcyjnej mojej matki – powiedział bez zainteresowania. – Jestem w połowie androidem. – Zza świetlnej zasłony zagrzmiał śmiech. Fortin potrząsnął głową, jakby chcąc strząsnąć zmieszanie i znowu przybrał maskę lekceważącej wyższości. – To nie ma zresztą znaczenia – ciągnął. – Sprowadziliśmy cię tutaj, aby przywrócić równowagę...

– Ja go tu sprowadziłem – przerwał władczy głos.

Fortin uśmiechnął się.

– Mój ojciec sprowadził cię tutaj, abyś przywrócił równowagę Matrycy. Zostaniesz przeniesiony do Rubinu, fragmentu czasoprzestrzeni fazowej. Zostaniesz zamaskowany...

Fortin uniósł w lewej ręce naszyjnik. Hansen wyobraził sobie nagle siebie w kobiecym przebraniu, ociekającego biżuterią, z włosami upiętymi wysadzanymi rubinami grzebieniami.

– ...będą jednak na ciebie czekać. Będą mieli świadomość nadchodzącego ataku.

– Ich system ostrzegania jest bardzo zaawansowany – odezwał się głos ukrytego mówcy. – W Rubinie wszystko, co ma cokolwiek wspólnego z wojną, jest niemal doskonałe. Nieprawdaż, Fortin?

Delikatne drgnięcie nozdrzy androida – „W połowie androida”, przypomniał sobie komisarz – było jedynym znakiem, że ten usłyszał pytanie.

– Twoje zadanie – ciągnął Fortin – polegać będzie na spenetrowaniu Centrum Bojowego Rubinu. Znajdujący się tam główny komputer został już zaprogramowany do dokonania pewnego skoku fazowego. Musisz...

– Nie – przerwał Hansen.

Twarz Fortina straciła wszelki wyraz.

– Nie próbuj wchodzić mi w drogę, człowieku – powiedział.

Nagła wściekłość w jego głosie mogłaby zaskoczyć przypadkowych słuchaczy, ale nie Hansena, który spędził trzy lata na tropieniu przestępcy nazwiskiem Solbarth, ponoć wyjątkowo okrutnego...

– Nie – powtórzył Hansen. – Nie będziesz wydawał mi rozkazów. Ty... – Dźgnął palcem, zatrzymując go tuż przed piersią androida. – ...nie mógłbyś nawet rozkazać mi, abym nasikał ci na buty. Choć to akurat zrobiłbym dla przyjemności. – Śmiech jak grom rozległ się w przeciwległym końcu sali. Hansen odwrócił się. – Myślisz, że jestem jak broń, którą można wycelować w dowolnym kierunku? – krzyknął. – Tak myślisz? No to się kurewsko mylisz!

– Pamiętasz Diament, Hansen? – spytał głos. – Kiedy to po raz pierwszy znalazłeś się w naszym kontinuum... mimo że o to nie prosiłśmy.

Hansen pomyślał, że dwójka jego rozmówców zechce zagrozić łagodnemu ludowi Diamentu, jeśli nie zrobi, czego chcą. Wymuszenie, zachowanie godne terrorysty biorącego zakładników. A wtedy musiałby zareagować w jedyny sposób, na jaki pozwoliłaby mu jego natura – zabić Fortina, zabić skrytego za świetlną kurtyną przywódcę, i zabijać dalej, aż nie zabiją jego. Może wtedy ci, którzy przeżyją, będą mniej skłonni do użycia tej samej groźby wobec człowieka tak samo bezwzględnie jak oni sami.

Fortin dostrzegł wyraz oczu Hansena i coś w rodzaju uczucia seksualnego spełnienia zakłóciło

harmonię rysów androida. Ten obraz zmroził komisarza, zrobiło mu się niedobrze, jak gdyby wszedł do tej sali z zamiarem morderstwa i zastał swą ofiarę zającą odchody.

– Oto, co stało się z Diamentem – powiedział ukryty człowiek. – Oto, co musisz pomścić, komisarzu Hansen.

Sala zniknęła. Hansen wisiał wśród nicości w sali budynku-miasta, na którym wylądowała jego kapsuła. Sala pełna była stojących, śpiewających ludzi, ale widział ich jako fotograficzne negatywy. Ich miejsce zajmowało właśnie coś innego.

Potem naprawdę znalazł się wśród nich, zobaczył Leę i przypomniał sobie pełen ciepła dotyk jej ciała, pozbawiony jakichkolwiek podtekstów erotycznych. Widział chłopca, który machał do niego wtedy i wykrzykiwał jego imię, i...

Widział ich zarumienione twarze i płynące po policzkach łzy, kiedy śpiewali pieśń o radości i świetle słońca.

Słońce było czarną jamą, z której z rykiem wytoczył się pluton czołgów, prac naprzód przez śpiewających, bezbronnych ludzi, miażdżąc i niszcząc nie tylko ich ciała, ale i samą substancję ich rzeczywistości. W miejscu parku znalazł się kanion o ścianach z czarnych domów, wielkich jak twierdze. Ludzie w mundurach tańczyli na ulicy, strzelając w powietrze promieniami zabójczego światła i strumieniami pocisków. Pośród radości zwycięstwa toczyły się tryumfujące czołgi.

– Pamiętasz Diament – powiedział władczy głos. – To jest Rubin, który zniszczył Diament. Sprowadziłem cię tu, komisarzu Hansen, abyś zniszczył Rubin i przywrócił równowagę.

Wizja zniknęła. Wraz z nią zniknęły też głosy, które śpiewały pieśń gorszą niż krzyki towarzyszące odejściu tych ludzi w czerń nicości i śmierci... Hansenem wstrząsnął nagły dreszcz. Poruszył dłońmi, patrząc, jak zginają się palce i bieleje skóra napięta na kłykciach.

– Mów dalej – powiedział.

Fortin zaśmiał się.

– Byliśmy pewni, że zechcesz wykonać dla nas to zadanie – powiedział z uśmiechem.

Hansen spojrział na niego. Android instynktownie cofnął się o krok.

– Nie zrobię niczego dla was – powiedział komisarz. Starannie wypowiadał słowa. – Wykonam zadanie, to zadanie. Ale nie dla was.

– Tylko o to prosimy, komisarzu – powiedział głos zza zasłony.

Osoby otaczające komisarza w lodowej sali Fortina nie były ukryte za zasłonami światła, ale umysł Hansena koncentrował się już na nadchodzącej operacji.

Bogowie, ludzie czy tęczowe błyski, było mu wszystko jedno. Ledwo słyszał śniadego, potężnie umięśnionego mężczyznę pytającego: „Jak często właściwie odwiedzasz Rubin, Fortin?“, a i to tylko przez wzgląd na groźny ton głosu mężczyzny.

Fortin puknął palcem pokryty medalami front munduru Hansena, sprawdzając, czy naszyjnik Penny jest pod nim niewidoczny.

– W porządku – powiedział. – Oto pierścień.

Hansen wsunął dużą złotą obrączkę z diamentem na środkowy palec lewej dłoni. Stawy palców były tak samo wąskie jak palce. Pierścień wszedł gładko, potem zaś dopasował się do palca z lekkim uczuciem mrowienia.

„Czas pozostały do wejścia” – pomyślał Hansen.

„Czterdzieści siedem sekund” – odpowiedziała sztuczna inteligencja pierścienia, używając połączeń nerwowych ciała Hansena.

– Połączył się? – spytał nerwowo Fortin.

– Tak – odparł Hansen. – Słuchaj, jestem gotowy. Po prostu się odsuń.

– Nie lubię patrzeć, jak kto inny nosi mój naszyjnik – wymamrotał jeden ze zgromadzonych.

– No tak, Fortin! – Ktoś zachichotał. – Tego wcielenia zapewne nie próbowałaś, moja droga?

– Nie jesteś leworęczny, prawda? Nie będzie przeszkadzał ci w używaniu broni? – dopytywał się Fortin.

Hansen spojrzął na twarz androida, której jego własna twarz była w tej chwili dokładną kopią.

– Jestem leworęczny lub praworęczny, to zależy, w której dłoni trzymam w danej chwili broń – powiedział.

Zacisnął lewą dłoń w pięść. Pierścień rzucił świetlne błyski na lodowe ściany i szary mundur Hansena.

– Nie będzie przeszkadzał. Wierz mi – przywołał na twarz coś w rodzaju uśmiechu. – W tym nic nie przeszkadza.

„Pięć sekund do wejścia” – powiedział mechaniczny głos w myśli Hansena.

– Czas na mnie – rzucił komisarz, ruszając w stronę nieciągłości, jakby Fortina tam nie było.

I rzeczywiście, android odskoczył z drogi, kiedy jego dubler zbliżał się do bariery. Hansen zachichotał. Zastanawiał się, czy jeśli zsika się w spodnie tego pięknego munduru, naszyjnik zamaskuje plamę. Doszedł do wniosku, że ta myśl nie była najgorszym sposobem, aby uwolnić się od napięcia przed misją. Wkroczył w rozmazaną barierę w środku sali i...

Jego wypolerowany do połysku but trafił na czerwony żwir placu musztry. Przed plutonem piechoty stała kobieta, kobieta oficer. Żołnierze stali na baczność, ale byli uzbrojeni po zęby. Pył wzbijany przez silniki wylotowe ośmiu transporterów opancerzonych wzmagął doskonałe właściwości maskujące ich mundurów polowych.

Plac został wytyczony wewnątrz niecki. Na jej krawędzi ponad Hansenem rozmieszczono kompanię czołgów, z bronią pokładową skierowaną prosto W niego. Każdy z mieszczących dwie drużyny piechoty transporterów wyposażony był w lekkie działko zamontowane w przedniej wieżyczce; także one wycelowane były w pierś komisarza, choć aby osiągnąć cel, ogień z niektórych

działek musiałyby najpierw skosić kilku wyprężonych w postawie zasadniczej żołnierzy. Zakładał jednak, że to nie powstrzymałoby operatorów działek.

Oczekująca oficer zaszalutowała sztywno.

– Sir! – zameldowała. – Jestem major Atwater, dowodzę pańską eskortą. Bardzo się cieszymy, że znów nas pan odwiedził, ale muszę ostrzec, że znajdujemy się w stanie podwyższonej gotowości. Poziom zagrożenia ustalono na trzeci.

Hansen oddał salut równie sztywno, ale opuszczając ramię, wskazał na parę oczekujących transporterów z otwartymi włazami.

– Wyośmy się więc w cholere z tej tarczy strzeleckiej, majorze – warknął.

Major Atwater odwróciła się na pięcie.

– Pluton Pierwszy, do pojazdów! – zakomenderowała, choć żołnierze rozbiegli się na stanowiska w transporterach, kiedy tylko wypowiedziała pierwszą sylabę rozkazu.

„Drugim pojazdem dowodzi porucznik Filerly” – poinformowała Hansena SI.

Piechota zajęła miejsca w transporterach z gracją pasa naboju przesuwającego się przez podajnik karabinu maszynowego. Transportery uniosły się pół metra nad ziemię. Atwater wskoczyła na pokład za swymi żołnierzami. Właz drugiego transportera zamknął się z trzaskiem.

Hansen sięgnął do pasa pod płaszczem i podążył za panią major. Wewnątrz transportera operator pokładowy trzymał już palec na przycisku zatraskiwania włazu. Komisarz cisnął w stronę przedziału załogowego wyciągnięty z pasa granat kontaktowy. Pod postacią major Atwater wypadł tyłem przez zamykający się właz.

Granat rzygnął pomarańczowym płomieniem z włazu i ze stanowisk strzeleckich. Amunicja eksplodowała, terkocząc w długiej serii wybuchów. Transporter zachwiał się w powietrzu. On zaś przetoczył się, wstał i zaczął biec. Zniszczone wybuchem granatu jednostki paliwowe eksplodowały kulą ognia, rozrzucając dookoła zwłoki załogi i szczątki pancerza.

– Filerly! – krzyknął Hansen, biegnąc w stronę drugiego transportera. – Zabierz mnie na pokład! Inspektor generalny został zamordowany!

Transporter opancerzony, znajdujący się kilka metrów nad ziemią, obniżył się i wylądował z gwałtownością dowodzącą nerwowości pilota. Dowódca plutonu, porucznik Filerly, wysunął się przez właz i wciągnął Hansena na pokład.

Ten złapał mikrofon radia pokładowego.

– Tu Tęcza Sześć – skłamał, świadom nerwowej intensywności, z jaką Filerly przyglądał się przypalonemu mundurowi zwierchniczki. – Oddziały Błękitny, Zielony i Żółty, lądować i zabezpieczyć teren. Zabieram Czerwoną Dwójkę do kwatery głównej celem natychmiastowego złożenia raportu.

Pilot transportera musiał usłyszeć rozkazy, bo wystartował, zanim jeszcze Hansen wydał mu bezpośrednie polecenie. Peryskop holograficzny w wieżyczce pokazał komisarzowi, jak pozostałe sześć pojazdów ląduje i otwiera boczne panele pancerza, aby wylądować żołnierzy. Wiatr rozwiewał czarny dym bijący od płonącego paliwa z wraku. Oparł pięść o komputer pokładowy. Poczł lekkie poruszenie, kiedy pierścień przebił mikroskopijny kanał przez obudowę konsoli. Jednostka zaszumiała, działając bez wyraźnego rozkazu.

„Oficer dowodzący oddziałem straży Kwatery Głównej to pułkownik al-Kabir” – odezwała się SI pierścienia w umyśle i Hansena. „Zakończył służbę, teraz zaś śpi, ale zostanie wkrótce zbudzony z powodu podwyższenia stanu alarmu”.

„Przełącz służbom bezpieczeństwa, żeby nie wypuszczały pułkownika al-Kabira z kwatery na mocy rozkazu... Najwyższej Rady” – pomyślał w odpowiedzi Hansen. „Możesz to zrobić?”.

„Zrobione” – powiedziała SI z czymś, co Hansen uznał za elektroniczny odpowiednik chichotu.

„Znasz jego wygląd?” – zapytał komisarz.

„Szczegóły dotyczące fizycznych cech znajdują się w centralnej bazie danych” – odparła SI.

„Oczywiście, mam do nich dostęp”.

– Do wszystkich jednostek! – zaskrzeczał nagle głośnik konsoli. – Wprowadzono drugi poziom zagrożenia. Powtarzam, drugi poziom zagrożenia.

– Majorze Atwater? – powiedział Filerly. – Nie mamy uprawnień do przekroczenia nawet zewnętrznej części pierścienia obronnego kwatery głównej, kiedy poziom zagrożenia jest wyższy niż piąty.

„Mam już dostęp do urządzeń identyfikacji pojazdów kwatery głównej” – powiedziała SI.

„Zostaniemy rozpoznani jako pułkownik al-Kabir”.

– Pilot, kieruj się do głównego wejścia – rozkazał chłodno Hansen. – Najwyższa Rada wydała rozkaz przepuszczenia nas ze względu na posiadane przeze mnie informacje.

Porucznik Filerly spojrzał na niego niepewnie, ale oficerowie Rubinu nie kwestionują rozkazów.

Lecieli nad zerodowanym przez wiatr pustkowiec na pułapie mniejszym niż dziesięć metrów. Mijali górujące nad kanionem płaskowyże, od czasu do czasu Hansen widział też anteny i silosy baterii raketowych.

– Mam nadzieję, że macie... – zaczął Filerly, ale transporter minął zewnętrzny pierścień obronny i wleciał nad szeroki, płaski fragment gruntu pokryty czerwona ochrą. Wszędzie aż roiło się od systemów obrony bazy.

Działka i wyrzutnie rakiet śledziły lot pojazdu, ale nie padł żaden strzał. Hansen zerknął sardonicznie na porucznika, zastanawiając się, jak ten grymas wygląda na jego aktualnej, kobiecej twarzy.

„Przygotuj się do rozpoczęcia akcji, kiedy tylko opuścę pojazd” – pomyślał Hansen.

„Jestem gotowa do akcji, kiedy tylko opuścimy pojazd” – skorygowała SI chłodno.

Betonowy szczyt szybu windy, przypominający z wyglądu pudełko z tabletkami, wystawał z gruntu, otoczony przez cztery czołgi.

– Pomiędzy czołgami? – spytał pilot pojazdu.

– Wyląduj przed najbliższym czołgiem – rozkazał Hansen.

Główne uzbrojenie każdego z czołgów stanowił dwudziestocentymetrowy laser, wspomagany przez sprzężone działko automatyczne i kopuły zawierające inne rodzaje broni. Wszystkie lufy, które mogły obracać się w ślad za lądującym pojazdem, śledziły jego opadanie wśród chmury pyłu i żwiru. Hansen sięgnął do przycisku obok szefa załogi i nacisnął go.

Właz otworzył się. Hansen wyszedł na zewnątrz pod postacią pięćdziesięcioletniego mężczyzny o wygolonej głowie i z insygniami pułkownika w klapie munduru, wkraczając w rozedrgane od pyłu i gorąca powietrze.

– Hej! – zakrzyknął porucznik Filerly, sięgając do kabury po broń u pasa na widok zmienionej nagle postaci. Posłuszne rozkazowi SI pierścienia Hansena drzwi windy otworzyły się.

SI wydała systemowi obrony bazy przygotowaną wcześniej komendę. Lasery czołgów strzelając z minimalnej odległości, rozpruły transportery opancerzone, rozrzucając dookoła fragmenty pancerza wśród iskier i huków, kiedy do chóru zniszczenia dołączył terkot działek automatycznych.

Hansen wskoczył do kabiny windy. Na karku i uszach czuł ugryzienie żaru, w którym skapane były resztki transportera, porucznika Filerly i jego ludzi. Kiedy drzwi kabiny zamykały się, Hansen zobaczył jeszcze, jak jeden z czołgów zbliża się do wraku, by zmiąć to, co pozostało jeszcze wśród płomieni i roztopionych szczątków.

– Strażnikami przy wejściu dowodzi kapitan Alsen – poinformowała SI.

Kabina windy zjechała dwa piętra w dół i zatrzymała się na pierwszym poziomie personelu wsparcia obrony bazy. Kompania żołnierzy rozstawiona była po obu stronach korytarza za przenośnymi barierami. Lufy ich broni śledziły Hansena, kiedy wyszedł z windy i podszedł do pomalowanych na czerwono drzwi szybu obok.

– Kapitanie Alsen – rozkazał – zatrzymać każdą następną osobę wchodzącą na teren Kwatery Głównej.

– Ale... sir... – odezwał się noszący czarny hełm dowódca patrolu straży – zostaliśmy poinformowani, że jako pierwszy przybędzie Feldmarszałek Yazov.

Hansen przyłożył pierścień do kontrolki drzwi windy.

– Ta wiadomość była fałszywa, kapitanie – powiedział. – Wróg spenetrował nasz system komunikacyjny. Każdy pojazd wkraczający do zewnętrznej strefy Kwatery Głównej ma być natychmiast zniszczony. – Poczł delikatne drgnięcie w palcu, tuż pod pierścieniem. – Złożę teraz raport w Cytadeli, zgodnie z rozkazami.

– Tak jest... – zdążył jeszcze powiedzieć Alsen, zanim zamknęły się drzwi windy, przerywając jego wypowiedź w połowie.

Wnętrze kabiny wyłożone było płytami wypolerowanej stali. Kiedy winda zjeżdżała w dół, Hansen zauważył, że wygląda teraz jak wąsaty, tyjący zapaśnik. Nadal miał na sobie mundur polowy, ale teraz były na nim epolety z zaokrąglonymi gwiazdkami feldmarszałka.

„Dziękuję, pierścieniu” – pomyślał.

„Podziękowania nie są potrzebne”.

– Czy ten szyb prowadzi do samej Cytadeli?

„Zjedziemy poniżej poziomu Cytadeli” – poinformowała sztuczna inteligencja. „Załatwiłam nam dostęp do Centrum Obliczeniowego”.

Hansen nie zdawał sobie sprawy z szybkości opadania windy, dopóki ta się nie zatrzymała. Siła inercji ugięła mu nogi w kolanach, jak gdyby zeskoczył z dachu budynku. Drzwi rozsunęły się.

Ściany i sufit korytarza wyłożone były lustrami, całkowicie gładkimi, jeśli nie liczyć szczelin grodzi awaryjnych. W powietrzu wyczuwalna była niska wibracja.

„W lewo” – doradziła SI Hansena.

W korytarzu widać było już kilka osób. Wszyscy nosili białe kitle i byli pierwszymi ludźmi na Rubinie, których Hansen widział bez mundurów... „Choć z drugiej strony – pomyślał – kitle to też mundury”.

Technicy zerkali na niego, kiedy szedł korytarzem, i choć nikt go nie zatrzymał, czuł, że patrzą za nim i jego nieskończonymi odbiciami w lustrach.

„Jak daleko?” – pomyślał.

„W prawo na skrzyżowaniu korytarzy” – powiedział pierścień, nie odpowiadając na pytanie.

Hansen czuł, że nie boi się tak, jak powinien. To było jak operacja czyszczenia pomieszczeń. Poruszał się tak szybko, że nie miał czasu myśleć o niczym poza krokiem, który właśnie wykonywał. Poruszaj się i strzelaj – i nie przerywaj, dopóki w miejscu akcji zabraknie poruszających się celów...

Lustra nagle zamgliły się, przestały odbijać jego Wizerunek. Zamiast tego pojawiły się w nich obrazy powierzchni Rubinu: baterie wyrzutni pocisków, wznoszące się, szukające celu, dzieci zbyt małe, by nosić broń, maszerujące ramię przy ramieniu do schronów, dorośli na całej powierzchni planety chwytający za broń i zgłaszający się na posterunki bojowe.

Hansen skręcił za róg. Obok niego w lustrze maszerowała inna postać: pułkownik al-Kabir. Odziani w kitle technicy zatrzymywali się, zaskoczeni.

„Jak daleko?” – zażądał Hansen, w myśli zwracając się do SI.

„W lewo następnym korytarzem” – odpowiedziała maszyna niechętnie. „Sto metrów”.

Odbicie al-Kabira zadrgało nagle, zmieniło się w major Atwater, idącą równo po obu stronach Hansena. Kiedy ten poruszał głową, jego odbicia robiły to samo.

– Sir? – zawołał za nim technik. – Sir!

Hansen skręcił za róg równym, żołnierskim krokiem. Pocił się. Obok niego szedł teraz Inspektor Generalny o zimnej, bladej twarzy Fortina.

Hansen widział już zarys drzwi, do których zmierzał w ścianie na wprost, ale jego lustrzane odbicia znowu zadrgały. Prawdziwy Nils Hansen szedł po obu stronach fałszywego feldmarszałka Yazova.

– Pierwszy stopień zagrożenia! – zakrzyknął ktoś przez system nagłaśniający bunkra. – Intruz! Intruz!

Technicy sięgali już po broń ukrytą pod kitlami, ale Hansen znalazł się właśnie w swoim żywiole. Lewą ręką cisnął w tył granat i krzyknął:

– Zamknij wrota przeciwwybuchowe!

Miał nadzieję, że SI zdąży zadziałać przed wybuchem granatu.

Pistolet, który wydobył, był standardowym modelem na Rubinie. Odrzut był nieco większy niż w broni, do której Hansen był przyzwyczajony, ale świetnie leżał w ręku, łatwo się z niego celowało i miał wybuchową amunicję.

Czaszka pierwszej osoby spośród techników, kobiety, eksplodowała, rozrzucając wokół jej jasne włosy jak materiał wypychający poduszkę. Hansen wycelował w środek sylwetki drugiego i trzeciego technika i zdjął ich obu, zanim zdążyli dobyć broni.

Wrota bezpieczeństwa zatrzasnęły się za nim, po czym zaczęły się znowu otwierać. Głos w systemie komunikacyjnym nadal krzyczał:

– Intruz ma dostęp do elektronicznych systemów kontroli! Zamknąć i zaryglować ręcznie wszystkie...

Podmuch wybuchu granatu przewrócił Hansena na ziemię, ale częściowo zamknięte wrota osłoniły go przed odłamkami, które rozerwały ściany i ludzi po drugiej stronie. Wstał, wydając z przegródki u pasa ładunek szpulowy.

Drzwi do pomieszczenia Centrum Komputerowego otworzyły się do połowy i zatrzymały. Hansen skoczył w powstały otwór, rozsnuwając za sobą nić ładunku szpulowego. Wycelował pistolet w środek czoła technika mocującego się z dźwignią ręcznego ryglowania drzwi. Strzelił dopiero wówczas, kiedy wrota zawarły się za nim.

Trzask pękającej, rozdętej koszmarnie twarzy technika zlał się w jedno z echem wybuchu ładunku, którego nić eksplodowała pod naciskiem wrót. Wybuch zablokował zawór ryglujący, zamykając drzwi na dobre.

Technicy trzymający nie znaną Hansenowi broń podnosili się z siedzeń. Rząd dziur po eksplodujących pociskach oznaczył zatrzaśnięte wrota i podłogę w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą stał Hansen.

Postać Hansena znowu się zmieniła, stał się nagle pozbawioną głowy kobietą, którą zabił w korytarzu. Lewą ręką cisnął ostatnią niespodziankę – granat holograficzny. Ten trzasnął cicho, wypuszczając pół tuzina miniaturowych projektorów.

Czarno odziani, holograficzni żołnierze rozbiegli się po Centrum Komputerowym. Część z nich biegła po suficie. Technicy zagapili się, zaczęli strzelać. Serie z ich broni roztrzaskiwały sprzęt w deszczu iskier i eksplozji, ale huraganowy ogień nic nie mógł zrobić hologramom.

W zamkniętym pokoju było pięciu techników. Wśród zalegających pomieszczenie chmur prochu i dymu eksplozji Hansen poruszał się tylko o tyle, by namierzyć kolejny cel.

Wszystkich techników zabił pojedynczymi strzałami. Ostatni z nich, krzyząc z szoku, zaskoczenia i niedowierzania, wycelował swój pistolet w klatkę piersiową Hansena i dalej naciskał spust, nawet kiedy bezgłowa postać wymierzyła broń w jego lewe oko. Technik wystrzelał całą amunicję już wcześniej, zanim jeszcze zniknęli holograficzni żołnierze.

„Szybko” – odezwał się głos w głowie Hansena, kiedy ostatni z techników upadł, pozostawiając na ścianie za plecami krwawą plamę. „Zaczynają przewiercać drzwi”.

Hansen wstrzymywał oddech w nieświadomym odruchu zapobieżenia wymiotom. W żołądku miał tylko kwas. Nowe zagrożenie przywróciło mu jasność myślenia. Rozejrzał się za nieuszkodzonym terminalem.

„W lewym rogu!” – odpowiedziała SI.

Zamiast przeładować, Hansen wyszarpnął ciągle pełny pistolet z kabury technika, którego zabił przy drzwiach, i podbiegł do wskazanej konsoli. Słyszał odgłos pracy narzędzi tnących drzwi. Ludzie Rubinu byli bardzo szybcy, bardzo zorganizowani, doskonali w sztuce wojny.

Przyłożył pierścień do klawiatury terminalu.

Tym razem Rubin nie miał do czynienia ze światem pełnym pacyfistów.

Niemal równocześnie z drgnięciem palca pod pierścieniem Hansena światła w Centrum Komputerowym przygasły i zamarł elektroniczny pomruk pracujących urządzeń. Hansen wydobyl broń, rozejrzał się za celem.

„Wyłączam inne funkcje, żeby przywrócić program” – wyjaśniła SI. „Nie ma go już w matrycy pamięci aktywnej”.

Odgłos pracy komputerów zabrzmiał na nowo, tym razem wyższy i bardziej intensywny.

Coś pojawiło się w centrum pomieszczenia – nie tyle czołg, co wspomnienie czołgu, jak ten, który toczył się przez tłum na Diamencie, kiedy Hansen czekał z krzesłem w rękach.

Tym razem miał lepszą broń – nie pistolet, ale pierścień sztucznej inteligencji, która obracała właśnie Rubin przeciw niemu samemu.

Hansen zaczął się śmiać. Elektroniczny duch zniknął, zastąpiony przez obraz miejsca, na które przybył Hansen. Zdenerwowani żołnierze tworzyli perymetr, a oficerowie i technicy oglądali rozrzucone przez eksplozję transportera zwłoki. Porucznik odwrócił ciało major Atwater. Kobieta została odarta z munduru przez wybuch, ale rysy jej twarzy nadal były rozpoznawalne.

„Tak...” – wyszeptała z satysfakcją SI w umyśle Hansena.

Skrzydło ciężkich wrót zaczęło świecić lekkim różowym blaskiem, który rozjaśniał się stopniowo do złotawej poświaty.

Hansen zadrżał. Najpierw pomyślał, że to tylko reakcja na spadek poziomu adrenaliny po walce, ale potem spostrzegł, że rany martwych techników zaczęły parować w ochładzającym się nagle powietrzu.

– Co się... – zaczął, niezdolny do sformułowania pytania.

„Powtarzamy cykl” – wyjaśniła SI. „Ustawiamy Rubin w fazie Diamentu”.

W obecnej fazie Diamentu. Tam, gdzie Diament znajdował się obecnie.

W centrum pomieszczenia pojawił się widmowy obraz rodziny w bunkrze. Najmłodszy był chłopiec w wieku może dziesięciu lat. Wszyscy zaciskali palce na klawiszach kontroli systemów uzbrojenia, rozlokowanych wokół bunkra i na jego dachu. Nie widzieli celu, ich twarze bladły...

Wiertło z pustym rdzeniem przebiło drzwi do Centrum Komputerowego. Jego paszcza zadrgała i okręciła się, szukając Hansena.

Hansen strzelił pierwszy. Wybuch jego pocisku zalśnił pomarańczowo na tle białozółtego blasku drzwi. Strzelił jeszcze dwa razy, roztrzaskując wiertło, zanim zdążyło uwolnić swoje zabójcze powitanie.

Ze środka drzwi rozległ się huk i ich blask przygasł do czerwieni.

„Wrota mają samozwierający się rdzeń” – powiedziała SI. „Systemy obronne pomieszczenia nie będą potrzebne. Oceniam, że wrota wytrzymają wystarczająco długo”.

W pokoju było teraz zimniej niż na powierzchni wymarłej planety. Drugie wiertło zaczęło wgrzyzać się w drzwi.

Jeszcze jeden duch, wyciągający do niego rękę. Lea, otoczona lodowatą ciemnością, rozpuszczone włosy, jej głos – z całą pewnością jej głos, nie tylko wspomnienie.

Jej głos, uspokajający.

– Nie, Hansen, nie to. Nie dla nas.

Ale tak, właśnie dla nich. Dla wszystkich tych, którym dusze nie pozwalały walczyć, którzy woleli zginąć, niż zabić...

Taka była decyzja Diamentu, takie miało pozostać po nim wspomnienie. Ale lud Diamentu wiedział, że Hansen nie należy już do nich...

„Teraz...” – powiedziała sztuczna inteligencja.

Wrota do Centrum Komputerowego padły wśród deszczu odłamków. Hansen strzelił w ziejący otwór, ale Rubin już blednął, zanikał, łączył się z Diamentem, spadał w dół lodowatą, czarną spiralą bez dna...

Buty komisarza stukały na posadzce rozświetlonej sali. Smuzka dymu unosiła się z lufy pistoletu, którego magazynek opróżnił jeszcze w innym wszechświecie.

Postacie siedzące po obu stronach sali nie były już spowite w światło. W ich okrzykach powitania mieszały się z tryumfem, kiedy powstali i ruszyli w stronę Hansena.

– Dobra robota! – zahuczał krępy, śniady mężczyzna, klepiąc go po plecach. – Sam bym tego lepiej nie zrobił.

– Nie zrobiłbyś tego nawet tak samo dobrze, Rao – powiedziała kobieta o orientalnych rysach. – Brutalna siła nic by tu nie pomogła.

– Rao – powtórzył Hansen. – Z ekipy Northa?

– Kiedyś tak – przyznał Rao. – Kiedyś. – Jego silna dłoń zamknęła się na pistolecie, nadal trzymanym przez Hansena. – Pozwól mi to wziąć, chłopie – powiedział. – Tutaj nie wolno wносить broni. Niektórzy z nich stają się od tego nieco nerwowi, sam rozumiesz.

Komisarz rozpoznawał pozostałe postacie ze swej odprawy na Zwiastowaniu. Wielki mężczyzna to Rolls, który prowadził pierwszą ekipę zwiadowczą, a...

Pulchna młoda kobieta przecisnęła się przez tłum, rozpychając się z wprawą łokciami, i wsunęła dłoń pod kurtkę Hansena.

– Mój naszyjnik – zażądała. – Masz mój naszyjnik?

– Co? – spytał komisarz. – Tak, jasne. – Uniósł półprzezroczysty łańcuszek, a kobieta natychmiast złapała swój klejnot. – Ty jesteś Penny, prawda? – spytał. – Penny z...

– Tak – odpowiedziała mu posągowo piękna, rudowłosa kobieta, którą stała się Penny, kiedy tylko klejnot zawisł na jej szyi. – I musimy się od dziś często widywać.

Mężczyzna siedzący z tyłu sali nie przyłączył się do tłumy. Był całkowicie ukryty w cieniu, dopóki słońce nie przesunęło się nad kryształowym sklepieniem. Pryzmatycznie rozszczepiony promień światła rozjaśnił surową jak tęcza twarz. Prawe oko mrugnęło. Lewe nie.

– Walker – wykrzyknął Hansen.

Wysoki mężczyzna powstał.

– North – powiedział, śmiejąc się. – Tylko czasami Walker.

Pozostali cofnęli się o kilka kroków, kiedy North przemówił. Hansen spojrzał na nich, potem znowu na ich przywódcę.

– Gdzie jesteśmy? – spytał. – Gdzie się znajduje to miejsce?

– North znalazł ścieżkę przez Matrycę – oświadczyła całkowicie przeciętna kobieta. „Eisner”, pomyślał komisarz, jedna z dowódców ekipy poszukiwawczej. – Podróżujemy w tej chwili, przemieszczając się pomiędzy wszystkimi ośmioma światami, sama Matryca jest dziewiątym.

– Jesteśmy bogami – powiedział Rolls. – Możesz myśleć o nas w ten sposób, Hansen.

W jego tonie było coś więcej niż tylko satysfakcja, ale Hansen miał za mało wskazówek, aby zgadywać, jakie były pozostałe emocje. Ale prawdziwe pytanie...

– Co się zatem ze mną stanie? – spytał.

North zaczął się śmiać. Pozostali samozwańczy bogowie uśmiechali się lub mrugali w zaskoczeniu.

– Ciągle nie rozumiesz, prawda? – spytał Fortin z dziwnym rozbawieniem, którego Hansen nie spodziewał się po androidzie.

– Oświeć mnie – powiedział. Nie potrzebował pistoletu w ręce, aby te słowa zabrzmiały jak groźba.

Wyraz twarzy Fortina stał się chłodny.

– To bardzo proste – rzekł. – Tylko jedno z nas mogło wkroczyć do Rubinu z wnętrza Matrycy. Musieliśmy więc uczynić cię jednym z nas, zanim cię tam posłaliśmy.

– Witaj wśród bogów, komisarzy – powiedział North.

Jego zatrważający, grzmiący śmiech odbijał się echem pod kopułą.

Od autora

Pieśni *Eddy poetyckiej*, zwanej czasem *Eddą starszą*, opisują wiele aspektów nordyckiej mitologii, historii mitycznej i folkloru. Nie jest to w żadnym razie posiadający jakąkolwiek strukturę system religijny, choć zawiera niemal wszystko, co wiadomo na temat wierzeń starożytnej Północy. Spisywano je na przestrzeni kilkuset lat, w całym świecie Północy, łącznie z Grenlandią. Choć tematy są tu pogańskie, większość wersów została w ostatecznej formie spisana przez chrześcijan.

Rozproszone fragmenty zostały następnie przykrojone przez pochodzącego z Islandii redaktora, który był nie tylko chrześcijaninem, ale też człowiekiem niezwykle ograniczonym jako redaktor i poeta. Dodatkowo, części pieśni brakowało, a w jedynej zachowanej kopii owej kompilacji brakuje dużej ilości tekstu.

Podsumowując, *Edda poetycka* jest wzbudzającą zakłopotanie mieszanką która nie zainteresowała mnie szczególnie, kiedy przeczytałem ją po raz pierwszy dwadzieścia lat temu. Poza tym, moje wykształcenie dotyczyło języków klasycznych i historii, a nie świata nordycko-germańskiego.

Potem, w 1986 roku, zabrałem moją rodzinę na trzytygodniowe wakacje na Islandię. Kiedy tam przebywałem, w ręce wpadła mi kopia doskonałego przekładu *Eddy poetyckiej* Hollandera. Czytałem pieśni w plenerach, wśród których została ona skompilowana i, przynajmniej częściowo, spisana. Odebrałem je jako oszałamiająco wprost dokładne w sensie opisów.

Kontrasty, których pełna jest Islandia, prawdopodobnie zresztą i tak miałyby na mnie duży wpływ. Na przykład, jednego dnia stałem na powierzchni największego lodowca w Europie, następnego zaś stapałem po czynnym wulkanie. Podobne dychotomie przeważają w każdym niemal fizycznym aspekcie tego kraju.

Islandia była właściwym miejscem – właściwymi miejscami – aby nauczyć się doceniać *Eddę*. Powróciłem do domu z pewnością, że wykorzystam *Eddę* jako podstawę mojej powieści, choć niech mnie diabli, jeśli wiedziałem wtedy dokładnie, jak zamierzam to zrobić. Poczytałem nieco materiałów uzupełniających (głównie Dumezila i H.R. Ellisa Davidsona), dotyczących struktury i tematyki mitologii nordyckiej, ale ta droga działania okazała się bezproduktywna; nie dlatego, że autorzy mylili się w jakimkolwiek punkcie, ale dlatego, że ich prawda nie była moją prawdą.

Zrobiłem więc to, czego nauczył mnie mój najlepszy nauczyciel, profesor Jonathan Goldstein, kiedy byłem studentem na Uniwersytecie Iowa: powróciłem do źródeł oryginalnych. Streściłem całą *Eddę poetycką* i sporządziłem notatki na temat *Eddy prozaicznej* (zwanej też *Eddą Snorriego*, spisanej przez Snorriego Sturlusona, najwybitniejszą postać literatury islandzkiej XIII w.), jak również na temat *Sagi o Wölsungach* (w której omówiony jest materiał zawarty w brakującej części *Eddy poetyckiej*).

W końcu ponownie przejrzałem pozostałe piętnaście tysięcy słów notatek i wybrałem elementy, które, jak sądziłem, mogły sprawdzić się w powieści science fiction. Z początku próbowałem zawrzeć zbyt wiele tych elementów w jednej tylko książce, ale skracałem materiał tak długo, aż jego objętość stała się zadowalająca.

Mity, które w *Świecie Northa* stały się ważnymi elementami, to:

- a) śmierć i pomszczenie Baldra,
- b) pokój Frothi,
- c) kradzież miodu skaldów,

d) relacje Gefjun i Heimdalla, do których nawiązania odnaleźć możemy w *Lokasennie*.

Powyższe tematy nie są częściami pojedynczych epizodów ani cykli w *Eddzie*. Dla spokoju mej klasycznie wykształconej duszy połączyłem je razem w ciąg logiczny, nieistniejący w oryginale.

W tym kontekście jestem tylko opowiadaczem historii, narratorem, nie zaś uczonym piszącym egzegezę mitologii nordyckiej, starałem się jednak oddać sposób myślenia, którego na krótko nabrałem, patrząc na bazaltowe pustkowia Islandii.

Świat *Eddy* był surowy i bezlitosny, ale była w nim pewna szlachetność. Mam nadzieję, że oba te elementy widoczne będą w *Świecie Northa* i późniejszych powieściach, których akcję zamierzam osadzić w tym świecie.

Dave Drake

Chapel Hill, Karolina Północna